



SEMPER FIDELIS



EGZ. OBOW

PL ISSN 0866-9414

LIPIEC - SIERPIEŃ 4 (57) 2000

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH - WROCŁAW



"Nasz los przestroga" 4 lipca 2000 r. - uroczystości związane z rocznicą mordu profesorów lwowskich pod pomnikiem we Wrocławiu / fot. Marek Rogalski

Spis treści

Ks. arcybiskup prof. Marian Jaworski. 43-ci Metropolita Lwowski – 50 lecie kapłaństwa	1
Dziewczyny z Nazaretu – wiersz – Jerzy Masior	1
Dziewczyna z Nazaretu (I) – Jerzy Masior	2
Matka Boża w Mościskach na Ukrainie – O. Bolesław Słota CSsR	4
Wspomnienie z Obrony Lwowa. Wrzesień 1939 r. (c.d.) (III) – Władysław Kopacz	5
Pamięci prof. dr. hab. Stanisława Liebarta – Tadeusz Radomański	7
Haniebne dzieło zaborców. Tragiczne daty: 1 i 17 września 1939 r. – Ludwik Wawryszyn	9
Moje wspomnienie – Mieczysław Matula	10
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
Brodzianie znowu razem – Zbigniew Grata	14
Wielkie Bałaganie w Węglińcu – Alfred Janicki	16
Wiara – pamięć i serce – Janina Oparowska	18
Oddział Towarzystwa także i w Pile – Józef Dobrowolski	18
Świdwiński Dzień Kultury Kresowej – Mieczysław Kostur	20
Jubileusz 80-lecia – Henryk Pruszyński	21
Dziesięć lat minęło – Klub TMLiKPW w Sanoku – Alicja Wohrowicz	22
List do Redakcji Semper Fidelis. Wrocław od Zarządu TMLiKPW Oddział Tarnów	25
Dni Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. Tarnów czerwiec 2000 – Barbara Krupińska	25
Lwowskie muzykowanie w Nowym Sączu – Jerzy Masior	26
Gorzowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – Piotr Franków	27
KRESOWE WYJAZDY	
Podróż do naszej Świętej Ziemi – Maria Molicka	30
Wspomnienia i refleksje po pielgrzymce na Kresy Wschodnie – Mieczysław Kowal	32
Okruchy wspomnień z Przemyśla – Janina Hrycekowa	32
Z pomocą wielkanocną na ziemi lwowskiej i stanisławowskiej – Danuta Tabińska-Juhasz	33
Ulica mojej młodości (przedruk z Dziennika Polskiego z 11 maja 1990 r.) – Janusz Osadziński	35
Na zew z Ziemi Rodzinnej – Janina Oparowska	37
LISTY DO REDAKCJI	
List do Szanownej Redakcji od Haliny Klancko i grupy dzieci z Borysławia	38
„Nasze Kopyczyńce” – Jerzy Julian Szewczyński	38
Zjazd Koleżeńsi Instytutu Sztuk Plastycznych (Lwów) Wrocław 2000 r. – Marian Bietkowski	40
List do Redaktora Naczelnego „Semper Fidelis” od dr. inż. Feliksa Całego	42
WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO	
Kronika Kresowa – Zbigniew Umański	43
Niełatwo być ze Lwowa (piosenka) – Jerzy Masior	50
Lwów – Persenkówka – moje dzieciństwo i młodość – Zofia Żółkiewicz	50
Apel. Nowe piosenki lwowskie	53
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Śp. Ryszard Borch (1929-2000)	53
Errata do nr. 2 (55) i 3 (56)/2000	53

Czasopismo jest współfinansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Redaguje Kolegium: Danuta NESPIAK, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.
Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel. 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111

Wydawca: Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” (adres i telefon jak wyżej).
Zarząd: D. TABIŃSKA-JUHASZ – dyrektor, Z. BAKULIŃSKA, Z. UMAŃSKI.
Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”: PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Ks. arcybiskup prof. Marian Jaworski 43-ci Metropolita Lwowski – 50 lecie kapłaństwa

Lwów, 28.06.2000



P.T.
Towarzystwu Miłośników Lwowa
i Kresów we Wrocławiu!

Dziękuję za życzenia i modlitwy z okazji
50-lecia święceń kapłańskich. Niech
Dobry Bóg nagrodzi ten dar.

Urodził się 21 sierpnia 1926 r. we Lwowie. W 1945 po ukończeniu szkoły średniej wstąpił do Lwowskiego Seminarium Duchownego. W tym też roku we wrześniu wraz z całym Seminarium przymusowo wysiedlony wyjechał do Kalwarii Zebrzydowskiej. 25 czerwca 1950 r. Ks. Abp Eugeniusz Baziak udzielił Mu święceń kapłańskich. Po otrzymaniu święceń pełni obowiązki wikariusza w parafii Basznia Dolna k. Lubaczowa, a następnie w Poroninie k. Zakopanego.

W 1952 r. zdobywa stopień naukowy doktora teologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

W 1954 r. otrzymuje stopień doktora filozofii na KUL-u w Lublinie.

W 1965 r. habilituje się z zakresu filozofii na ATK w Warszawie.

W latach 1970-1984 był Sekretarzem Rady Naukowej Episkopatu Polski.

Od r. 1976-1981 piastował urząd dziekana Papieskiego Fakultetu Teologicznego w Krakowie, a od r. 1981-1987 rektora Papieskiej Akademii Teologicznej (PAT) w Krakowie.

24 maja 1984 r. został mianowany Administratorem Apostolskim Archidiecezji Lwowskiej w Lubaczowie.

23 czerwca 1984 r. otrzymuje sakrę biskupią w Krakowie na Wawelu.

W 1985 r. otrzymał doktorat Honoris Causa Uniwersytetu w Bonn.

W 1987 r. został członkiem Papieskiej Rady do spraw seminariów i uniwersytetów katolickich.

16 stycznia 1991 mianowany Arcybiskupem Metropolita Lwowskim.

Od r. 1992 jest Przewodniczącym Konferencji Episkopatu Kościoła Rzymsko-Katolickiego na Ukrainie.

W 1997 r. został Rektorem Wyższego Seminarium Duchownego we Lwowie-Brzuchowicach.

W minionym roku został Członkiem Prezydium Papieskiej Rady do Spraw Rodzin.

Z pozdrowieniami w Panu

+ Marian Jaworski

Arcybiskup Marian Jaworski
Metropolita Lwowski

Jerzy Masior

Dziewczyny z Nazaretu

Tam gimnazjum Szajnoch w śniegu
i kasztany na lekcji łaciny,
Karmelicy z pagórka w biegu,
z Nazaretu fruną dziewczyny.
Dziewczyny to, czy anioły
w ciepłutkich płaszczykach zimowych,
a te loki, warkocze, splety –
tym aniołom zorze na głowy.
A te zorze to przecież pamięć,
co wciąż cieknie Ruską do Rynku,
cała reszta – pamięci zamieć
i kasztany w śnieżnym ordynku.

Pamiętanie, ale jakie

Jerzy Masior

Dziewczęta z Nazaretu (I)

Rozumienie świata w młodości koduje się w umysłach przeważnie podświadomie. W miarę upływu lat nasze pojmowanie i zapisywanie rzeczywistości staje się coraz bardziej sterowane wolą i umysłem, a także doświadczeniem. Za to dowświadczenie trzeba niekiedy płacić frycove, ale któż z nas opasany młodością myśli wtedy o cenie. Młodość to szeroka rzeka sycona licznymi bocznymi strumyczkami – dopływami, o różnym wigorze toczenia wód, o niejednakowej ich przejrzystości i głębokości. Tak oto formuje się trakt wodny, masa materii, która niesie poza horyzont to wszystko, co w swoim biegu od źródła uzbiera. I to jest właśnie owa podświadomość – pojemność koryta rzeki, uformowanej przez naturę, by zabierać ze sobą wszystko. Ta rzeka nie potrafi jeszcze czegoś nie zaakceptować, zrezygnować, przed czymś uciec zmieniając bieg. Wody raz mniej, raz więcej; nurt raz bystry, uciekający w przełomy, przepadający z hukiem wodospadami, to rozlewający się z powolnością w szerokie lustra umożliwiający polyskliwie i kuszące zapatrzenie się w widzialny świat. Taki świat począł nam, chłopcom z II Budy, ukazywać się w drugiej połowie lat 30-tych naszego wieku.

Po uwerturze wojennej, jaka przetoczyła się przez Lwów we wrześniu 1939 r., a zwłaszcza od dnia wkroczenia Sowietów do miasta, przegrywalimy konfrontację z osaczającą nas coraz szczelniej okupacyjną rzeczywistością. Zaczęło się od szkoły, bo w niej tak bardzo stało się inaczej. Z tą, której od 1 września miałem rozpocząć IV gimnazjalną i która miała być moją Budą aż do matury trzeba było się rozstać, bo wtłoczono w jej mury na Podwalu język ukraiński. Szanse na kontynuację nauki, do której Sowietów – to trzeba im przyznać, przykładali dużą wagę – w języku polskim, dostrzegłem w najbliższej położonym „Nazarecie”, na Unii Lubelskiej, a więc od Leśnej niedaleko. Szkoła ta z zakonnej dla dziewcząt stała się koedukacyjna, jak zresztą w całym Związku Radzieckim.

I tak to się zaczęło. Nie był to łatwy początek: zapisałem się do Nazaretu jako pierwszy chłopak i tak pozostało do półroczka. Część grona pedagogicznego, wśród którego były jeszcze ss. Nazaretanki, nie zaakceptowało mojej „męskiej” obecności w ich szkole. Odczułem to już na pierwszej lekcji... biologii. Również dziewczęta, moje klasowe koleżanki odnosiły się do mnie z dystansem, byłem bowiem osobnikiem, który naruszał uświęcone tu zasady bycia w szkole i w ich klasie. To był wyłom na miarę trzęsienia ziemi. Przezornie zasiadłem w ostatniej ławce, co dawało mi dobry wgląd, w to, co się w klasie dzieje. Klasy były niewielkie kilkunastoosobowe. Wojna rozpędziła wiele uczennic po świecie. Salki szkolne też były nieduże, na dodatek w amfiladzie, bo Nazaret wraz z kłazurą mieścił się w kamienicach czynszowych. W mojej klasie znalazłem się więc początkowo w cichej, jakby umówionej izolacji. Dziś te dziewczęta rozumiem: to były już 15-, 16-latk i zapewne nie było im już obce i na dodatek w szkole zakonnej dość ostro podkreślane różnicowanie płci. W miarę upływu czasu lody topniały, dziewczęta pogodziły się z obecnością intruza. Pewnie dotarło do ich świado-

mości, że moja obecność wśród nich nie była moim kaprysem, lecz koniecznością. Od półroczka znalazło się w klasie kilku jeszcze kolegów i nasza obecność w Nazarecie poczęła przybierać innych barw. Wydarzenia toczyły się w atmosferze obopólnej koleżeńskości i zrozumienia. Zaczęły nawiązywać się nici sympatii – tworzyły się kółka koleżeńskie i pary, na uczucia szczególnie podatne. Wszak o tym czasie dorastaliśmy i my właśnie byliśmy strumyczkami zasilającymi rzekę lwowską, która toczyła swój nurt od dworca po Łyczakowską rogatkę. A, że najczęściej trzeba było w ten nurt włączyć się tramwajem nr 1, to coś z tego. Te nasze strumyczki serdeczne, wypływające gdzieś spod Wysokiego Zamku, z Kajzerwaldu, z Cetnerówki, z Pohulanki to klimat Lwowa, który trwał, który z uporem bronił się przed czerwonym potopem, przed rozpaczą i zwątpieniem.

Pierwsza wiosna okupacyjna we Lwowie. Pora mobilizacji uczuć w każdych warunkach i pod każdą geograficzną szerokością. Tych szerokości nie trzeba było w naszym Mieście zbyt daleko szukać. Zaczynały się już na przerwach międzylekcyjnych na szkolnym maleńkim podwórku, w parku pobliskiego Wysokiego Zamku, na ulicach wędrowek do i ze szkoły. I dla mnie ta wiosna przyniosła zapowiedź nadlatującego amora. Stało się tak za przyczyną dziewczyny z naszej klasy o blond warkoczach i zielonych oczach. Odprowadzanie panny po szkole na Wójtowską na Górnym Łyczakowie przeobraziło się w uczucie dojrzewające z roku na rok. U jego kresu byliśmy już 20-latkami. Snuliśmy dojrzałe plany na przyszłość, której tamę zbudowała wojna. ALE o tym później, w II części opowiadania.

Nasza młodość we Lwowie, po wydarzeniach wrześniowych nie była przemożnie naznaczona klęską i żałobą narodową. Pierwsza zima i pierwsza wiosna to był czas nadziei i oczekiwań. Przecież minione lato '39 roku upłynęło tak pogodnie. Pod koniec sierpnia nasze umysły wypełniły plany na przyszłość, która zapowiadała się szczęśliwie, bo za nami były dobre lata i one to kształtowały wyobraźnię. Jakoś niezbyt przejmowaliśmy się niepokojami nadciągającej burzy wojennej. Sierpień był zbyt pogodny, a burza zbyt daleko. Tak się nam przynajmniej wydawało. Do tego dochodziła wiara w zwycięstwo. Jednym z konkretnych działań ostatnich dni sierpnia, wtłaczających nas bez oporu, a nawet z niejakim entuzjazmem, potrzebom wojny było kopanie ziemnych schronów przeciwnocnych w Ogródzie Strzeleckim na ulicy Kurkowej. Kopaliśmy zygzakowaty, dość wąski i głęboki rów na placu przed pałacikiem Bractwa Kurkowego. Była w to zaangażowana okoliczna, przeważnie harcerska młodzież. Wtedy poznałem Danusię Polinkiewicz, nazaretankę z ul. Sahajdecznego. Nie wiem, na ile Danką skutecznie kopala rowy, ale skutecznie wpadła mi w oko. To był taki celny strzał Amora, w niezbyt jeszcze przygotowanego na takie rażenie chłopaka. W październiku zaczęła się nauka – spotkaliśmy się więc z Danusią w... Nazarecie. Uczęszczała do niższej niż ja klasy, ale to coś, co zaiskrzyło między nami w lecie, ożyło sztubackim niepohamowanym uczuciem. Tak to przecież w tym wieku bywa: spontanicznie, od jednej iskry, niespodziewanie, z dnia na dzień. Ta jedna iskra zapaliła się chyba wtedy, w Ogródzie Strzeleckim, a teraz rozgorzała na dobre. W Dance jakiś diabeł siedział i wyglądał przez oczy, które chyba od zawsze miała magnetyczne. Zniwalaające, to na tamte



1939 r.

lata przecież niestosowne określenie. Te jej oczy sprawiały, że moje zauroczenie dziewczyną poczęło przekraczać progi rozsądku. To ma w świecie dorosłych swoje określenie, którego lepiej tu nie przytaczać, bo wtedy świat się po dorosłemu nie toczył.

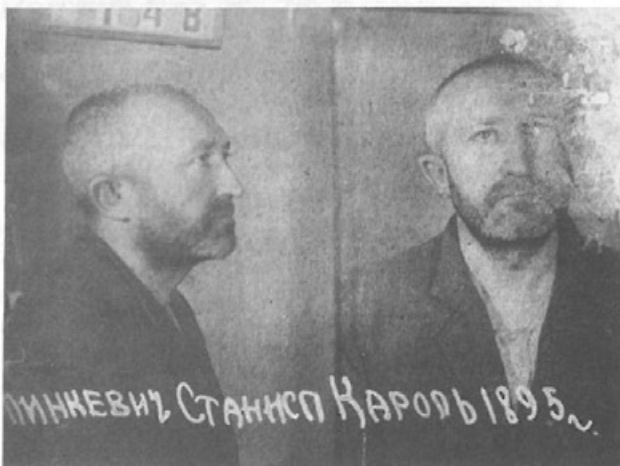
We Lwowie zaczęła się najtragiczniejsza z jesieni, a tuż za nią bardzo ciężka zima. Warunki życia zmieniły się dramatycznie i gwałtownie. Przecież na ogół nikt nie był przygotowany na przegraną, na tak długie trwanie w niedostatku wszystkiego, co wojna i okupacja przynosiły. Do Lwowa zajął głód i chłód. Wycinaliśmy z Ojcem akacje na stoku Kajzerwaldu, w naszym przykamienicznym ogrodzie, by trochę dogrzać mieszkanie. Nieomal codziennie bywałem u Danusi na Sahajdecznego. Wtedy mieszkała już tylko z matką i siostrą. Ojca, kapitan 26 p.p. stacjonującego na Zamarstynowie nie było. Poszedł na wojnę i nie wrócił. Wydawało mi się niekiedy, że jest we Lwowie, tylko ukrywa się. I tak rzeczywiście było. Aresztowany 13 kwietnia przez NKWD został wywieziony w nieznane. Może dzięki tak późnemu aresztowaniu uniknął najgorszego... Trafiał do armii gen. Andersa. Do kraju nie wrócił. Zmarł w Anglii w stopniu pułkownika. Opiekowała się nim córka, która także w Anglii pozostała.

Jesiennie-zimowe spotkania koleżanek i kolegów Danusi, do których i ja się zaliczałem (6-7 osób) odbywały się prawie codziennie. W tamtej rzeczywistości tworzyliśmy sobie podświadomie azyl myśli, pragnień i uczuć. Był on nam ogromnie potrzebny. Był tarczą przeciwko niezrozumiałej okupacji i tej rzeczywistości, którą serwowano nam natarczywie na każdym kroku: w szkole i na ulicy. Ta rzeczywistość potrafiła być i okrutna, i niezłomnie doktrynalna. Ucieczką od niej było zamykanie się we własnym gronie i we własnym mieszkaniu. Tym mieszkaniem dla nas stał się dom pp. Polinkiewiczów, a w nim jesiennie-zimowe popołudnia i wieczory. Tam to, mimo przyśpieszonego dojrzewania okazywało się, że wciąż jesteśmy wypełnieni pragnieniem takiej młodości, jaką przed zaledwie dwoma miesiącami brutalnie nam odebrano, ideologicznie wyśmiano i podeptano. Działo się to zwłaszcza w szkole. Został uruchomiony cały system, który miał



Marzec 1941 r. Lwów

poddać sowieckiej obróbce nasze umysły, a może i serca. Każdy kto pamiętał pierwsze miesiące sowieckiej okupacji Lwowa – wie o co chodzi, wie jak było; być może zrozumie także dlaczego tak koniecznie poszukiwaliśmy naszych młodzieńczych azyli i chęci zatrzymania oddalających się wartości i stylu życia, choć na chwilę, we własnym kręgu, który to zapewniał. Dziś wiem, że te wartości były źródłem siły przetrwania. Słuchanie muzyki z dawnych płyt, choćby nawet tanecznej (od tańca świadomie powstrzymywaliśmy się, zresztą nie każdy wtedy już tańczyć potrafił), rozmowy na tematy: co dziś, co jutro, gry towarzyskie, wypełniały nasze spotkania. W czasie nich potrafiliśmy wprowadzić się w stan takiego zapamiętania, że okupacyjna rzeczywistość – ta za oknami – oddalała się, a nawet w jakiś sposób zniknęła. Było tak przez godzinę lub dwie późnego wieczoru, ale już po wyjściu na ulicę uluda pryskała. Zdarzało mi się nierzadko, że we wczesne zimowe zmierzchy wychodziłem od Danusi nie sam i nie w kierunku mojego domu. Danusia miała bardzo miłą i ładną koleżankę z klasy – Micię Dobrzańską, zawsze obecną na naszych spotkaniach. Mieszkała na ulicy Gabrieli Zapołskiej, a więc za parkiem Łyczakowskim, przez który musiała do domu powracać. Jakoś nie wydawało mi się stosowne, by dziewczyna przez ciemności parkowe wracała sama. Zwykle ją odprowadzałem i to stało się przyczyną mojego zamieszania uczuciowego. Te spacerowe przez ośnieżony park w niezbyt śpiesznym tempie powodowały, że już nie wiedziałem, czy Danusia czy Micia są dziewczynami mojej adoracji. Począłem zastanawiać się, jak postąpić? Sytuacja zrobiła się bowiem dość niejasna: rano do szkoły taszczyłem teczkę na Sahajdecznego, a wieczorem owładnięty fluidami wieczornych spacerów i dziewczyny, która miała spory dar zjednywania sobie serc, stawałem się w dość niejasnej sytuacji. Przecież Micia była serdeczną koleżanką Danusi. Wytrwałem w tym stanie niepewności do końca. Dopiero dziś się ujawniam. Wtedy, tam pod Kajzerwaldem, to była dla mnie kwadratura koła. Ale nie ja ją rozwiązałem, lecz dość niespodziewanie mnie z niej wypchnięto. I tu wypadało by opowiedzieć o batiarskim incydencie, którego aktorami stali się koledzy Danusi z tzw. „Pukawki” – opisany zresztą w „SF” nr 4/17, 1993, s. 26. Z uwagi na olbrzymi wpływ czasu o szczegółach incydentu na lodowisku przy ul. Pełczyńskiej przemilczę. Nastąpiło definitywne rozstanie z Danusią. Mam do dziś świadomość, że ja nijak się do tego nie przyczyniłem. Nasze dalsze losy toczyły się od



lutego 1940 r. oddzielnymi torami, mimo że nadal uczęszczał do tej samej szkoły. Widywali się, ale jakby z bardzo daleka... Cóż, typowy przykład na dziewczęcą niestalość uczuć, bądź uleganie (jak przypuszczam w tym przypadku) presji swojego środowiska. Swojej chebry, jak mawiano we Lwowie.

O. Bolesław Słota CSsR

Matka Boża w Mościskach na Ukrainie



Obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy.
Rzym – Kościół św. Alfonsa, Via Mercuriana

Jest wiele wezwań, którymi zwracamy się do Matki Bożej. Niektóre z nich, będące dziękczynieniem i prośbą, ułożyły się w litanie do Niej. Tak powstała śpiewana modlitwa. „Modlitwa ta – pisze ks. Zwoliński – zawiera wśród pozornie monotonnych powtórzeń i wyliczeń słowa najprostsze i najpiękniejsze, wyraża tajemnicę człowieczeń-

Po co ja o tym wszystkim piszę. Po co zmagam się z pamięcią. Chyba m.in. dlatego, że napisałem „Kolegów”, a więc i Koleżankom coś się należy. Oczywiście takie wspominki o dziewczętach mają odmienny kolor. Zawsze przy nich łatwiej o uczucia: krótsze, dłuższe, głębsze, płytsze, ale w innych przestrzeniach poustawiane, innym ciepłem emanujące. To zrozumiałe. Jest jeszcze inny powód, ten chyba najważniejszy: LWÓW. Przecież te wszystkie burze uczuć zasnuwały lwowskie niebo, pączkowały i wyrastały na tamtejszej glebie, która nieodmiennie przydawała barw uczuciom, a one oddawały swoją wrażliwość Miastu. I to było zamknięte, zaczarowane Miastem koło. Kredowe Koło, z którego do dziś wydostać się niejednokrotnie nie umiemy i nie chcemy. Są osoby, które od lat stawiają mi wciąż jedno pytanie: – Człowieku, dlaczego tak bardzo zanurzasz się w przeszłości, we Lwowie i Kresach. A ja niezmiennie odpowiadam: – Bez względu na to, jak moje losy potoczyły się po 1944 roku, bez względu na późniejsze losy osobiste i zawodowe, całe to życie przydługie, i nader urozmaicone – tamte lwowskie lata wspominam jak raj utracony. Boleję, że nie ma powrotów...

Nowy Sącz, lipiec 2000

stwa i świętości Maryi.” Do swoistych i zarazem niezastąpionych strof tej modlitwy można także zaliczyć sanktuarium maryjne i to, co jest ich integralną częścią, czyli: Jej obrazy i figury. Opowiadają one konkretnie wyrażoną miłość Boga, obecność Matki wśród swojego ludu, a także historię wiary i doświadczenie życia wiernych.

Przykładem, a zarazem strofą takiej litanii jest Sanktuarium Matki Bożej w Mościskach na Ukrainie. Jego promienne oddziaływanie rozpoczęło się niecodziennie.

Pod koniec XIX w. Borysław, miasteczko na wschodnich rubieżach Polski, stało się centrum wydobywania i przetwarzania ropy naftowej. Z różnych stron Polski przyjeżdżali tam bezrobotni w poszukiwaniu pracy. Rodził się przemysł z wszystkimi obciążeniami tego czasu, nastawiony na zyski, któremu los robotnika był zupełnie obojętny. Ówczesni duszpasterze postanowili przeprowadzić misję parafialną dla miasteczka i tysięcy pracujących tam ludzi.

Na misję zaproszono redemptorystów z pobliskich Mościsk. Obawiano się, że ich duszpasterski wysiłek nie przyniesie spodziewanych owoców. Jednak stało się zupełnie inaczej. Jak relacjonuje o. Bernard Łubieński w kronice klasztoru, pierwszą i najskuteczniejszą misjonarką okazała się Maryja, której obraz z rzymskiego kościoła Matki Bożej Nieustającej pomocy misjonarze przywieźli ze sobą i wystawili w kościele borysławskim. Ona przyciągnęła do kościoła wiernych, wypraszała cuda nawrócenia i przemiany.

Był to także przełomowy moment dla czci i kultu związanego z osobą Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Od wspomnianych misji pobliskie kościoły i kaplice prosiły o. Łubieńskiego o obraz, a także teologię tej ikony. Nadto wizerunek ten stał się tak sławny, że zawędrował do cerkwi, w których do dziś odbiera należną sobie cześć. Nie ma cerkwi i to nie tylko grecko-katolickiej, gdzie nie byłoby tej ikony.

Misja przyniosła więc wielkie duchowe owoce, których sekret znają jej uczestnicy, a także początek kultu Matki Bożej Nieustającej Pomocy na ziemiach polskich.

Tym samym Mościska wraz z klasztorem oo. redemptorystów stały się bardzo znanym miejscem. Okoliczni mieszkańcy zaczęli przychodzić do kościoła, by pomodlić się przed wizerunkiem Matki Bożej słynącej łaskami. Nabozęństwa ku jej czci urządzano w II niedzielę miesiąca. Zanoszono prośby, a najlepsi kaznodzieje przemawiali do wiernych. Był wśród nich charyzmatyczny, zapamiętany do dzisiaj sługa boży o. Bernard Łubieński (1846-1933).

Od tego czasu losy obrazu Matki Bożej Nieustającej Pomocy związane są ściśle z historią miasta.

To właśnie pomocy Matki Bożej mieszkańcy Mościsk przypisują dwukrotne uratowanie miasta od zniszczenia. Najpierw podczas walk i bombardowań w 1914 r., kiedy to wojska rosyjskie i austriackie toczyły bitwę o Mościska, a później także w 1939 r., podczas niemieckiego bombardowania miasta, kiedy to olbrzymia bomba tkwiąca w ziemi zaledwie metr od kościoła okazała się niewypałem.

W 1945 r. wiele rodzin opuściło Mościska. Udający się do Polski niewiele mogli ze sobą zabrać, ale nie zapomniano o krzyżach, figurach i sztandarach kościelnych. Obraz Matki Bożej z mościskiego kościoła także podzielił los ówczesnych wygnańców. Znalazł się jednak szczęśliwie w Tuchowie, gdzie został umieszczony w kaplicy seminarnej. W niej modlili się przyszli misjonarze i następcy o. Bernarda. Pod czujnym okiem Matki N P mogli wzrastać duchowo i umacniać swoje powołanie. I choć wielu z nich nie знаło dokładnej historii obrazu, pamięć o jego mościskim pochodzeniu nigdy się nie zatarła. Nie sądzono jednak, że kiedykolwiek dane mu będzie tam powrócić.

Tymczasem plany Boże nie są tak krótkotrwałe, jak historie imperiów. Po upadku murów wschodnich, po 1989 roku otworzyła się granica z Ukrainą. Do kościołów i dawnych klasztorów zaczęli wracać kapłani i zakonnicy. W 1990 r. oo. redemptorysty odzyskali kościół w Mościskach, który był dotąd składem materiałów dla pobliskiego szpitala. Zaczęto ratować kościół przed zniszczeniem. Ludzie zaangażowali się jak przy budowie własnego domu.

Władysław Kopacz

Wspomnienie z Obrony Lwowa wrzesień 1939 r. (c.d.) (III)

Sobota 2-go września 1939 roku, od samego rana do późnego zmroku część różnych zajęć w koszarach, przeplatanych wymarszem na miasto niespodziewanie, a nawet i wyskok w jakąś dzielnicę. Chociaż obładowani amunicją i granatami, rezerwą żywności, a w manierkach kawa, to kompanii humor dopisywał i ze śpiewem do koszar wracaliśmy.

Podczas przedpołudniowego odpoczynku z dala od miasta, od strony zachodniej, nasz dowódca kompanii objaśniał nam, co w tej widocznej panoramie lwowskiej widać. O tam, wskazał ręką. To Wysoki Zamek, – nieco po prawej stronie od dworca PKP Lwów Podzamcze, a u jego podnóża są Zakłady Spirytusowe pana Baczewskiego, a tam na lewo – są Zakłady Mięsne czyli Rzeźnia.

Nieśmiało pytamy się, a w którym kierunku jest słynny Cmentarz Orłąt Lwowskich? – niestety stąd nie widać.

Przynosili do kościoła wszystko to, co ocalili oni sami lub ich rodzice. Ze strychów, komórek, tajemnych schowków, powracały do kościoła przechowywane od 50 lat świeczniki, części ołtarzy, obrazy. Odnawiany kościół zaczął gromadzić cenne pamiątki wiary i przypominać godne postawy dawnych mościszczan. Tak spotkały się dawne wspomnienia z nowymi nadziejami.

Nadszedł rok 1995. Przywołując myśl św. Łukasza zawartą w opisie nawiedzenia Elżbiety, można powiedzieć, że Maryja po 50 latach z pośpiechem wyruszyła w drogę powrotną na Wschód. Widocznym znakiem zaś tej pielgrzymki stał się Jej obraz. W uroczystej procesji ponownie została wprowadzona do swojego kościoła i sanktuarium w Mościskach. I tak jak kiedyś, wyszła ze swoimi, by towarzyszyć im w drodze i dzielić ich niedolę, tak obecnie wróciła do ich krewnych, do miasta, gdzie jest zwyczajnie kochana i czczona.

Gdy przyjrzymy się uważnie Jej posrebrzanej sukience, a także Jej dłoniom i twarzy, można zauważyć rzecz charakterystyczną: zarówno twarz, dłonie, jak i suknia są szorstkie, wysmagane wiatrem i deszczem. Naznaczone dalekim i trudnym wędrowaniem. Jest to znak Jej obecności i trwania wśród wszystkich okolicznych mieszkańców, wywożonych w latach 1939-1942 na Sybir, wśród których byli także dwaj redemptorysty, będący stróżami w mościskim kościele: o. M. Karaś i o. K. Lendzion. Ta matczyna pomoc i obecność w tych ciężkich czasach odbiła się na Jej obliczu. Matka Boża Nieustającej Pomocy wygląda tak, jakby fizycznie dzieliła los emigrantów i tych, pozostających na miejscu.

Obecnie mościszczanie starają się o koronację obrazu Matki Bożej. Zapewne ich Matka otrzyma korony. Będzie to religijny gest dziękczynienia za dar Jej macierzyńskiej opieki. Do tych podziękowań należy dołączyć także historię o Jej błogosławionym wędrowaniu z ludźmi przez Ukrainę i Polskę do kościołów i domów. Jej drogę przebyła z Mościsk do Borysławia, Krakowa, Rychowa i powrotu do swego kościoła, w którym ponad sto lat temu obrała sobie miejsce. Ta historia będzie cenna jak każde wotum, za którym kryje się żywy człowiek. □

Jest we wschodniej dzielnicy Łyczaków, odrzekł. Może tam pójdziemy, chcielibyśmy zobaczyć, niestety, nie mieliśmy szczęścia by zamiar się spełnił.

Niedziela 3-go września 1939 roku, dość wcześnie rano wyruszyliśmy na północny zachód, czyli w kierunku Brzuchowic. Dowódcą kompanii był chorąży. Tamże, zapoznajemy się z terenem już poza dzielnicą Kleparów błonia? poligon? pogoda piękna słoneczna, a sam widok na miasto Lwów jeszcze cudniejszy niż wczoraj. Wracamy do koszar.

Gdy mineliśmy tor kolejowy i weszliśmy z ulicy Warszawskiej na ulicę Kleparowską, nagle alarm lotniczy zastał nas w takim sobie parku, obok kąpieliska? Po dłuższej chwili słychać było szum nadlatujących samolotów. Lecą? jakby nad naszymi głowami nieco po północnej stronie.

Kryć się i nie strzelać, rozkazuje nam chorąży, pełniący dziś dowództwo kompanii. Kolega z drugiego plutonu Engel Władziu mówi – bombardują stację PKP Podzamcze, widać to słabo, ale za to dobrze w górę samoloty.

Kompania nie wytrzymała nerwowo, rozpoczęła się huraganowa i beładna strzelanina, widząc takie dogodnie i łatwe do zestrzelenia samoloty wroga, tak bliźutko nad nami i to w niecałą minutę od pierwszych samolotów nurkujących. Nie trwało to długo bo już w drugiej lub trzeciej minucie, dało się zauważyć, że Niemcy z tego obszaru widać co sił w motorach – uciekali skąd przylecieli.

Każdy z nas do tych samolotów i nie tylko nasza kompania i inni tu przygodni żołnierze, wystrzelił sporą porcję pocisków z KBK. Huraganowy ogień zaporowy? musieli zauważyć i odczuć lotnicy niemieccy, a może? i liczyli dziury w swych samolotach, a może i ostrzegali innych, bo ostatnie eskadry samolotów niemieckich zrzuciły swe bomby wcześniej nie dolatując do tej dzielnicy, szybko zawróciły.

Działo się to w chwili kiedy ludzie szli do kościoła lub ze mszy świętej powracali. A w godzinach popołudniowych obok koszar przeszedł kondukt pogrzebowy.

Trzeci pluton wyznaczony został do przeprowadzenia patrolu w tamtym kierunku i ewentualnego udzielenia pomocy. Wieczorem kiedy koledzy wrócili z wielką ciekawością zapragnęliśmy zwiedzić te zbombardowane miejsca, by chociaż przez chwilę porównać skutki nalotu lotniczego i faktycznych zniszczeń z naszymi ćwiczeniami przeciwpożarowymi w koszarach w Śremie. Na co przydałyby się gaśnice, tłumice płomieni, piasek i woda na strychach budynków?

Niestety rozwój ciężkiej sytuacji w mieście z braku regularnych oddziałów wojska polskiego nie pozwolił nam na nasze zachcianki. Ta niedziela była smutna i bolesna, mimo, że już po południu mieliśmy odpoczynek, który bezczynnością nas dobijał.

W takich to okolicznościach pogrążeni w smutku i bardzo nerwowych oczekiwaniach jutra, wieczór i noc przedłużała się w nieskończoność. Rozważmy, czy tu do Lwowa i kiedy Niemcy dojdą? czy też musimy do nich się wybrać. Najlepiej abyśmy pomaszerowali nad rzekę San i tam się okopali, radzi kolega Bronek Zięzio pochodzący z tamtejszych stron.

Taką też propozycję przedstawiamy naszemu dowódcy kompanii. Nic z tego, od jutra będą znów te ciągłe marsze po ulicach Lwowa i dalej poza miasto. Raz ubrani w mundury drelichowe w czapach rogatywkach, to znów w hełmach, to w owijaczach i sukienkach mundurach oraz obowiązkowo – sznury strzeleckie i krokiewki – piątki V czerwone na lewym rękawie.

Idziemy w miasto całą kompanią, a po chwili drugi pluton poszedł w prawo w ulicę Janowską, pierwszy pluton naprzód ulicą Gródecką, a trzeci pozostał z tyłu, gdzie skręcili? koło placu Bema? nie wiem.

Było już całkiem ciemno gdy plutony powracały do koszar. Nikt nic nie mówi, każdy stara się szybko umyć i położyć do łóżka. Odpocząć.

W poniedziałek już o dobrym świcie dnia – cichutki alarm, wszyscy są gotowi na zbiórce. Przegląd kompanii i jej wyposażenia wypadł wzorowo, pan porucznik Polityło Józef jest najwyraźniej zadowolony, więc bez większych „ceregieli” maszerujemy przed siebie.

Po wschodzie słońca domyślamy się, że idziemy na zachód, ale ta dzielnica jest nam nieznana, nowe domy,

nawet ogródki pięknie utrzymane i znów z drugiego plutonu dochodzi do nas głos, że idziemy przez Lewandówkę w kierunku – do Zimnej Wody. Czy tam doszliśmy? Nie pamiętam, bo dowódca kompanii rozmawia z mieszkańcami dość wesoło, a my raczej zerkaliśmy za ... ładnymi panienkami. I rozkaz: wracamy do koszar na zasłużone śniadanie. Niestety nie zdążyliśmy, bo dyżurny zapowiada, że za godzinę będzie obiad. Kasza jęczmienna z gulaszem wołowym. Cierpliwie czekamy na ten obiecany obiad.

W drużynach i plutonach jest ożywiona dyskusja – rozmowy, padają najprzeróżniejsze wnioski, a dowódca im się przysłuchuje. Nic nie mówi, tylko słucha. Ogólny nastrój, można tak powiedzieć, jest dobry.

Na tablicy koledzy przedstawiają i rysują swoje spostrzeżenia z terenu, ... okopy, zasadzki, gdzie i jak daleko wyjść Niemcom naprzeciw – główne drogi? czy też polne ścieżki zagajniki czy las? którądy Niemcy nadejdą, skąd nikt nie wie. Dowódca jest też zakłopotany, wieści z pół bitew nadchodzą nie bardzo wesołe. Nie wiadomo jak ułożył się front, gdzie swoi, a gdzie nieprzyjacieli? Podobno jeszcze bardzo daleko od Lwowa. Tu na razie względna cisza.

Bieda jest w tym, że my nie znamy terenu, prosimy dowódcę kompanii o mapę okolic Lwowa, może mapę Polski z tą wschodnią częścią województwa lwowskiego, choć trochę zapoznać się, oznajmiamy, że w Śremie szkolono nas, iż dowódca patrolu, plutonu czy kompanii bez mapy terenu w którym działa – jest „ślepy”. My tu jesteśmy obcy. Dowódca usiadł z tyłu sali i nadal przysłuchiwał się naszym rozmowom. Z pamięci koledzy rysują na tablicy przybliżony plan tego obszaru, miasta, rzeki i strumyki, a może i wsie, miasteczka. Dowódca podszedł do tablicy i naniósł swoje poprawki do tego szkicu okolic Lwowa. Wyszedł bez słowa.

Obiecana na obiad kasza jęczmienna z gulaszem nawet nam smakowała, popiliśmy kawą zbożową, chleb kamiśny ze smalcem pakujemy do chlebaków. Krótko po obiedzie wykład. Prowadzi go dowódca kompanii w towarzystwie cywila i kilku innych oficerów. Niewiele z tego wykładu zrozumieliśmy. Po pierwsze: tak na dobrą sprawę utkwiał nam w głowach teoretyczny pamięciowy obraz wokół miasta, ale to nie to co mapa.

Po drugie: nasze wnioski, jak daleko podejść na spotkanie z wrogiem i wybranie dogodnych stanowisk obronnych, czujki, placówki i główne okopy? drogi zaopatrzenia i ewentualnego wycofania się lub pójścia w przód. Z kim stoczy się pierwszą bitwę i z jakim silnym wrogiem. Wojna trwa, a my poza tą strzelaniną do niemieckich samolotów, nie wystrzeliliśmy ani kuli. Nosimy to wszystko ze sobą. Na co czekamy? nie wiemy – pada uszczypliwe słówko: a co ci się śpieszy dostać kulę w łeb? lub w d..., dobra jest, możemy tak chodzić po Lwowie do końca wojny. Przecież to dopiero czwarty dzień walk. Wiadomości z frontu jest mało, wszędzie podobno wojsko polskie bije się z Niemcami wzorowo, jeszcze nad granicami. A więc jest bardzo daleko od nas.

Po wysłuchaniu naszych życzeń, dowódca kompanii i towarzyszące mu osoby, ze zdumieniem i porozumiewawczo kiwają głowami i już chyba wiedzą, jaki program szkoleniowy przeszliśmy w SPP nr 2 w Śremie, bo są mile zaskoczeni i jakby rozczerowani – bo co który z nich zapytał się naszych kolegów – ci bardzo rzeczowo i zwięźle, krótko odpowiadają.

Cywil ma minę na twarzy jakby nas egzaminował i stawił same bardzo dobre stopnie. Jest zadowolony, jakby uradowany. Domyślamy się, że nie musi nas uczyć, czego nie wiemy?

I tak na wielu rozmowach zupełnie już luźnych, jakby poufale, rozmawiamy już swobodnie na temat ewentualnego starcia się z wrogiem. Wreszcie ten cywil uchylił nam rąbka tajemnicy: Niemcy stosują zupełnie nową technikę walki. Broń maszynowa szybkostrzelna, czołgi nie są z tektury, jak głosiły plotki, dywersja i masy ludzi uciekających przed wrogiem.

Samoloty niemieckie już widzieliśmy, czołgów, nawet z fotografii, nie artyleria? na wiele naszych pytań nie otrzymujemy odpowiedzi. Dowódca kompanii oświadcza nam, że chętnie by i sam te czołgi chciał zobaczyć, widzieć na własne oczy. Czy samym granatem obronnym można go uszkodzić, zniszczyć? Na ten temat nie mamy żadnych bliższych informacji.

Jak z Niemcami walczyć? w okopach? luźno w polu? przy drodze? Pan cywil z uśmiechem poucza nas, że najcięższa chwila styku z wrogiem to przetrzymać pierwszy strach, szok i nie ulec panice. Hitlerowcy też mają pietra,

Tadeusz Radomański

Pamięci prof. dr. hab. Stanisława Liebarta



W dniu 18 marca 2000 roku w Sali Senatu Akademii Medycznej w Lublinie. Pełnił także funkcję prorektora Akademii Medycznej i dziekana Wydziału Lekarskiego. Ponadto był członkiem Rady Naukowej przy Ministrze Zdrowia oraz pełnił funkcję Prezesa Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego i Prezesa Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Endokrynologicznego. Przez wiele lat sprawował opiekę nad Klubem AZS Lublin.

Wykształcił wielu świetnych pracowników naukowych, profesorów i doktorów oraz ordynatorów oddziałów ginekologiczno-położniczych. Na uroczystym spotkaniu wspominano Jego pasję życiową, rozległe zainteresowania filozofią, literaturą i sztuką oraz liczne anegdoty związane z Jego osobą. Profesor utrzymywał kontakty towarzyskie i przyjacielskie z lubelskimi Lwowiakami i Kresowiakami oraz z innymi ośrodków akademickich w Polsce.

Był gorącym patriotą i wielbiciele ukochanego Lwowa, miasta zawsze wiernego. Wielokrotnie wyróżniany i nagradzany, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą odznaką Honorową „Zasłużonemu dla Miasta Lublina”, Złotą Odznaką AZS.

gdy polskie kule świszczą im koło ucha lub pocisk skubnie ich po tyłku.

Po dłuższej naszej takiej pogawędce, zupełnie odprężeni, że z oficerami rozmawiamy, teraz na dobre wre gorączkowa atmosfera. Wstępuje w nas nowy duch bojowy, ustalamy i przyrzekamy, że gdy dojdzie do spotkania z Niemcami, to wytrzymamy nerwowo. Pan porucznik przyznaje koledze rację, że dobry i spokojny strzał, to martwy Niemiec.

Tak, szanowni elewi, macie rację, ale ten każdy strzał musi być celny, a sądząc po waszych sznurach strzeleckich, to do celu nie chybiacie. Jakby polecił nas ten pan cywil. Wszyscy mają sznury strzeleckie, to doborowa kompania.

Nieco na serio ktoś z kolegów obliczył, że gdyby każdy żołnierz polski trafił i na śmierć zabił tylko czterech do pięciu Niemców, to będzie po wojnie. No, nie bardzo – odpowiedział dowódca kompanii – coś by tam jeszcze Niemców pozostało. I tak upływały godziny na tych rozważaniach, co by, gdyby itd. Ta narada, niby odprawa, rozwiązała nam języki, że na kolację wypiliśmy... i drugą porcję kawy. (c.d.n.)

szym również Katedry Chorób Kobiety i Położnictwa Akademii Medycznej w Lublinie. Pełnił także funkcję prorektora Akademii Medycznej i dziekana Wydziału Lekarskiego. Ponadto był członkiem Rady Naukowej przy Ministrze Zdrowia oraz pełnił funkcję Prezesa Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego i Prezesa Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Endokrynologicznego. Przez wiele lat sprawował opiekę nad Klubem AZS Lublin.

Wykształcił wielu świetnych pracowników naukowych, profesorów i doktorów oraz ordynatorów oddziałów ginekologiczno-położniczych.

Na uroczystym spotkaniu wspominano Jego pasję życiową, rozległe zainteresowania filozofią, literaturą i sztuką oraz liczne anegdoty związane z Jego osobą. Profesor utrzymywał kontakty towarzyskie i przyjacielskie z lubelskimi Lwowiakami i Kresowiakami oraz z innymi ośrodków akademickich w Polsce.

Był gorącym patriotą i wielbiciele ukochanego Lwowa, miasta zawsze wiernego. Wielokrotnie wyróżniany i nagradzany, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą odznaką Honorową „Zasłużonemu dla Miasta Lublina”, Złotą Odznaką AZS.

Inicjatorami i organizatorami spotkania byli: uczniowie i współpracownicy profesora Liebarta, dziś profesorowie: lwowianin Tadeusz Radomański oraz mąż lwowianki Radzisław Sikorski.

W miesiącu maju br. odbyła się również w Lublinie uroczystość związana z 45-leciem istnienia Medycznego Studium Zawodowego im. prof. Dr. Stanisława Liebarta. Profesor był gorącym rzecznikiem powołania w Lublinie szkoły położnych. W obecności licznie przybyłych absolwentek szkoły – położnych nauczycieli i zaproszonych gości, wspominano Profesora, który często podkreślał rolę położnej jako niezastąpionej i nieodłącznej towarzyszką pracy lekarza ginekologa.

Wspomnienie o profesorze Liebhartcie

Profesora poznałem pewnego zimowego popołudnia w roku 1949 w lokalu klubowym AZS Lublin, do którego przyszedł razem z profesorem Tadeuszem Kielanowskim. Odbýwał się w tym czasie trening sekcji pingpongowej. Profesor przywitał się z nami bardzo serdecznie, traktując jak kolegów, azetesiaków. Gdy przedstawiając się powiedziałem, że pochodzę ze Lwowa, profesor ożywił się i zaproponował wspólne rozegranie jednego deblowego seta. Z wielką treścią stanąłem za stołem pingpongowym, w parze z profesorem Liebhartem. Naprzeciwko nas był profesor Kielanowski i jeden z moich kolegów. Po zaciętej grze wygraliśmy. Nie wiedziałem wówczas, że spotykam człowieka, który w przyszłości stanie się moim nauczycielem i akademickim przyjacielem.

Profesor przybył do Lublina w roku 1949, późną jesienią, aby objąć po profesorze Januariuszu Zubrzyckim nowo organizowaną klinikę oraz Katedrę Ginekologii i Położnictwa UMCS. Do przyjazdu Profesora przyczynił się ówczesny dziekan Wydziału Lekarskiego UMCS, a od roku 1949 rektor Uniwersytetu, przybyły wcześniej do Lublina lwowianin, profesor Tadeusz Kielanowski. Profesor Liebhart dołączył do grupy pracowników naukowych, którzy wygnani ze Lwowa przybyli do Lublina tworząc podstawy rodzającego się ośrodka naukowego.

Profesor Liebhart urodził się dnia 6 marca 1897 roku w Kołomyi. Ojciec wiedeńczyk, Gustaw Liebhart był prawnikiem, a matka Zofia pochodziła ze szlacheckiej rodziny polskiej z Wołynia, z rodu Szybalskich. Szkołę podstawową oraz siedem klas Gimnazjum Klasycznego ukończył w Kołomyi. Był wyróżniającym się uczniem, w wieku 17 lat napisał tomik wierszy lirycznych.

A błogosławie –

*Ludziom, co tęsknią na męczącej jawie
do słońca –*

Co tęsknią do baśni zrodzonej z tęczy

Wzrokiem zawiśli na lśniącej obręczy

co w dali rozkwita –

i trwają do końca ...

I co z bakchanckim okrzykiem na ustach

Z szaleńczym, obłądnym wciąż krzyczą uporem

Evviva vita ...

tak pisał Profesor.

Z własnej inicjatywy założył kółko filozoficzne, które miało siedzibę w domu rodziców. Do klasy ósmej profesor uczęszczał w Gimnazjum Polskim w Wiedniu, gdzie w roku 1915 uzyskał świadectwo dojrzałości. Studia na Wydziale Lekarskim rozpoczął we Lwowie na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza. Był wyróżniającym się studentem. Dyplom doktora nauk lekarskich uzyskał w 1924 roku i podjął pracę jako hospitant w lwowskiej Klinice Położnictwa i Chorób Kobiety, kierowanej przez profesora Kazimierza Bocheńskiego. Po roku pracy został starszym asystentem. W Klinice lwowskiej dzięki szerokim zainteresowaniom, tak w zakresie medycyny jak również w innych dziedzinach wiedzy, zaskarbił sobie szacunek i zaufanie wśród chorych, wśród współpracowników i profesora. Posiadał niezwykle pasję stawiania śmiałych hipotez i tropienia na każdym kroku tajemnic życia. Zawsze dynamiczny, pełen energii, umiał nie tylko prowadzić prace kliniczne, lecz także właściwie je wykorzystać. Opublikowane w tamtym okresie prace obejmują szeroki wachlarz zagad-

nień z zakresu położnictwa i ginekologii, a zwłaszcza z dziedziny endokrynologii, nauki w owym okresie nowej i mało znanej. W okresie przedwojennym ogłosił drukiem 44 prace naukowe, w tym w czasopismach francuskich i niemieckich. Brał udział w życiu naukowym Lwowa pełniąc szereg obowiązków w towarzystwach naukowych, organizacjach społecznych oraz w ówczesnej Izbie Lekarskiej. W roku 1937 był wiceprezesem, a w latach 1938-39 prezesem lwowskiego Towarzystwa Ginekologicznego. Należy wspomnieć, że szczególnym zainteresowaniem profesora cieszyło się życie sportowe młodzieży akademickiej, w którym brał aktywny udział. Grał w tenisa, uprawiał lekką atletykę oraz sporty zimowe. Był współorganizatorem i pierwszym prezesem nowopowstałego Akademickiego Związku Sportowego we Lwowie. Pracując w klinice profesor, przeszedłszy kolejne stopnie kariery zawodowej i naukowej, w roku 1939 r. złożył pracę habilitacyjną.

Z chwilą wybuchu II wojny światowej został zmobilizowany i pracował w szpitalu wojennym we Lwowie. Po zajęciu Lwowa przez bolszewików pracował w charakterze głównego lekarza w Instytucie Medycznym. W czasie okupacji niemieckiej został zwolniony z Instytutu, aresztowany i więziony jako zakładnik.

Po przymusowej ekspatriacji ze Lwowa w roku 1945 przybył do Wrocławia, skąd po krótkim pobycie wyjechał do Krakowa. W latach 1946-1948 pracował w krakowskiej klinice położniczo-ginekologicznej już jako docent. W tym okresie nawiązał wiele ciekawych kontaktów z przedstawicielami środowisk intelektualnych i artystycznych. W roku 1949 profesor Liebhart przybył do Lublina i po nominacji na profesora nadzwyczajnego objął kierownictwo Kliniki Chorób Kobiety i Położnictwa Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej, a od roku 1950 – Akademii Medycznej.

Z chwilą przybycia profesora do Lublina rozpoczęła się organizacja uniwersyteckiego ośrodka ginekologiczno-położniczego. Z młodzieńczym wręcz zapałem kieruje remontem nowo objętej kliniki, w której rozpoczął działalność leczniczą i naukową w 1949 roku. Profesor wtedy stwierdził: „...wreszcie mogę realizować swoje marzenia sprzed 15 lat”. Lata borykania się z trudnościami, przeżycia wojenne przeszły jak gdyby obok nie pozostawiając śladów na Jego twarzy. Zawsze pogodny, żywy jak srebro, potrafił zapalić swym ogniem do pracy oddanych mu współpracowników i rozbudzić w nich szerokie zainteresowanie w działalności klinicznej i naukowej. Pomagała mu w tym jego wszechstronna wiedza, błyskotliwa inteligencja, ujmujący i niekonwencjonalny sposób bycia. Profesor mówił szybko, zdecydowanie pięknym językiem z akcentem lwowskim. Cechował go ciepły i serdeczny stosunek do chorych, do lekarzy, personelu średniego oraz technicznego.

Do historii przeszły wykłady profesora niezwykle jasne i logiczne, często przetykane żartami, przykładami z własnej przebogatej praktyki. Studenci niejednokrotnie bawili się znakomicie. Podczas jednego z wykładów Profesor zachęcał studentów, aby sami spróbowali określić definicję krwawienia miesięcznego. Po różnych próbach padających z sali zaproponował własną: „*krwawienie miesięczne to krwawe lzy niezaspokojonej macicy*”. Tak podana wiedza pozostawała na całe życie.

Wielu kolegów zapewne pamięta, jak punktualnie o godzinie 10.30 przyjeżdżał do kliniki dorożką, ulubionym

w tamtych czasach środkiem lokomocji. Raz w tygodniu z całym zespołem prowadził wizytę, jednak na salach chorych i w sali operacyjnej bywał codziennie. Przez wiele lat po Jego odejściu spotykaliśmy niekiedy starsze już panie, leczone niegdyś przez profesora, które wspominały jego serdeczną opiekę i oddanie, podkreślając wciąż trwającą głęboką wdzięczność.

Z biegiem lat przybywało profesorowi coraz więcej godności, a wraz z nimi nowych obowiązków. Był członkiem Rady Naukowej przy Ministrze Zdrowia, dziekanem Wydziału Lekarskiego, następnie prorektorem A M w Lublinie. Przez wiele lat prezesował Oddziałowi Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego. Był Przewodniczącym XII Zjazdu Naukowego PTG w Lublinie. Wielu z nas pamięta jeszcze wyjazdowe konferencje PTG organizowane z inspiracji profesora przez ordynatorów oddziałów ginekologiczno-położniczych na Lubelszczyźnie.

W jednym z wywiadów udzielonych w 1963 roku z okazji piętnastolecia pracy profesora w Lublinie, na pytanie, czy po latach lwowskich pokochał Lublin odpowiedział: „... *pokochałem to miasto i nie mam ochoty go opuścić. Mam wiele wspomnień związanych z Lublinem. Wspomnień różnych, nawet jeszcze z czasów lwowskich, kiedy podróżując samochodem ze Lwowa do Warszawy zatrzymywałem się właśnie w Lublinie, u przyjaciół. Nie myślałem wtedy, że Lublin stanie się kiedyś moim drugim, po Lwowie, miastem.*”

Dzisiaj z rozrzewnieniem wspominam osobiste spotkania z Profesorem i docentem Bartoszewskim, podczas których w gronie lwowiaków profesor otwierał swój skarbiec wspomnień. Opowiadał o swoich przyjaźniach z wybitnymi postaciami kultury, nauki i sportu, o pracy w klinice profesora Bocheńskiego, o licznych wizytach w klinikach europejskich, a nade wszystko o ukochanym Lwowie.

Profesor był w każdym calu erudytą. Znał doskonale literaturę polską, czytał dzieła klasyków niemieckich i francuskich. Interesował się historią Polski. Poza wyda-

Ludwik Wawryszyn

Haniebne dzieło zaborców

Tragiczne daty: 1 i 17 września 1939 r.

Polska podpisała traktaty o pokojowej i dobrosąsiedzkiej współpracy z Niemcami w 1935 r. i Rosją Radziecką w 1932 r., ale skłonności zaborcze u obu naszych „dobrych” sąsiadów w sferze służb zagranicznych, wywiadu i dywersji ideologicznej ciągle się rozwijały. Cały obszar Polski, jej bogactwa naturalne, zbiory kultury narodowej, pracowita i ambitna ludność – to wszystko kusiło do rozpoczęcia podboju i grabieży.

Traktat Ribbentrop-Mołotow zawarty 25 sierpnia 1939 r. (wraz z jego tajnym protokołem dodatkowym) spełniał pragnienie zaborców, by dokonać IV rozbioru Polski. W spokojnym sumieniu narodów Europy mogli oni znaleźć pewien rodzaj dopingu ku temu. Jeszcze 29 sierpnia 1939 r. rząd Wielkiej Brytanii przez ministra spraw zagranicznych przekazywał własne przekonanie rządowi polskiemu, że Herr Hitler chce z Polską rozwiązać swoje problemy pokojowo. Polska musi więc odwołać zarządzoną wcześniej mobilizację powszechną. Presja była tak silna,

niem pięciu podręczników z dziedziny położnictwa i ginekologii, marzeniem profesora było napisanie książki o lekarzach jako powieściopisarzach i twórcach oraz małej encyklopedii o kobiecie. Niestety stan zdrowia nie pozwolił na spełnienie tych planów.

Profesor wspierał i był gorącym rzecznikiem powstania w Lublinie szkoły położnych, która działając do dzisiaj, nosi Jego imię. Jak doskonale współbrzmia to z jego wypowiedzią, że „...położna jest niezastąpioną, nieodłączną towarzyszką pracy lekarza położnika”.

Profesor zawsze interesował się sportem akademickim. Do ostatnich dni był opiekunem Klubu AZS Lublin. Był inicjatorem i entuzjastą spotkań piłkarskich pomiędzy ginekologami i chirurgami. Miałem przyjemność być, wyznaczonym przez profesora, kapitanem drużyny ginekologów. O puchar Jego imienia przez wiele lat Klub Uczelniany AZS Akademii Medycznej w Lublinie organizował ogólnopolskie turnieje koszykówki, które dość szybko uzyskiwały rangę nieoficjalnych mistrzostw Polski Akademii Medycznych.

To wspomnienie o profesorze Stanisławie Liebhartcie nie oddaje w pełni tego, jakim był, jak pracował, w jakim stopniu wpłynął na nas, Jego uczniów. Codzienna praca, ilość minionych lat, czy może zawodna pamięć nie zawsze pozwalają nam czynić odniesienia do tego, czego nas nauczył. Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy z tego, ile Jego pozostało w nas. Na pewno dużo.

Odchodzą ludzie, po których zostaje pamięć i dobre wspomnienie. Odchodzą też ludzie, którzy zostawiają po sobie coś więcej. Jakże wymowne są te chwile zadumy.

Zmarł, wierny stanowi kawalerskiemu, 29 marca 1968 roku przeżywszy 71 lat.

Dla zachowania pamięci o profesorze Liebhartcie, dla przyszłych pokoleń ginekologów i położników, aby wiedzieli, że był i pracował w tym mieście człowiek tak wybitny i niepowtarzalny, w Klinice Ginekologii A M w Lublinie, w 50-tą rocznicę akademickiego nauczania położnictwa i ginekologii, wmurowana została tablica Jemu poświęcona. □

że mobilizację odwołano. Prawie 750 tysięcy rezerwistów i ochotników wysłano do domów.

1 września 1939 r. wojska niemieckie przekroczyły granicę RP mając wielokrotną przewagę w uzbrojeniu i ludziach. Mimo oporu wojska polskiego parły z trzech stron na Warszawę. Wola obrony niepodległości, honor i duch walki były ogromne, jeśli się uwzględni jak padła Holandia, Belgia, Dania, Czechosłowacja czy Norwegia. Ale sama wola walki i honor żołnierza polskiego nie mogły przeważyć potężnej nawałnicy, zwłaszcza po przystąpieniu do haniebnego dzieła Armii Czerwonej.

17 września 1939 r. o godzinie 3 nad ranem czasu moskiewskiego zastępca Mołotowa, Potiomkin, odczytał ambasadorowi polskiemu, Grzybowskiemu, notę rządu sowieckiego. Stwierdzono w niej m.in.: „Wojna niemiecko-polska ujawniła wewnętrzne bankructwo państwa Polskiego (...) Warszawa jako stolica polski już nie istnieje. Rząd Polski uległ rozkładowi i nie ukazuje przejawów życia.

Oznacza to, że państwo polskie i jego rząd przestały faktycznie istnieć."

Grzybowski odmówił przyjęcia noty. W godzinę później „wyzwolenicza” Armia Czerwona przekroczyła wschodnią granicę RP. Najazd z tej strony był zaskoczeniem dla dowództwa wojskowego i władz cywilnych. Większość wojska była przecież zaangażowana w walce z Niemcami. Na wschodnich granicach Polski pozostawały słabo uzbrojone siły Korpusu Ochrony Pogranicza, które nie mogły przeciwstawić się napastnikowi uderzającemu Frontem Ukraińskim i Białoruskim.

Po wkroczeniu do Polski czerwonoarmijcy rozrzucali tysiące ulotek w kieleckiej polszczyźnie wzywających ludność i szeregowych żołnierzy do wspomagania zaborcy. W jednej z takich ulotek czytamy: „Rzolniezre Armii Polskiej! (pisownia oryginału). W te ciężkie dni dla Was Związek Radziecki wyciąga Wam ręce braterskiej pomocy. Niesprzeciwicie się Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Wasze przeciwienia się kożyści przeznaczono na całą zgubę. My idziemy do Was nie jako zdobywcy, a jako Wasi bracia po klasie, jako Wasi wyzwolenicy od ucisku."

Idące na zachód oddziały Armii Czerwonej wmawiały na mitingach zgonionej ludności cywilnej, że idą walczyć z Niemcami, aby oni nie zabrali całej Polski. Wziętych do niewoli żołnierzy polskich czerwonoarmiści w ramach łamania psychiki (i tak złamanej po klęsce) częstowali papierosami, a dzieci na ulicach chałwą i landrynkami. Dezorientacja była duża, skoro dowódca Armii „Warszawa” gen. Rommel nakazał dowódcy w Brześciu nad Bugiem „traktować wojska sowieckie jako sprzymierzone".

Późnym wieczorem 17 września 1939 r. naczelny wódz, marszałek Śmigły Rydz napisał: „Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony albo próby rozbrojenia oddziałów. Zadanie Warszawy – i miast, które się miały bronić przed Niemcami – bez zmian, to jest walka i obrona. Miasta, do których podejść bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier i Rumunii".

Było to złudne pociągnięcie, bowiem w krajach neutralnych przedostające się tam oddziały polskie, w myśl

konwencji międzynarodowej, musiały być rozbrojone i internowane. Rozmiękczenie ducha bojowego, woli walki i obrony ojczyzny nie wszędzie jednak miało miejsce.

Doszło do szeregu starć zbrojnych. Pod dowództwem gen. Orlik-Ruckemana bataliony KOP walczyły w regularnych bitwach: pod Szackiem (28.IX) i Wutyczynem (1 X). Pod Oranami i Grodnem opór oddziałom Armii Czerwonej przy pomocy ochotników cywilnych stawiano przez dwa dni. Pod Kodziowcami nad Czarną Hańczą 101 rezerwowi pułk ułanów stoczył bitwę z sowieckimi oddziałami pancernymi, w wyniku której zniszczono 22 czołgi. Była to największa zwycięska bitwa z najeżdżącą wkraczającym od wschodu.

Niestety, grabież polskich ziem wschodnich i północnych przez Armię Czerwoną postępowała: 17 IX – Baranowicze, Równe, Tarnopol, 18 IX – Lida, Nowogródek, 19 IX – Wilno, 21 IX – Grodno, 22 IX – Białystok i Brześć nad Bugiem, gdzie obaj najeżdźcy urządzili sobie wspólną defiladę zwycięstwa na oczach tysięcy polskich jeńców pędzonych do niewoli. 22 IX oddziały niemieckie przekazały Armii Czerwonej Lwów.

Wiara rządu polskiego i żołnierzy polskich w przestrzeganie międzynarodowych konwencji i humanitarne zachowanie się zaborcy wobec narodu podbitego doprowadziła do wymordowania ponad 23 tys. oficerów w Katyniu, Miednoje, Charkowie, Kozielsku, wywózki na Sybir i większości na śmierć 1,5 mln Polaków. Straty biologiczne i materialne z okresu wojny były ogromne. Polska utraciła też 1/3 swoich terytoriów, które jako niezasłużona nagroda znalazły się w obrębie Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Mając w pamięci obraz cierpienia i strat narodu – przy rokowaniach z zaborcami, przy zawieraniu z nimi wszelkich umów należy przestrzegać trzech sakramentalnych zasad sprecyzowanych przez Marszałka J. Piłsudskiego. Oto one:

„zasada pierwsza – nie wierzyć,
zasada druga – nie wierzyć,
zasada trzecia – nie wierzyć".

Warto o tym pamiętać również w okresie pokoju i niepodległości. □

Pod koniec czerwca 1941 r., gdy ustał ostrzał artyleryjski miasta, nastąpiła złowroga cisza. Krasnoarmiejcy przestali strzelać do okien domów, wyszedłem w tę ciszę na ulicę (mieszkałem na górnej Zadwórzeńskiej, u zbiegu z ul. Dunin-Borkowskich) i trafił chładek, iż ulicą szedł młody człowiek niepewnym krokiem, niesamowicie błądzący, w którym rozpoznałem swego kolegę z gimnazjum, Apoloniusza Romańskiego. Pytałem, co się stało, a on w urywanych słowach opowiadał: Miećku ta ja byłem uwięziony w brygidekach (dawny klasztor Brygidzek) i jak NKWD wycofywało się, wyprowadzili nas z cel na dziedziniec i zaczęli strzelać z karabinów maszynowych. Niesamowita sceneria temu towarzyszyła, jęki, krzyki, ja padłem i znalazłem się pod stosem trupów i jeszcze żyjących ludzi, których NKWD dobijało z naganów. Myślałem, że nie żyję, ale po jakimś czasie wszystko ucichło, żyłem, słyszałem odgłosy, to ludzie z zewnątrz wywalali bramy. Ostatkiem sił wydostałem się spod zwalu trupów i po otwarciu bram poszedłem do domu. Nie wiem, co się stało potem z Apoloniuszem, czy przeżył wojnę, większość bowiem moich kolegów z gimnazjum zginęła potem w czasie okupacji niemieckiej i drugiej okupacji sowieckiej.

Po tym opisanym spotkaniu poszedłem z ojcem do miasta zobaczyć na własne oczy te morderstwa. Szliśmy ulicą Leona Sapiechy i doszliśmy do ul. Łęckiego. Z dala dochodził fetor trupi. Tam było więzienie. Cele więzienia stały otworem, a w nich zobaczyłem ludzi zmasakrowanych, księży w sutannach ukrzyżowanych do ścian i związanych drutem kolczastym, ściany obryzgane krwią zakrzepłą. Od ulicy Łęckiego było ogrodzenie (drewniany parkan), a za nim dziedziniec więzienny. Straszliwy odór unosił się tam, z chusteczką przy twarzy wspiąłem się na parkan przy pomocy ojca i zobaczyłem okropny widok: odkryty zbiorowy grób na dziedzińcu. W grobie tym leżała warstwa zwłok głębokości ok. 2 m. Zwłoki były wyciągane z dołu i układane rzędem na dziedzińcu. Te prace dokonywali spędzeni przez policję ukraińską Żydzi. Należy zaznaczyć, że do Lwowa przed Wehrmachem wkroczyły oddziały ukraińskie paramilitarne tzw. sicz Ukrainy oraz sławny oddział nacjonalistów ukraińskich „Nachtigal" oraz oddział „Roland", sformowane pod auspicjami Niemcami w Krakowie, gdzie działał Ukraiński Komitet Narodowy. Ten komitet powołał w pierwszych dniach lipca 1941 r. Rząd Zachodniej Ukrainy z Mielnikiem, Bandera i Steką. We Lwowie nastąpiła euforia ukraińska. Wszyscy Ukraińcy przyczepili sobie kokardki „sino-żółte" i paradowali po mieście. W tym czasie działał sławny oddział ukraińskich „Nachtigal" tzn. słowik, który zamordował wybitnych polskich profesorów wyższych uczelni wraz z rodzinami wg listy sporządzonej przez miejscowych Ukraińców.

Po wejściu do Lwowa wojsk niemieckich i administracji niemieckiej rząd ukraiński został rozwiązany, a przywódcy Mielnik i Bandera internowani w Berlinie, a po jakimś czasie zwolnieni. Mielnik w dalszym czasie kolaborował z Niemcami, a Bandera przeszedł do opozycji i rozpoczął tworzyć niepodległą Ukrainę, poprzez mordy ludności polskiej przy pomocy utworzonej UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii) tzw. banderowców.

W tym czasie zaczęły się mordy Polaków i eksterminacja Żydów przez Ukraińców. Powstała Policja Ukraińska zaczęła robić porządki w mieście. Do tych porządków zatrudniano Żydów. Pamiętam, któregoś dnia byłem w mieście i na Wąłach Hetmańskich Policja Ukraińska kazała spędzanym Żydom całować w odbyty padłe konie, a następnie ładować je na auta. Cała ta pożalowania godna scena odbywała się przy śmiechu i biciu nieszczęsnych Żydów.

W owym czasie miałem 19 lat, byłem po maturze i tak zaczęła się okupacja niemiecka. Byliśmy uratowani od dalszej wywózki (po kilku wywózkach Polaków na Sybir i do Kazachstanu w 1939 i 1940 r.) jak się okazało planowanej właśnie na czerwiec 1941 r.

Wspomnienia z lat okupacji 1941 – 1945

I. Okupacja niemiecka

Działalność konspiracyjną rozpocząłem we Lwowie w czasie okupacji niemieckiej. W owym czasie byłem szeregowym podchorążym AK, a moja działalność ograniczała się do skupu i przekazywania broni i amunicji. Równocześnie pracowałem jako robotnik fizyczny na poczcie w Oddziale Telefonów przy budowie linii telefonicznych poza terenem Lwowa, co sprzyjało tego typu działalności. Na przełomie lat 1942/43 w rejonie Lwowa zaczęły się mordy ludności polskiej przez UPA (Ukraińska Powstańcza Armia). W pierwszej kolejności były napady na stacje kolejowe obsługiwane przez polskich kolejarzy. Następnie na wsie na Podolu zamieszkałe przez Polaków i Rusinów. W okresie 1942/43 pamiętam eksodus polskiej ludności z Wołynia, która chroniła się w większych

skupiskach polskich miast, również we Lwowie. Dopiero na początku 1944 r. nasiliły się napady i mordy Polaków również w miejscowościach czysto polskich na Podolu. W tej sytuacji zaczęła się tworzyć w tych miejscowościach polska samoobrona. Na przełomie kwietnia i maja 1944 r., gdy na Podolu zaczęły płonąć polskie wioski, nasiliła się działalność UPA w mordowaniu w bestialski sposób ludności polskiej.

Na wiosnę 1944 r. dostałem rozkaz, przekazany przez łączniczkę, dostawy plastiku (ze zrzutów angielskich) do wyrobu granatów do miejscowości Rozdół. Było to małe miasto położone od Lwowa w odległości ok. 40 km., położone na wzgórzach Podola z płynącym u ich podnóża Dniestrem. Było zamieszkałe wyłącznie przez Polaków i miało dobre warunki do obrony, m.in. dlatego, iż znajdował się tam kościół z klasztorem, otoczony wysokim murem, a zbudowany w XVII wieku przez Lubomirskich. Tam, w pałacu Lubomirskich, znajdował się ośrodek rekonwalescencji żołnierzy Wehrmachtu, mały posterunek żandarmerii wojskowej oraz oddział organizacji paramilitarnej Todt składający się w większości z Holendrów.



Ppor. Stanisław Trojanowski dowódca samoobrony Rozdołu

Tak się złożyło, że pluton AK w Rozdole był dowodzony przez mego kolegę z gimnazjum Stanisława Trojanowskiego. Dowódca plutonu nawiązał kontakt z Holendrami pozytywnie nastawionymi do nas i skupował od nich broń i amunicję. W ten sposób samoobrona Rozdołu łącznie z dostawami ze Lwowa była dobrze przygotowana do odparcia ataku Ukraińców.

Zgodnie z rozkazem jechałem ze Lwowa z następną dostawą „plastiku" do Rozdołu na początku maja 1944 r. Rozdół był oddalony o ok. 9 km od stacji kolejowej Mikołajów-Drohowskie na linii Lwów-Stryj. Normalnie do każdego pociągu na tej stacji czekały dorożki konne. Przyjechałem rannym pociągiem, a dorożek nie ma. Nie wiedząc, co się święci, postanowiłem iść piechotą. Trzeba było przejść przez dwie wioski zamieszkałe przez Ukraińców. W prawej ręce trzymałem teczkę z plastikami, a w lewej ręce w kieszeni białego prochowca rewolwer (jestem mańkutem). Przechodząc przez wspomniane wioski miałem posterunki ukraińskie w charakterystycznych czapkach z tryzubem. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie zatrzymano mnie. Na obrzeżu Rozdołu wyczekiwali ludzie z niepokojem. Co się okazało: z wieczornego pociągu z jadących dorożek Ukraińcy zabrali wszystkich Polaków, wywieźli w las i rozstrzelali.

Od tego dnia cała ludność miasta chroniła się na noc w klasztorze. Pluton AK rozstawił wokół klasztoru czujki. Przez dwa tygodnie co noc trzymałem wartę na zewnątrz klasztoru, z naganem w rękę i granatami w kieszeniach. Wokół paliły się sąsiednie wioski, a w łunach pożaru słychać było wrzask mordowanych ludzi. Patrole UPA podchodziły pod mury klasztoru, ale nie odważyły się zaatakować, wiedząc, że samoobrona jest silna. Praktycznie Rozdół był odcięty od świata. Dopiero po dwóch tygodniach oblężenia do miasta wkroczyła Kawaleria RONA (Rosyjska Oswobodzicielska Armia) najprawdopodobniej zaalarmowana przez posterunek żandarmerii wojskowej stacjonujący w Rozdole i przerwała blokadę miasta.

Mieczysław Matula

Moje wspomnienie

1. Koniec okupacji sowieckiej 1939-1941 we Lwowie

Koniec okupacji sowieckiej w 1941 r. we Lwowie był tragiczny. Po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 r. nastąpił masowy eksodus Sowietów na wschód, głównie ulicą Łyczakowską uważaną przez Polaków „dawaj nazad". Uciekały władze administracyjne, cywilni Sowietnicy, wojsko jak również NKWD. Pozostały w mieście nieliczne oddziały wojskowe złożone głównie z kałmuków, które patrolowały ulice i aresztowały przechodniów.

Tak się złożyło, iż atak wojsk niemieckich od strony Przemysła został zatrzymany przez wojska sowieckie w rejonie Gródka Jagiellońskiego. W tej sytuacji do Lwowa powróciły oddziały NKWD i zaczęły mordować więźniów „Brygidzek" przy ul. Kazimierzowskiej i więźniów na ul. Łęckiego. Ten stan rzeczy trwał do końca czerwca, a więc ok. tygodnia.



Autor artykułu: po lewej w 1945 r., po prawej aktualnie

W tym okresie nasiliły się bombardowania Lwowa przez lotnictwo sowieckie. Naloty odbywały się po godz. 9-tej wieczór, tzn. po godzinie policyjnej. Praktycznie bombardowane były dzielnice mieszkaniowe. Naloty odbywały się przy użyciu flar (rakiet oświetlających teren) oraz bomb burzących i zapalających. Mieszkaliśmy przy ulicy Jelinka, równoległej do ul. Dunin-Borkowskich, między ulicą Gipsową a Zadwórzeńską. Wokół paliły się domy a klasztor oo. jezuitów przy ul. Dunin-Borkowskich został ugodzony bombą burzącą o sile ok. 0,5 tony, sądząc po wybuchu i skutkach, bomba przebiła wszystkie stropy i wybuchła w piwnicy. Podczas jednego z takich nalotów została zbombardowana Panorama Racławicka, Dworzec Główny i elektrownia na Persenkówce.

2. Druga okupacja sowiecka

Zaczęła się przy końcu lipca 1944 r. po wkroczeniu Armii Czerwonej do Lwowa, unicestwieniu akcji „Burza” i masowych aresztowań ludzi związanych z AK oraz władzami podziemnymi, podległymi Rządowi RP w Londynie.

W tym czasie Sowieci zarządzili rejestrację mężczyzn w wieku poborowym do wojska. Z tzw. „wojenkomatów” rejestrowani mężczyźni byli natychmiast aresztowani i przekazywani do obozu przejściowego przy ul. Pierackiego lub gnani piechotą na wschód do Riazania lub do Przemyśla.

Część poborowych była wcielana do Czerwonej Armii, ponieważ nasz status nie był definitywnie ustalony. Byliśmy przymusowo uznawani za obywateli ZSRR. Na ulicach Lwowa rozlepiono afisze z napisem: „Lwiw buł, je i bude radziński” (Lwów był, jest i będzie radziecki).

Należy zaznaczyć, że granica na Sanie i Bugu nie została formalnie uznana przez wielkie mocarstwa, tylko uzgodniona w Teheranie ze Stalinem w styczniu 1943 r. w tajnym porozumieniu, o czym nie został powiadomiony legalnie urzędujący Rząd RP w Londynie. Granicą powyższą notabene zgodnie z linią Ribbentrop-Mołotow z 1939 r. uznawał KRN i Tymczasowy Rząd w Lublinie, co nie miało sankcji prawnych.

W owym czasie wierzyliśmy, że w przyszłej konferencji pokojowej tereny Małopolski Wschodniej będą należały do Polski. Dopiero konferencja w Jaltie w lutym 1945 r. przypieczętowała los Polski, a w czerwcu 1945 r. wielkie mocarstwa cofnęły uznanie Rządowi RP w Londynie, uznając Tymczasowy Rząd w Lublinie i linię graniczną Ribbentrop-Mołotow jako wschodnią granicę Polski.

U schyłku 1944 r. byłem studentem I roku Politechniki Lwowskiej, przekształconej na Lwowski Instytut Politechniczny.

„Broniówkę”, to znaczy odroczenie służby wojskowej, otrzymywało się dopiero na III roku studiów. Dla uzyskania wspomnianej „broniołki” uczęszczałem po wykładach na Politechnikę, do Technikum Budowlanego wieczorowego na

III rok nauki. W ten sposób otrzymałem zwolnienie ze służby wojskowej. To zwolnienie umożliwiało otrzymanie tymczasowego zaświadczenia, które dawano Polakom jako paszport (dowód osobisty). Bez powyższych dokumentów nie można było poruszać się swobodnie po mieście. Zdarzały się wypadki konfiskaty tych dokumentów przez patrole NKWD, które bezustannie krążyły po mieście, a w nocy przeprowadzały kontrole po domach, kończące się aresztowaniem.

Któregoś dnia na politechnice przeprowadzono obławę i znajdujących się tam studentów aresztowano i wcielono do Armii Radzieckiej. Niezależnie od powyższych zdarzeń życie we Lwowie było bardzo ciężkie. Brak elektryczności, komunikacja miejska unieruchomiona, brak opału i żywności, jak również możliwości zarobku. Dano nam Polakom do zrozumienia, że musimy się wynosić na „drugą stronę”, jak się mówiło potocznie o terenach leżących po zachodniej stronie linii demarkacyjnej. Z każdym dniem nasilały się aresztowania. Więzienia na Łąckiego, Brygidkach i Zamarstynowie były pełne. W celach pokotem leżeli ludzie w nieludzkich warunkach, czekając na wywózkę na Sybir. Ponadto każdy donos do NKWD (a niestety były takie) powodował aresztowanie bez możliwości obrony. Sąd składający się z trójki wydawał wyrok zaocznie. Minimalna kara wynosiła 5 lat łagru.

W tej sytuacji przyjechała do Lwowa Polska Misja Wojskowa z Lublina, z gen. Strzeleckim, która werbowała ochotników do tworzącej się III Armii WP. Misja rozpoczęła działalność przy ul. Kopernika (naprzeciw pałacu Potockich) i rejestrowała Polaków ochotników do służby wojskowej i szkół oficerskich. Zagrożony aresztowaniem zgłosiłem się ochotniczo i zostałem zarejestrowany do szkoły oficerskiej otrzymując odpowiedni dokument.

Gen. Strzelecki (przedwojenny pułkownik Brygady Kawalerii Poleskiej) wyjednał u władz sowieckich zwolnienia wielu więźniów politycznych. W dzień wyjazdu ze Lwowa na przełomie listopada i grudnia 1944 r. zorganizował wielki meeting w kinie „Roxy” przy ul. Kętrzyńskiego. Wychodziliśmy spod kina „Roxy” czwórkami z plecakami na dworzec czerniowiecki, gdzie został przygotowany transport składający się z bitych wagonów kolejowych.

Na bocznicę kolejową przyprowadzało NKWD pod eskortą zwolnionych w ostatniej chwili aresztowanych Polaków. Gen. Strzelecki osobiście pilnował załadunku do wagonów zwolnionych aresztowanych. Na peronie odprowadzały nas setki lwowiaków, rodziny, koledzy, znajomi. Było to na przełomie listopada i grudnia 1944 r. Do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, w jakim kierunku pojedziemy, na wschód czy na zachód. Jechaliśmy jednak na Północ przez Kleparów, Podzamcze, Sokal, Włodzimierz Wołyński, Kowel, Chełm i dalej na zachód do Lublina. Podróż trwała całą dobę. W Lublinie na drugi dzień po południu uformowani w kolumnę, szliśmy na Majdanek, do byłego obozu koncentracyjnego, położonego ok. 9 km od Lublina. Początkowo NKWD wzięło tam żołnierzy AK wywiezionych potem na Sybir.

Oboz posiadał tzw. przedpole, w którym mieściło się dowództwo i pola otoczone drutami i wieżami strażniczymi. Znalazłem się w polu 2, w którym usytuowane były drewniane baraki równoległe, a przed nimi plac apelowy. W barakach przewidzianych na 150 więźniów o trzymetrowych narach znajdowało się nas ok. 350 poborowych do wojska w strasznych warunkach. Leżeliśmy pokotem na podłodze w nieogrzewanym baraku. Wśród nas było wielu żołnierzy i oficerów AK, którzy nie przyznawali się do swej przynależności i stopni wojskowych. Był to początek grudnia 1944 r., okres



Koledzy z Gimnazjum ze Lwowa w 1945 r. Od lewej: Jerzy Schmidt obecnie lekarz medycyny w Krakowie, w środku Tadeusz Nowak – lekarz w Żąbkowicach Śl., obecnie nieżyjący; po prawej autor artykułu

mo front wschodni w lipcu 1944 r. został w zasadzie wstrzymany rozkazem Stalina celem unicestwienia Powstania Warszawskiego.

W tym czasie zdawałem na Majdanku egzamin do Szkoły Oficerskiej Artylerii w Chełmie, który zdałem pozytywnie z matematyki, ale na pytanie politruka czy chcę, żeby Lwów należał do Polski i pozytywna moja odpowiedź, zadecydowała o skreśleniu mnie z listy adeptów. W tej sytuacji zgłosiłem się na ochotnika do przybyłych „kupców” z artylerii. Chciałem zaznaczyć, że w Majdanku można było doczekać końca wojny nie zgłaszając się do żadnej jednostki. Koledzy moi przeżyli w ten sposób do końca wojny. okazało się, iż był nadmiar poborowych, natomiast nie było wyposażenia, umundurowania, uzbrojenia i żywienia jak również możliwości szkolenia. W noc sylwestrową 1944 r. znalazłem się w Samodzielnym Dywizjonie Artylerii Pomiarowej poczta polowa 52227 w Starym Zamościu w wiosce położonej ok. 10 km od Zamościa.

Po 2 tygodniowym przeszkoleniu ruszyliśmy na front. Była to jednostka ruchoma przydzielana do pułków i brygad artylerii ciężkiej, mająca w swym zakresie obliczanie i określanie współrzędnych niemieckich punktów ogniowych na podstawie odpowiednio dobranej aparatury i obliczeń geodezyjnych.

Dywizjon został przetransportowany koleją „eszelon nr 55” trasą Izbica-Lublin-Siedlce-Mińsk Mazowiecki-Wesoła pod Warszawą. Dalej nie było torów kolejowych, przeszliśmy więc piechotą na Pragę i zajęliśmy pozycje w rejonie Ronda Waszyngtona. Wtedy zobaczyłem po drugiej stronie Wisły Stare Miasto całkowicie zrujnowane, co było wstrząsającym przeżyciem.

W tym czasie front ruszył na zachód, a mój dywizjon w ślad za nim w drugim rzucie (w odwodzie), poprzez Kutno, Skierniewice i Łowicz. Dalej przez Bydgoszcz, Piłę, Kostrzyn, pod okrażony Berlin. Stanowiska nasze były w Sachsenhausen w północnych obrzeżach Berlina. Po poddaniu się Berlina 2.05.45 r. wjechaliśmy do centrum Berlina poprzez zbu-

czystki w I Armii. Gen. Berling i wielu oficerów AK, którzy zgłosili się do wojska zostało aresztowanych m.in. gen. Strzelecki (przedwojenny dowódca Brygady Kawalerii Poleskiej). Formowana III Armia została rozwiązana i przydzielona częściowo do I i II Armii. Dowódcą I Armii został gen. Popławski, a II Armii gen. Świerczewski.

Na Majdanku z poborowych został uformowany 5 pułk zapasowy piechoty. Do obozu przyjeżdżali tzw. „kupcy” i werbowali na ochotnika żołnierzy dla uzupełnienia jednostek do zimowej ofensywy. Jak wiadomo

całkowicie kwartały domów w Aleję pod Lipami (Unter den Linden) pod Bramą Brandenburską. Plac przed tą Bramą zasłany był trupami żołnierzy sowieckich, niemieckich i polskich, po prawej stronie leżał w gruzach Reichstag. Dalej na zachód prowadziła Aleja Tiergarten aż do kolumny zwycięstwa (Siegeszeule) i dalej do Zoologischer Garten (Ogród Zoologiczny) w kierunku na Poczdam.

Wszędzie w oknach ocalonych domów wisały białe flagi. Niemcy wychodzący z ukrycia w ręku trzymali białe chusty. Na murach zwalonych domów odczytałem napisy: „Wir kommen wieder zur-uck aber Todt kommt mit uns” co znaczyło „przyjdziemy z powrotem, ale śmierć przyjdzie z nami”.

Po zdobyciu Berlina praktycznie zorganizowany front nie istniał. Pojedyncze zgrupowania niemieckie wycofywały się na zachód byle nie dostać się do niewoli sowieckiej.

Koniec wojny zastał mój dywizjon w miejscowości Velefan bei Velten w odległości ok. 35 km na zachód od Berlina. Posuwaliśmy się autami wśród innych jednostek Armii Czerwonej i Armii Polskiej na zachód. Równocześnie rozpoczął się eksodus przymusowych robotników różnych narodowości. Napotkani na drodze robotnicy francuscy powiadomili nas, że 5 maja 1945 r. został podpisany akt kapitulacji Niemiec przez admirała Doenitza wobec aliantów. Moi dowódcy sowieccy oficerowie byli w konsternacji, nie wiedzieli co robić, nie mieli żadnych rozkazów. W kosekwencji zboczyliśmy z głównego traktu do wspomnianej miejscowości, a dopiero strzelanina na całym froncie w nocy z 7.05 na 8.05.45 r. oznajmiła nam o definitywnym zakończeniu wojny.

Dywizjon artylerii, w którym służyłem został przydzielony do jednostek WP okupacyjnych Niemcy. Ta nasza okupacja trwała ok. 1 miesiąca. Po tym czasie przyszedł rozkaz wycofania się z okupacji Niemiec i skierowano nas, jak również inne jednostki WP, do lasów w Brandenburgii na wschód od Berlina niedaleko m. Platkow. W lasach Platków zostaliśmy otoczeni przez jednostki sowieckie, kazano nam kopać ziemianki jak za czasów walk na froncie, odebrano broń i amunicję, a przybyli politrucy uświadamiali nas o przyszłości komunistycznej Polski. Po wojnie analizując te zdarzenia i konfrontację z datami, doszedłem do wniosku, że było to związane z przemianami politycznymi w Polsce: cofnięcie uznania Rządu RP w Londynie i uznanie przez aliantów Tymczasowego Rządu 5.06.1945 oraz konferencja w Poczdamie 17.07-2.08.45. Komunistyczne władze w Polsce obawiały się wystąpienia Armii Polskiej przeciwko wydarzeniom politycznym i przeciwko szalejącym terrorze w kraju, zarówno legalnym jak i podziemnym władz wojskowych (WIN) i administracyjnych podległych Rządowi RP w Londynie. Równocześnie II Armia WP rozbita pod dowództwem gen. Świerczewskiego koło Budziszyna w Łużycach, została skierowana do m. Mielnik w Czechosłowacji (ok. 30 km od Pragi), a następnie w Bieszczady do walki z UPA. Praktycznie w kraju nie było Wojska Polskiego, szalał terror NKWD, KBW, MO i Informacji Wojskowej. W ten sposób zabezpieczono się przed jakąkolwiek interwencją, zważywszy, że w owym czasie po rozbrojeniu i wywózce oddziałów AK na Sybir w kraju działały w dalszym ciągu organizacja NSZ (Narodowe Siły Zbrojne) oraz WIN (Wolność i Niepodległość). W ten sposób zniszczono i unicestwiono nasze dążenia do odzyskania niepodległości.

Autor niniejszych wspomnień będzie zobowiązany za uzupełnienia i ewentualne korekty, które przyczyniłyby się do szerszego wyświetlenia opisywanych zdarzeń na łamach „Semper Fidelis” lub w korespondencji bezpośredniej. Adres w posiadaniu redakcji. □

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW

Zbigniew Grata

Brodzianie znowu razem

*„Śmierć na obczyźnie nas wymiała
Jak pajęczyny w kącie
Coraz nas mniej z naszego świata
Co się oddala i odlata
I tylko po nim dzwony dzwońcie.
Coraz tu ktoś upada obok,
Coraz topnieją rzędy
I dawniej słychać krzyk komendy:
„Szlusuj!”
I ścieśnię się czworobok
I zamykają się szeregi.”*

Te słowa Mariana Hemara mogą być mottem ósmego już zjazdu Brodzian w Wiśle, jaki odbył się w dniach 29-30 maja.

Mimo że frekwencja na zjeździe wzrosła, to jednak wielu Brodzian nie stawilo się, bo jedni odeszli „na wieczną wartę”, a innym stan zdrowia nie pozwolił na osobiste stawienie się na „apelu Brodzian”.

Listy przesyłane przez nieobecnych świadczyły, że pomimo niemożności są myślami razem z tymi, którzy zjechali do Wisły, by „szlusować”, a wśród nich było kilku po raz pierwszy, jak między innymi Franek Grata, najmłodszy z licznej rodziny żyjącej niegdyś w Brodach. Zjawisko to napawa optymizmem, że jeszcze wiele wody w Wiśle upłynie, a Brodzianie będą się nadal rokrocznie zlatywać do gniazda Stasi Valis-Schyley, która nadal jest w świetnej formie i przewodzi całej tej ferajnie.

Jak zwykle, wielu uczestników przybyło już 28-go maja, by po zakwaterowaniu zaaklimatyzować się, a przede wszystkim przywitać się, bo przecież znaczna większość uczestników to już „stara wiara”.

Pierwszy dzień zjazdu rozpoczął się uroczystą mszą świętą w kościele parafialnym. Znowu serca zabiły mocniej, a niejednemu oczy się zaszkliły, gdy zabrzmiała pieśń męskiej Sodalicji Mariańskiej „Błękitne rozwińmy sztandary”.

I znowu przed oczami stanęło wspaniałe wnętrze kościoła pw. Św. Krzyża, a z chóru słychać tę samą pieśń, wykonywaną pod batutą Pana Miklaszewskiego, przy wtórze organisty, pana Romana Początki.

Po powrocie do ośrodka „Start”, w którym zjazd się odbywał, rozpoczęły się „obradki okrągłego stołu”, w czasie których złożone zostały sprawozdania z działalności koła za cały ubiegły rok. Tematem wiodącym w obradach był temat budowy kościoła w Brodach. Fundamenty pod kościół zostały położone obok wybudowanej już kaplicy drewnianej. W dniu 19. 09. 1999 jego eminencja ks. biskup Marian Jaworski odprawił w kaplicy uroczystą mszę odpustową, przy koncelebry proboszcza, ks. Anatola Szpaka, a po mszy dokonał poświęcenia placu pod budowę kościoła. W dniu 18. 06. 2000 roku odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod kościół. W uroczystości tej wzięła udział delegacja Brodzian wybrana w czasie obrad.

Drugim bardzo ważnym tematem to odtworzenie polskiej inteligencji w Brodach, której brak odczuwa się bardzo dotkliwie, choćby w kontaktach z władzami miejskimi.

Również podczas obrad omawiana była kwestia budowy pomnika Józefa Korzeniowskiego w Brzegu. W tej kwestii przedstawiłem, jako realizator podjętego dzieła, przedstawiając, co do tej pory zostało załatwione, to znaczy zatwierdzone lokalizację, opracowania projektowe oraz całość dokumentacji technicznej. Aktualnie pozostało zagadnienie uruchomienia rachunku bankowego, na którym gromadzone były środki finansowe, zostałem upoważniony do negocjacji z Oddziałem w Brzegu TMLiKPW, celem udostępnienia rachunku i otwarcia subkonta. Mając rachunek bankowy można będzie rozpocząć gromadzenie środków na ten cel. O sprawie pomnika Józefa Korzeniowskiego wraz z publikacją rachunku bankowego, przekazę osobną informację na łamach „Semper Fidelis”.

Wśród stałych bywalców na zjazdach Brodzian na szczególną uwagę zasługuje pani Eugenia Wawrzycka, która pomimo podeszłego wieku, gdyż zaliczyła 91 lat (przepraszam za niedyskrecję) jest uczestniczką od początku, od pierwszego zjazdu, który odbył się w 1993 r.

Pani Eugenia przejechała do Wisły z Krakowa, gdzie obecnie mieszka. Jest osobą pełną energii i humoru, której mógłby jej pozazdrościć niejeden młody człowiek. Wiecznie pogodna i uśmiechnięta, otwarta dla każdego, kto się z nią zetknie.

Pani Eugenia urodziła się w Brodach, gdzie ukończyła kolegium nauczycielskie. Na początku lat 30 była w domu gen. Andersa wychowawczynią jego syna Jurka. Pomiedzy wojnami pracowała na poczcie w Baranowie, Tarnopolu i Horodence.

Z siedmiorga rodzeństwa żyje tylko ona i jej starsza o 1,5 roku siostra. 8 lat temu umarł jej ukochany mąż.

Sama o sobie mówi: ja się nigdy nie spodziewałam, że będę tyle lat żyła. W duchu sobie powtarzam, że to nie moje lata. Opatrzność nade mną czuwa – mówi – a świetnie wyglądam, bo mnie sztuka trzyma.

Pani Eugenia całe życie malowała pejzaże, portrety, martwe natury. Nie ukończyła żadnej akademii, jest samoukiem. Należy do Stowarzyszenia Plastyków Nieprofesjonalnych Ziemi Krakowskiej. Poza malowaniem lubi spacerować.

Nie uprawiała sportów, ale uwielbiała tańczyć. Nigdy nie paliła i nie chorowała, chyba że jakieś przeziębienie. Jej recepta na długie życie? Nigdy takiej nie miała, ale uważa, że trzeba być pogodnym, uśmiechniętym, a taką jest do dzisiaj.

Zjazd Brodzian zakończył się i wszyscy rozjechali się do domów. Coś się zakończyło, ale i coś się zaczęło. Świadczy o tym list, jaki otrzymałem od brata, od Franka z Opola:

„Miło wspominać pobyt w Wiśle, gdzie poznałem tak liczną i sympatyczną brodzką rodzinę. Dobrze jest wracać wspomnieniami do miejsca naszego dzieciństwa „co, choć minęło, to z myśli nie znika” jak pięknie pisze Ania.”

Do zobaczenia za rok Franek Grata.”

Ja również się pod tym podpisuję.



W załączeniu zdjęcie uczestników. Siedząca druga z lewej Eugenia Wawrzycka.

List bpa Jana Olszańskiego do Członków Koła Brodzian

Drodzy Brodzianie

Szczególnie Drodzy Koledzy z ławy szkolnej!

Po raz trzeci łączę się z Wami duchowo w czasie rocznych zjazdów Koła Brodzian.

Przy tej okazji najserdeczniej wszystkich Drogich Uczestników pozdrawiam, obejmując każdego swoją gorącą miłością nie tylko aktualnie tu obecnych, ale też i tych, którzy z różnych powodów, a szczególnie choroby, nie mogli przybyć.

Ponieważ Koło Brodzian szczupleje, a nawet groził mu całkowity rozpad, dlatego chciałem w kilkunastu zdaniach przedstawić swoje pole działania jako biskup Kamieniecko-Podolski, by nie znający mnie osobiście dowiedzieli się, dlaczego bliskie jest memu sercu miasto Brody.

Samo miasto Kamieniec Podolski każdemu Polakowi jest znane choćby z literatury, z dzieł Henryka Sienkiewicza, czy też wielkiego geniusza pism literackich Adama Mickiewicza jako też i innych pochodzących z Podola. Można by bez przeszkody powiedzieć, że miasto to jest spowite historią Polski i że każdy kamień ma swoją historię, a na ostatnim etapie niezmiennie tragiczną.

Samo miasto tonie w mrokach historii. Nie ma dokładnej daty powstania. Nazywało się dawniej Kleptodawa, czyli miasto złodziei; bo tam łatwo było chować się w jaskarach Kamieńca wszystkim złoczyńcom.

Nie odgrywało ono ważniejszej roli politycznej, raczej sławiło się jako twierdza przed Turkami, Tatarami. Z przyczyny, że było miastem niezdobytym, prócz jednego razu, nazwane przedmurzem chrześcijaństwa. I takim ono było.

Stolicą diecezji został Kamieniec w 1375 r., za czasów króla polskiego Ludwika Węgierskiego. W roku zaś 1434 miasto zostało przyłączone do Korony i dla różnych przyczyn nigdy nie zaznało spokoju.

Jedyny raz miasto poddało się Turkom, tj. w 1672 r. Za czas pobytu Turków, a byli tam 27 lat moc mieszkańców uciekła, moc przeszła na muzułmanizm, reszta jakby zdziaczała. Kościoły zostały zamienione na meczety. Katedry też nie ominął ten straszny los. Triumfalnie wkroczył na koniu do katedry Mahomet IV.

W czasie pobytu Turków wzniesiono przy katedrze minaret, z którego imamowie wzywali do modlitwy. Kościoły na Podolu uległy ruinie.

Po zawarciu pokoju karłowickiego w 1699 r. Kamieniec oddany został Polakom, z zastrzeżeniem, że nie zrujnują minaretu i ambony. Polacy słowa dotrzymali.

Diecezja kamieniecko-podolska znalazła się w opłakanym stanie, a po powstaniu styczniowym została ukazem carskim zniesiona; Kościół nigdy tego zniesienia nie uznał. Zarządzali nią biskupi żytomierscy.

Po długim czasie została ona wznowiona, a biskupem został Piotr Mańkowski, który umarł na wygnaniu i został pochowany w Łucku.

Diecezja faktycznie przestała istnieć – duszpasterze wyaresztowani, wyginęli w łagrach, więzieniach, w Swołówkach, na Syberii, na Białomorskim Kanale. Niektórzy wymienieni zostali na komunistów polskich przybyłych do Polski.

Tak w głównych zarysach przedstawia się historia diecezji kamieniecko-podolskiej do drugiej Wojny Światowej.

Będąc wikarym w parafii nad Zbruczem, dawnej granicy polsko-sowieckiej, w Kaczanówce, powiat Skałat, bez trudności przechodziłem przez Zbrucz, by służyć ludziom pozbawionym pasterzy swoją usługą duszpasterską. Tam z biegiem czasu zostałem na bezkresnym terenie dawnego Związku Radzieckiego, na tak zwanej „niehumanitarnej ziemi”.

W r. 1991 16 stycznia papież Jan Paweł II reaktywował diecezję kamieniecko-podolską na równi z diecezją żytomierską, lwowską i zakarpacką.

Obejmuje ona 10 obsłai, czyli prawie 280 tys. km². Równa terytorialnie całej Polsce. Należy do niej Krym ze znaną każdemu Polakowi Jaltą, tak bardzo smutnej pamięci oraz Bachczysarajem, stolicą dawnych chanów krymskich; Krym znany ze swojej skały niedźwiedziej, którą zachwycał się Adam Mickiewicz, górami Krymskimi, a przede wszystkim Sewastopolem, miejscem zesłania i śmierci męczenników. Tu ponieśli swoją śmierć św. Klemens i św. Marcin – papież.

Na tym olbrzymim terenie diecezji kamieniecko-podolskiej znajduje się około 300 punktów duszpasterskich, które obsługują kapłani przeważnie z Polski, chociaż są też Słowacy, Czesi, Niemcy. Jest ich jednak stanowczo za mało, bo około 140, 12 z nich zajętych jest w Seminarium Duchownym, które znajduje się obecnie w Gródku. Gmach Seminarium Duchownego w Kamieńcu władze oddać nie chcą. Seminarium Duchowne jest afiliowane do Uniwersytetu Laterańskiego w Rzymie. Mamy około 80 kleryków. Istnieje ono z pierwszych dni po odnowieniu diecezji tj. z 1991 r. Wydało już 25 tubylczych kapłanów.

Praca biskupów koncentruje się na budowach kościołów kamiennych i oczywiście na kościołach żywych, na kościołach duchowych. Czy nie wiecie, że jesteście świątynią Ducha Świętego? – mówi święty Paweł.

Najbliższa parafia oddalona jest od katedry około 300 metrów, najdalsza zaś 1500 km. Mam na myśli Kercz, gdzie w czasie wojny toczyły się zacięte walki między Niemcami i bolszewikami.

Aby uwiecznić prace przy budowie kościoła materialnego potrzeba finansów, by zaś budować Kościół duchowy potrzeba nam wsparcia modlitewnego. I o to najserdeczniej proszę, bo serca ludzkie są prawdziwym ugołem. Każdego roku przewija się przez katedrę tysiące turystów, którzy nie wiedzą, gdzie się znajdują. Gdy patrzę na nie, stoją łyzy w oczach i pytania, dokąd ci biedni ludzie zmierzają, co myślą – chyba nie myślą o niczym.

Totalitarny system wyrwał z ich serc ideę Jedyne Boga i nie miał co umieścić w tych sercach. Któżby zgodził się na przyjęcie bożka Wołodii tak bezmyślnie forsowanego przez dziesiątki lat? Któżby w to wierzył, że on był, jest i będzie?

Stąd też tłumy obojętnych na prawdziwy ideał, jakim jest Bóg.

A skąd Brodzianin biskupem w Kamieńcu? Czemu los padł na niego, nie mającego żadnych danych do tej godności? W r. 1991 niestety los ten nie miał na kogo spadać.

Jeszcze dzisiaj sytuacja trudna. Mam nadzieję, że przyjdzie nowe pokolenie i nada diecezji prawdziwy Boży kierunek. Oby tak Bóg dał.

Alfred Janicki

Wielkie Bałakanie w Węglińcu

„... po wysłuchaniu 47 wykonawców – solistów i zespołów – uczestniczących w koncercie konkursowym w dniu 24 czerwca 2000 roku w amfiteatrze w Węglińcu, pragnie (jury) z satysfakcją podkreślić wysoki poziom tegorocznych prezentacji konkursowych, w szczególności wśród najmłodszych uczestników festiwalu, co budzi uzasadnioną nadzieję na podtrzymanie i twórczą kontynuację tradycji i kultury polskich kresów przez kolejne pokolenia Polaków...”. To są pierwsze słowa Jury II Ogólnopolskiego Festiwalu Polszczyzny Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich „Wielkie Bałakanie” w Węglińcu, który odbył się w dniach 24-25 czerwca br.

W sobotę 24 czerwca o godz. 14 zaproszeni goście: starosta zgorzelecki Szymon Pacyniak, z-ca przew. Rady Pow. Szymon Karolak, przewodniczący Rady Gminy Miasta i Gminy Węglińca – A. Kutrowski, przew. Kom. Osw. i Kultury naszej gminy – Regina Smigielska, przew. Zw. Gmin Zgorzeleckich – Kazimierz Janik, Prezes ZG TMLiKPW – Andrzej Kaminski, v-ce prezes Ryszard Orzechowski, kapelan naszych rodzin – ks. prałat Janusz Popławski, rzecznik ZG TMLiKPW – Zbigniew Umański, dyr. fundacji „Semper Fidelis” – Danuta Tabińska-Juhasz, zespoły uczestniczące w festiwalu oraz publiczność złożyli przy obelisku upamiętniającym cierpienie i śmierć członków rodzin kresowych (którzy cierpieli i ginęli za to, że byli Polakami) wiązanki kwiatów, a ks. Janusz Popławski odmówił modlitwę za pokój ich dusz.

Otwierając II Festiwal z zadowoleniem patrzyłem na dużą ilość wykonawców i liczną publiczność. Pierwsze wystąpiły „Węglińskie bajbusy” – znane nam już z występów w Lesznie. One też otrzymały z rąk prezesa A. Kaminskiego nagrodę „Największej Nadziei Festiwalu”. W kategorii dziecięcych i młodzieżowych solistów-wokalistów wyróżnienia otrzymali: Sabina Dąbrowska i Alicja Kubiak, III nagrodę Magdalena Zielińska, II nagrodę Daria Matecka i I nagrodę ex aequo Angelika Fornalik (Góra) z Emilią Komarnicką.

W kategorii młodzieżowych zespołów wokalnych; II nagrodę otrzymał zespół „Sinus” z Osiecznej, a I nagrodę „Biedronki” z Brzegu. W kategorii prezentacji „bałaku” przez dzieci i młodzież II nagrodę otrzymała Żaneta Kozowist a I nagrodę Kaja Koronkiewicz. W kategorii prezentacji „bałaku” przez dorosłych wyróżniono: Zygmunta Kropiewnickiego i Kazimierza Tarnawskiego. III nagroda przypadła Tadeuszowi Krempie, zaś

Kochanym Brodzianom życzę serdecznie błogosławieństwa Bożego, które niech się ścieli na wszystkich drogach życia. Niech każdą chwilę tego życia przeżłoci Pan Jezus swoim spojrzeniem i mnóstwem łask.

Ja również z całą serdecznością wszystkim obecnym i nieobecnym błogosławie w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Z Panem Bogiem na drogach życia.

Biskup Jan Olszański
14 V 2000 r.



Węglińca – kwiaty składa prezes Z.G. A. Kaminski, A. Janicki, Z. Umański

II otrzymała Zofia Puchała, a klasą dla siebie był bezkonkurencyjny Januszek Ragankiewicz, który na stałe cieszy się uznaniem węglińskiego społeczeństwa, które wdzięczne jest za rozsławianie Węglińca i „bałaku”. Myślę, że warto w tym miejscu przytoczyć fragmenty jego wiersza pt. „Kresowy bałak”

– Kochamy i wspominamy Cię Ziemię Kresowa,
Ziemię naszego dzieciństwa i młodości
Skąd naszych rodów korzenie się wywodzą,
Gdzie spoczywają prarodzących kości ...

... Bo coś nam zostało z tamtych pięknych lat
I gorzkie łzy żalu toczą się z oczu.

Bo jakże inny był wtedy ten nasz świat,
Tam – na Podolu, Gologórach i Roztoczu!

Ale dzisiaj tu, w Węglińcu,
Wysychają moje łzy żalu,
Więc „daj dobry Panie Boży zdrowi”
Organizatorom Tego Festiwalu!

W kategorii zespołów wokально-instrumentalnych wyróżnienie otrzymał zespół z Zawidowa, III nagrodę „Podolanie” z Czerwonej Wody, II nagrodę przyznano zespołowi „Nad Kwisą” z Osiecznicy, a I nagrodę zdobył zespół „Sulików” z Sulikowa.

W kategorii zespołów kabaretowych bezkonkurencyjny okazał się zespół „Ferajna” z Wrocławia.

Osobowością festiwalu uznano panią Zofię Puchałową.

Grand Prix Festiwalu przyznano „Biedronkom” z Brzegu. Dziewczęta były bardzo naturalne, ich zachowanie

na scenie potwierdziło ogrom pracy instruktorów. One „czuły” bałak i sytuację, o których śpiewały.

Jury i publiczność wysoko oceniło i nagrodziło ogromny wkład pracy instruktorów: Gabrieli Chudobskiej, Matryny Dworniczak, Jany Koronkiewicz, Jana Kubiaka, Józefa Kupisa, Stefana Pietruszki, Beaty Smętek, Zofii Puchałowej.

Po konkursowych występach, na węglińską scenę wyszła Danuta Skalska ze

K. Majewska i Prezes A. Janicki
dziękują ks. J. Popławskiemu
za piękną Mszę Św.
w Czerwonej Wodzie

swoją „Pacalychą”. Zespół ten dopełnił ucztę „bałaku” swoim profesjonalizmem, pokazał ulicę lwowską w pełni. Akcent w mowie, humor w mimice i ruchu, finezją w aluzji politycznej. To dopełniło wartość dnia festiwalu.

W przerwie występów prezes Andrzej Kaminski zapoznał widownię festiwalową z historią Cmentarza Orłąt Lwowskich. Dzięki temu społeczeństwo Węglińca i okolic przekonało się, że w imprezie naszej nie idzie tylko o zabawę, lecz ma ona głębokie uzasadnienie w historii – słowa Prezesa poparte obrazami Wystawy (zorganizowanej razem z fundacją „Semper Fidelis”) wywarły uczucie dowartościowania i autentyczności dla naszych codziennych poczyną.

Pierwszy dzień festiwalu zakończył się „ogniskiem integracyjnym” w ośrodku wypoczynkowym „Jagoda” w Czerwonej Wodzie. Tam do późnych godzin bawili się uczestnicy festiwalu (rej wodziли członkowie „Pacalychy” i „Ferajny”).

Drugi dzień (niedziela) rozpoczęliśmy mszą św. w kościele parafialnym w Czerwonej Wodzie. Mszę św. sprawował ks. Janusz Popławski z ks. Franciszkiem



FERAJNA z Wrocławia. W środku Zofia Puchałowa



Od prawej: 1. Wojewoda Dolnośląski W. Krochmal, 2. Kurator Ośw. i Wych. Z. Paśko, 3. Dyr. Kop. Turów St. Żuk, 4. Konsultant Wojewody Ł. Tuszyński, 5. Przew. Rady Gminy i Miasta Węglińca Mirosław Sochoń

Jaworskim. Homilia ks. Janusza głęboko zapadła w serca mieszkańców Czerwonej Wody (dawniej Dragonówki), Słobódki Janowskiej, Ruzdwan, Tarnopola, Czortkowa, Nawarii i in.). W ich imieniu raz jeszcze serdecznie dziękuję naszemu Kapelanowi za tak duży ładunek miłości do naszej tradycji kresowej (rodzina, wiara, ojczysty próg).

W tej pięknej mszy św. uczestniczyli członkowie wszystkich zespołów.

Przed koncertem laureatów poczęstowaliśmy uczestników pierogami z kaszy gryczanej z serem i koperkiem, był też tradycyjny barszcz. Po obiedzie atrakcją był otwarty konkurs maglowania magielnicą i makohonem (wygrała pani Janina Kramarzewska z Czerwonej Wody). Koncert laureatów trwał do godz. 19 (uczestnicy śpieszyli się do domów, a publiczność dopiero nabierała ochoty do zabawy. Miłym wydarzeniem w drugim dniu festiwalu był przyjazd Kresowian autokarem z Zielonej Góry (dziękuję prezesowi Ciesielskiemu).

W przerwie występów prezes A. Kaminski wręczył Złote Odznaki naszego Towarzystwa: Teresie Basarab, Stanisławowi Mikołajczykowi, Krystynie Majewskiej, Irenie Majdziak, Andrzejowi Kutrowskiemu, Zenonowi Zatora, Annie Popielewicz, Antoniemu Skulskiemu i



Uczestnicy Festiwalu

Stefanowi Pietruszce. Są to ludzie, którzy w szczególny sposób wyróżniają się swoją pracą w przygotowania festiwalu naszych, ale i na co dzień pracując dla Kresów.

Sponsorzy, bez których ofiarności nie mógłby odbyć się festiwal: Rada Gminy i Miasta Węgliniec, Związek Gmin Ziemi Zgorzeleckiej, Starostwo Powiatu Zgorzelec, Bank Spółdzielczy w Pieńsku, Zarząd Główny TMLiKPW oraz fundacja „Semper Fidelis”.

Szczególne podziękowania ślę do ks. prałata Stanisława Zajęca – proboszcza z parafii w Czerwonej Wodzie za niezwykle miłe przyjęcie nas, Kresowian, w swoim kościele. Dziękuję Jankowi Ślabemu za piękną konferansjerkę, a Władzowi Postępskiemu za przewodnictwo jury festiwalu. Festiwal potwierdził ogromne zapotrzebowanie, zainteresowanie społeczeństwa tą formą upamiętnienia naszej historii. Niezwykle ser-

decznie dziękuję wszystkim uczestnikom. Zapraszam na rok przyszedł.

Z kresowym pozdrowieniem

„Ta daj Boży zdrowi”

PS. Deszcz przerywał konkurs festiwalowy. Mamy nadzieję, że w przyszłości nasz festiwal nie będzie zależny od kaprysów przyrody. W dniu 12 lipca br. wojewoda dolnośląski W. Krochmal z kuratorem oświaty i wychowania Z. Paśko wmurowali kamień węgielny z aktem erekcyjnym pod budowę dużej sali gimnastycznej w Węglińcu na potrzeby tutejszego gimnazjum i szkoły podstawowej. Będzie ona mogła służyć naszemu społeczeństwu również jako sala widowiskowa. Do kapsuły z aktem erekcyjnym włożyłem haftowany herb Lwowa! Niech kiedyś zaświadczy o tym, że Węgliniec zamieszkiwali Kresowianie. (A.J.)

Janina Oparowska

Wiara – pamięć i serce

W dniu 31 maja br. w święto Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w kościele św. Augustyna przy ul. Sudeckiej we Wrocławiu odbyła się doniosła niecodzienna uroczystość.

Ta uroczystość to odpust ku czci Matki Bożej Pocieszenia z Hodowicy koło Lwowa. W tej świątyni bowiem od 1980 roku pod opieką OO. Kapucynów znajduje się cudowny obraz Matki Bożej Pocieszenia z parafii Hodowica – przywieziony do Polski w 1946 roku.

Ten niewielki łaskami słynący obraz posiada swoją niezwykłą historię, przedstawianą w wielu pismach. Jest opiewana w legendach, pieśniach i poezji.

Znana jest pieśń – opowiadająca o niezwykłych dziejach tego obrazu zaczynająca się od słów:

O Najświętsza Matko Boga

Wielki z nieba cud –

Przed obrazem Twoim razem

Na twarz pada lud.

W Hodowicy Tyś wstawiona

tam w obrazie uwielbiona –

Hodowicka Maryja!

Do roku 1945 odpust w Hodowicy ku czci Matki Bożej Pocieszenia odbywał się 15 sierpnia w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, popularnie zwanym świętem Matki Bożej Zielnej.

Na tę odpustową uroczystość w dniu 31 maja przybyli dawni mieszkańcy Ziemi Lwowskiej, a więc dawni

parafianie takich parafii jak Hodowica, Nawaria, Pustomyty, Sokolniki, Siemianówka, Obroszyn.

Obecnie w większości zamieszkują Ziemię Dolnośląską – przybyli więc z różnych okolic i dzielnic wrocławskich, a także z samego miasta Wrocławia.

Najważniejszym momentem tej uroczystości była Eucharystia, której przewodniczył O. Józef Stanisław Szczepaniak ze Zgromadzenia Najświętszych Serca Jezusa i Maryi. Msza św. była sprawowana w asyście O. Romana Łukawskiego – proboszcza parafii św. Augustyna oraz kilku kapłanów, wśród których należy wymienić ks. kanonika Franciszka Rozwoda, który szczególnie jest związany z parafią Nawaria i Hodowica.

Trzeba nadmienić, że O. Józef Stanisław Szczepaniak jest także dawnym mieszkańcem parafii Hodowica. Tam został urodzony i w kościele hodowickim ochrzczony. O swoich korzeniach i związkach z Kresami opowiedział w sposób wzruszający na początku tej wyjątkowej uroczystości.

W czasie tej Mszy św. homilię wygłosił O. Antoni Dudek – proboszcz parafii św. Antoniego przy Al. Kasprzowicza we Wrocławiu.

Ta uroczystość została uświetniona występem polskiego chóru z Kijowa.

Na zakończenie p. Janina Oparowska zaprezentowała własny wiersz o charakterze wspomnieniowym pt. „Odpust w Hodowicy”, który został przez zgromadzonych w świątyni nagrodzony obfitymi brawami.

O godz. 21.00 odbył się Apel Jasnogórski.

Długo jeszcze po zakończeniu tej uroczystości przed cudownym obrazem Matki Bożej Pocieszenia modlili się wierni – młodzi, starzy – a szczególnie ci, co jeszcze pamiętają odpust w Hodowicy z dawnych czasów. □

Józef Dobrowolski

Oddział Towarzystwa także i w Pile

Lepiej późno niż wcale. Pomysł zrodził się w umysłach pilan najprawdopodobniej już w lipcu 1998 r. i to w... Warszawie. Jego początkiem była kresowa, niepowtarzalna atmosfera uroczystości 50-lecia kapłaństwa ks. Janusza Popławskiego. Najwyraźniej ksiądz kapłan nadal, nawet bezwiednie, potrafi twórczo inspirować tych, których edukację – wydawać by się mogło – już dawno ukończył. Pierwotne, nieśmiało marzenia

zaczęły nabierać realnych kształtów jesienią 1999 r. Zawiązała się kilkusobowa grupa inicjatywna, a jej przedstawiciele, w trakcie listopadowego jubileuszu dziesięciolecia Oddziału TMLiKPW w Bydgoszczy, z ogromną uwagą pobierali pierwszą lekcję organizacyjnej, wzorowej działalności. Inicjatywę utworzenia pilskiego Oddziału Towarzystwa nagłośniono w miejscowej i regionalnej prasie radiu i telewizji. Rozdzwoniły

się telefony, a pod wskazany adres zgłaszać zaczęli się Kresowianie, najczęściej z mocno już przyprószone siwizną głowami. Przychodzili pomimo tragedii, jaka przed laty, przez opuszczenie Ziemi Wschodnich, rozegrała się w ich sercach. Nadal zrosnięci z ojczyzną praojców, jak dom wielowiekowy, wrosnięty głęboko korzeniami w ziemię, jak dziecko przywiązane do matki, która go karmiła. Zainteresowanie wykazywali również i ci, którzy Kresy południowo-wschodnie znali już tylko z opowiadań rodziców. Dla nich te pola i łąki, lasy i wsie, miasta, domy i kościoły, te krajobrazy przyciągające oko raz powabem górskich prawie widoków, to znowu bezmiarem i jednostajnością tajemniczą stepu – to obraz ojczyzny wysnionej, nieomal magicznej, a i po trosze sentymentalnej. Nie zawiedli także i zwykli sympatycy, zafascynowani polską historią, kulturą, i tradycją Kresów II Rzeczypospolitej i ich wkładem w dzieje ojczyzny, których przez ponad sześć wieków były nieodłączną częścią. Rozmówcami w regionie słynącym z niepowtarzalnej atmosfery i klimatu, wyjątkowego nastroju i specyficznego dla Kresowian poczucia humoru, które owocowało jakże bujnie nie tylko w piosenkach lwowskich przedmieść.

Akces zgłosiło około 70 osób, głównie z Pili i Trzcińki, ale również Chodzieży, Jastrowia, Okonka, Wąlcza i Złotowa. Z województw kresowych najliczniej reprezentowane są: tarnopolskie (w tym Trembowla i Skala) i lwowskie.



Zebranie założycielskie Oddziału TMLiKPW w Pile. Od lewej: Zuzanna Przeworska – sekretarz, Józef Dobrowolski – prezes, Zbigniew Kosmatka – prezydent m. Pili, Jan Arski – wiceprezes

Zebranie Założycielskie odbyło się w grodzie Staszica – Pile, w dniu 3 czerwca 2000 r. Zainaugurowano je o godz. 9.00 uroczystą mszą świętą, odprawioną w kościele św. Stanisława Kostki przy ul. Browarnej, w trakcie której niezwykle piękną i sugestywną homilię wygłosił gospodarz parafii, ks. Władysław Nowicki. Wzruszenie było obopólne, bo i pod koniec kazania ksiądz proboszcz poprosił o przyjęcie go w poczet członków tego wspaniałego Towarzystwa. Następnie, po złożeniu kwiatów pod usytuowanym przy pl. Staszica pomnikiem „Pomordowanym na Wschodzie”, punktualnie o godz. 10.00 rozpoczęto obrady w sali karmelnej pilskiego Domu Kultury. Zebranie zaszczylił swoją obecnością ten, który poprzez okazaną życzli-



Pilscy Kresowianie u stóp usytuowanego przy pl. Staszica pomnika „Pomordowanym na Wschodzie”, w głębi fragment pilskiego Domu Kultury

wość i pomoc wydatnie przyczynił się do jego zorganizowania, prezydent miasta Pili – Zbigniew Kosmatka.

Na wstępie odczytano przesłanie, które obecni potraktowali jako kamień węgielny pilskiego Oddziału TMLiKPW, a do pozyskania którego w decydującym stopniu przyczynił się członek Oddziału, były proboszcz parafii św. Antoniego w Pile – o. Jakub Listwan, obecnie pełniący posługę duszpasterską we Wrocławiu. Przesłanie J. E. biskupa pomocniczego lwowskiego (jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych, kapłana w jednej z pilskich parafii) – Stanisława Padewskiego. Dostojny nadawca podkreślił fakt, że pilski Oddział Towarzystwa powstaje w znamienitym czasie Jubileuszu Roku 2000 i przypominał, iż najwspanialsze dzieła architektury, rzeźby, malarstwa i poezji, a przede wszystkim tradycja i obyczaje w życiu codziennym czerpią inspirację z chrześcijaństwa. Dalej kontynuuje: – Także Archidiecezja Lwowska posiada na swym terenie bogate dziedzictwo kultury duchowej i narodowej, co zajmuje szczególne miejsce w Waszych sercach i działalności Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Cieszę się i popieram tę działalność, świadomy doniosłości sięgania do korzeni, z których wyrastamy i troski, która jest ważnym czynnikiem utrwalać więzi pokoleń. Powstającemu Towarzystwu i wszystkim jego członkom z serca błogosławieństwa i w imieniu Archidiecezji dziękuję za wszelkie oznaki solidarności i pomocy humanitarnej.

W kolejno odczytanym liście gratulacyjnym, prezes Oddziału Stołecznego TMLiKPW – ks. Janusz Popławski (kapłan i wychowawca, który po kilku latach pracy w Pile, na trwałe pozostawił ślad w sercach i umysłach jej mieszkańców), gratulując inicjatywy pisze: – Cieszymy się, że nowe zastępy miłośników naszego przepięknego miasta będą szerzyć wiadomości o jego historii, nawiązywać kontakt z mieszkańcami grodu Semper Fidelis i zapewne nieść pomoc Kresowianom żyjącym w bardzo trudnych warunkach. Na koniec dodaje. – Pamiętajmy, że Piła jest miastem naszego prezesa Zarządu Głównego dra Andrzeja Kaminskiego, a i mnie bardzo bliska.

Szczególnie wzruszająco pisze zaprzyjaźniony z pilanami ks. Michał Murygin, proboszcz rzymsko-katolickiej parafii św. Piotra i Pawła w Trembowli. – Matko Boża Łaskawa, i dziś również lwowskie, galicyjskie i podolskie Dzieci, po całym świecie rozrzucone, na kolana upadając błagają o łaskę i wstawiennictwo dla tych biednych ziem, biednych świątyń, w Trembowli i Lwanówce, bo jeszcze nie służą w całej pełni dla chwały Bożej i na pożytek dusz. Przez Obraz Łaskawej i Sprawiedliwej, w moim skromnym przesłaniu, proszę o modlitwę i wsparcie. I w tym Wam i całemu Towarzystwu błogosławie.

Do rąk uczestników zebrania dotarł również telegram gratulacyjny v-ce prezesa Zarządu Głównego, a zarazem prezesa Oddziału TMLiKPW w Bydgoszczy – Danuty Śliwińskiej, ogromnie przez pilan cenionej, która nie mogła przybyć do Pily z uwagi na uczestnictwo, w tym samym terminie, w IX Zjeździe Sokolstwa Polskiego.

W zasadniczej części zebrania jego uczestnicy, zgodnie z wymogami i postanowieniami Statutu, dokonali wyboru członków Zarządu Oddziału, który ukonstytuował się następująco: Józef Dobrowolski – prezes,

Jan Arski – v-ce prezes, Zuzanna Przeworska – sekretarz, Halina Karaniewicz – skarbnik, Józef Herba – członek prezydium, ponadto skład członków Zarządu uzupełniają: Jan Grochocki, Alfred Jeleńkowski, Tadeusz Lubczyński i Aleksander Pytel. Wybrano również Komisję Rewizyjną, której przewodniczącą została – Olimpia Ciuksza oraz Sąd Koleżeński z przewodniczącym – Henrykiem Dobrowolskim.

Wkrótce po zebraniu dotarło do Pily także i pismo prezesa Zarządu Głównego TMLiKPW, w którym nawiązując do założenia pilskiego Towarzystwa pisze: – fakt ten jest szczególnie miły dla mnie, bo jak wiadomo, moje losy osobiste były i chyba są jeszcze związane z Pilą. Mieszkalem w Pile od czerwca 1947 r. Ukończyłem w Pile szkołę podstawową i liceum ogólnokształcące. Żle się stało, że moja mama nie doczekała tego podniosłego momentu, zmarła we wrześniu 1999 r.

Trwałość tych pilskich więzi potwierdziły najbliższe dni. Korzystając z obecności dra Andrzeja Kaminskiego w grodzie nad Gwdą, inauguracyjne posiedzenie Zarządu oraz Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego, w dniu 13 lipca, nie tylko uświetniła, ale i ku zadowoleniu obecnych, wspominkowo i informacyjnie zdominowała obecność prezesa.

Okres organizacyjnego świętowania przeciągnął się do 22 lipca, kiedy to we wspaniałym Centrum Wychowania Ekologicznego przy Dyrekcji Lasów Państwowych w Kalinie pod Pilą, zorganizowano piknik kresowy, z połową mszą świętą odprawioną przez ks. Leonarda Zycha, ogniskiem z nieodłącznymi kielbaskami i grochówką oraz obowiązkowo lwowskimi piosenkami.

Nadchodzą zwykłe robocze dni statutowej działalności, z której pragnęlibyśmy ocenianymi być w przyszłości (biorąc pod uwagę nasz młody organizacyjny wiek), nie gorzej aniżeli (używając hydro-meteorologicznej skali) w dolnej strefie stanów średnich Towarzystwa. □

Świdwiński Dzień Kultury Kresowej

Tegoroczny Dzień Kultury Kresowej 4.06.2000 r. zorganizowano w ramach Dni Świdwina przez Klub Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział Towarzystwa Miłośników Wilna i Kresów Wschodnich, Świdwiński Ośrodek Kultury i Miejską Bibliotekę Publiczną – pod patronatem burmistrza miasta Józefa Pietraszka.

Obchody rozpoczęto w Kościele pw. MBNP Mszą św. w intencji Polaków na Wschodzie i kresowianów na Ziemi Świdwińskiej.

Mszę św. celebrował proboszcz ks. kan. Jan Wszolek z udziałem członków towarzystw kresowych przy czytaniu lekcji, modlitwy wiernych i ofiarowaniu darów. Członkowie Klubu TMLiKPW ofiarowali kościołowi kopię cudownego obrazu Matki Bożej Łaskawej Królowej Korony Polskiej z Bazyliki Metropolitalnej obrządku łacińskiego, umieszczonego na ołtarzu głównym we Lwowie. Przed

tym obrazem król Jan Kazimierz 1 kwietnia 1656 r. złożył słynne śluby lwowskie ogłaszając NMP Królową Polski i powierzając jej losy narodu polskiego. Członkowie Oddziału TMLiKPW ofiarowali pieczywo wileńskie i kwiaty. Miłym akcentem było śpiewanie przez lwowiaka Bolesława Kurka z Połczyzna Zdroju ballady „Wierne Madonny lwowskie”. Po mszy zorganizowano barwny korowód z zespołów i kapel, kresowianów, organizatorów i władz samorządowych miasta i powiatu, przechodząc z muzyką i piosenką ulicami centrum miasta pod ratusz gdzie przygotowana była scena.

Rozpoczynając imprezę, prezes Klubu TMLiKPW w imieniu organizatorów serdecznie powitał wszystkich przybyłych na nasz IV Festyn Kultury Kresowej pod patronatem Józefa Pietraszka, burmistrza miasta.

Szczególnie powitał władze samorządowe miasta: przewodniczącą Rady Powiatu Danutę Mali-



Fot. M. Kostur

Zespół ze Szkoły Podstawowej nr 2 pod kier. Anny Strońskiej

towską, wicestarostę Czesława Kowalewskiego, przewodniczącą Rady Miasta Henryka Klamana i wiceburmistrza Andrzeja Raufłajsa. Mówiąc, że towarzystwa kresowe działają w Świdwinie od 10 lat i tą artystyczną formą działalności pragniemy upowszechniać naszą kulturę i folklor kresowy Lwowa i Wilna na Ziemi Świdwińskiej, bo tu jest nasza Mała Ojczyzna. Cieszy nas, że w tę działalność włączyły się wszystkie szkoły, za co dziękujemy nauczycielom prowadzącym zespoły, dyrektorom szkół oraz tym wszystkim, którzy tu dziś wystąpią. W dowód dobrej współpracy wręczono książki przewodniczącemu Rady Miasta „Księga humoru lwowskiego” a burmistrzowi „Album Lwowa”. W swych wypowiedziach podkreślali znaczącą rolę towarzystw w życiu społeczno-kulturalnym miasta, życząc dalszych sukcesów w swojej działalności.

Z programem lwowsko-wileńskim wystąpili: zespół śpiewaczy „Leszczyna” z Pęczeryna pod kier. Mieczysława Gajewskiego i Marii Szeredy, zespół wokalo-taneczny „PANTERA” z ŚOK pod kier. Barbary Kolasieńskiej, zespoły szkolne pod kier. nauczycieli: SP nr 1 Agnieszki Wysokińskiej i Marka Świderskiego, SP nr 2 Anny Strońskiej, SP nr 3 Małgorzaty Sitniak-Drelak, LO Lucyny Dziewiatowskiej i ZSR Zbigniewa Owczarka. Bolesław Kurek śpiewał ballady i piosenki lwowskie akompaniując na gitarze. Jan Wanago poeta-gawędziarz z Wrześnicy k. Słupska przedstawił folklor kresowy, Kapela „Przylesie” z Koszalina pod kier. Tomasza Nowackiego.

W miejskiej Bibliotece Publicznej w zamku zorganizowano wystawę: wydawnictw „Lwów – Wilno



Fot. M. Wiszniewski

W kresowym korowodzie na czele od lewej: przewodnicząca rady Powiatu Danuta Malitowska, wiceburmistrz Andrzej Raufłajsz, prezes wileńców Anna Teresińska, skarbnik miasta Urszula Cieślińska, przewodniczący rady Miasta Henryk Kłaman i prezes lwowianów Mieczysław Kostur. W głębi zespół „LESZCZYNA” i kapela „Przylesianie”. W tle XIV w. brama kamienna.

– Kresy” i „Tradycje wileńskie w naszym regionie”.

Występującym zespołom wręczono okazjonalne dyplomy za udział w IV Festynie Kultury Kresowej z wyrazami wdzięczności za upowszechnianie folkloru lwowskiego i wileńskiego na ziemi świdwińskiej oraz po dwie książki pt. „Księga humoru lwowskiego” i „Ta joj, ta Lwów”, by mieć z czego czerpać program.

Podsumowany został przez Annę Teresińską konkurs „Tradycje wileńskie w naszym regionie” organizowany przez TMWiKW, ŚOK i MBP. Nagrodzono na utwory literackie Irenę Śmiałek z Koszalina, Lucynę Pawelec z Ząbrowa, Małgorzatę Jasińską z Koszalina i Jana Wnago z Wrześnicy. Organizatorzy serdecznie dziękują władzom samorządowym miasta i powiatu Świdwin, za wsparcie finansowe oraz sponsorom, dzięki którym można było rozwiązać wiele spraw organizacyjnych i ugościć zespoły.

Dziękujemy za pomoc pracownikom Świdwińskiego Ośrodka Kultury i Miejskiej Biblioteki Publicznej, a także wiceprezesowi Oddziału TMLiKPW w Koszalinie Ryszardowi Adelowi i Zdzisławowi Telickowi z Myszkowa koło Częstochowy, naszemu klubowemu członkowi za przyjazd i uświetnienie swoją obecnością naszej kresowej imprezy artystycznej.

Mieczysław Kostur
Prezes Klubu TMLiKPW w Świdwinie

Henryk Pruszyński

Jubileusz 80-lecia

Miły jubileusz 80-lecia swych urodzin obchodził w dniu 23 maja br. trójka członków TMLiKPW w zielonogórskim oddziale. Dwie miłe panie: Janina Strychalska i Genowefa Skrzypczak oraz pan Henryk Witrylak podejmował Zarząd Oddziału oraz licznie zebrani członkowie Towarzystwa.

Przeróżne koleje losu wiodły Jubilatów w ich życiowej drodze, aby wreszcie osiąść w tak odległej od Lwowa i Kresów – Zielonej Górze. Czegóż to w ich życiowej wędrówce nie było: i walka w oddziałach AK, więzienia i łagry syberyjskie i walki w powstaniu warszawskim – jego upadek, i gorycz wysiedlenia z ukochanej rodzinnej ziemi i tułaczka po świecie. Gdy 11 lat temu powstał w Zielonej Górze oddział TMLiKPW – nasi dostojni Jubilaci znaleźli się jako jedni z pierwszych w jego szere-



Jubilaci: Janina Strychalska, Genowefa Skrzypczak, Henryk Witrylak

gach. Pomimo śladów jakie pozostawił czas i gorzkie przeżycia losowe w ich długim życiu, znajdują zawsze wolną chwilę, aby uczestniczyć w działalności społecznej naszego Towarzystwa. Na uroczystości zorganizowanej na ich cześć było wiele serdecznych życzeń, łyż wzruszenia, moc kwiatów i laurki okolicznościowe, tort urodzinowy i toast spełniony szampanem. Tradycją spotkań w naszym Oddziale jest wykonywanie piosenek na życzenie solenizanta lub jubilata, w czym szczególnie wiodą prym członkowie istniejącego i prężnie działającego chóru „Pohulanka” pod batutą kol. Stanisława Moora i przy akompaniamencie akordeonowym kol. Romana Garbacika. I tą uroczystością uczczono lwowskimi piosenkami i okolicznościowymi wierszami naszej „nadwornej” poetki kol. Ireny Piątkowskiej.

Dziesięć lat minęło – Klub TMLiKPW w Sanoku



Fot. J. Kwaśniewicz

W dniu 3 czerwca 2000 roku Klub TMLiKPW w Sanoku obchodził swój jubileusz.

Rocznicowa uroczystość, którą prowadziła przewodnicząca Klubu Maria Siekierzyńska, odbyła się w osiedlowym Domu Kultury „Puchatek”. Jubileuszowe spotkanie rozpoczęła się od powitania gości, licznie zgromadzonych członków Klubu i ich rodzin.

Czterej założycieli Klubu – Eugeniusz Kaliniecki (pierwszy długoletni prezes), Wiesław Zapał, Jerzy Kwaśniewicz i Jan Papisz zostali odznaczeni Złotymi odznakami TMLiKPW wręczonymi im przez członka Zarządu Głównego – Kazimierza Rozmiłowskiego, który skierował ciepłe słowa, gratulacje i życzenia pod adresem odznaczonych, przewodniczącej Klubu oraz wszystkich członków. Obdarował też przewodniczącą Klubu pamiątkową plakietką.

W imieniu starosty sanockiego – Edwarda Olejki – rzecznik Piotr Mazur przekazał gratulacje i życzenia oraz przeczytał list starosty skierowany do członków Klubu. Czytamy w nim między innymi: „Wspomnienie rodzinnego domu, lat dzieciństwa czy własnych korzeni, to zawsze jest to, co stanowi o tym, kim jesteśmy. (...) Przez te wszystkie lata głównie dzięki Wam trwała i była wzmacniana pamięć o dziejach Kresów Wschodnich

Rzeczypospolitej, tak ważnych dla naszej tożsamości narodowej.

Reprezentant burmistrza – Zbigniewa Daszyka – skarbnik miasta Kazimierz Kot, przekazał słowa uznania i życzenia sukcesów oraz gratulacyjny od burmistrza miasta.

W serdecznych słowach zwróciła się do zebranych komendantka hufca ZHP hm. Krystyna Chowaniec, która życzyła członkom Klubu „wielu osiągnięć w chlubnym dziele podtrzymywania tradycji narodowych i wspierania Rodaków zamieszkałych na Wschodzie...”

Na ręce przewodniczącej Klubu życzenia pomysłowości, wyrazy uznania i gratulacje przysłał pocztą senator RP Ireneusz Andrzej Zarzycki.

Dużą przyjemność i możliwość odczucia prawdziwie lwowskiego klimatu sprawił obecnym występ zespołu „Iskierka” z Maciejowej koło Nowego Sącza. Klikuosobowy zespół wokalny zaśpiewał z werwą i wyczuciem piosenki, które w przeważającej części wyszły spod pióra Jerzego Masióra, wielkiego przyjaciela sanockiego Klubu.

Również z lwowskim repertuarem wystąpił kameralny chór Szkoły Muzycznej im. Wandy Kossaowej w Sanoku oraz mały akordeonista. Słuchający przenieśli się myślami na Łyczaków, Gródecką, na Wysoki Zamek i do Stryjskiego Parku, a także do równie drogich naszym sercom miast jak Borysław, Drohobycz, Sambor, Stryj...

Doskonałą niespodzianką, pomysłu pierwszego prezesa Klubu było obdarowanie wszystkich zebranych lwowskimi chlebkami, upieczonymi według oryginalnej receptury przez piekarnię w Lesku. Był to rozślawiony przez piosenkę Władę Majewskiej i teatrzyk Hemara „chlib kulikowski” oraz chlebki teologa i karmelitanek. Lwowiacy pamiętają smak tych chlebów, były pyszne! Te dorównały przedwojennym.

Końcową częścią uroczystości był toast wznieiony szampanem za pomysłowość Klubu, doskonałe ciastka, wspólne zdjęcie i długie rodaków rozmowy.

Alicja Wolwicz

Po blisko półwiecznym okresie, kiedy to w PRL nie wolno było mówić głośno o Lwowie, kiedy lwowiacy i kresowiacy mogli tylko w zaciszu domowym opowiadać swoim dzieciom i wnukom o ukochanym mieście, o „kraju lat dzieciennych”, przyszedł czas, gdy można już otwarcie przyznać się do swych korzeni.

W 1988 roku powstało we Wrocławiu Towarzystwo Miłośników Lwowa, a wkrótce potem na terenie kraju, tam gdzie żyją lwowiacy i kresowiacy, zostały utworzone oddziały i kluby.

W Sanoku w pierwszym kwartale 1990 roku zawiązała się grupa inicjatywna w składzie: Maria Borys, Eugeniusz Kaliniecki, Jerzy Kwaśniewicz, Jan Papisz, Grażyna Rudy i Wiesław Zapał. W wyniku ich starań powstał klub TML.

Dnia 28 września 1990 roku odbyło się walne zebranie, na którym dokonano wyboru zarządu Klubu. Przewodniczącym został E. Kaliniecki, zastępcą przewodniczącego – W. Zapał, sekretarzem – J. Papisz, skarbnikiem – W. Wojtuszevska. W skład komisji rewizyjnej weszli – J. Kwaśniewicz, Cz. Przybyłek i K. Szczerba. Program działania został ujęty w następujących punktach:

1. Ożywienie kontaktów towarzyskich wśród osób sympatyzujących ze środowiskiem kresowym.
2. Propagowanie prawdziwej historii ziemi kresowej szczególnie Lwowa.
3. Podtrzymywanie tradycji i folkloru ziemi lwowskiej.
4. Uczestniczenie w działaniach na rzecz odbudowy i ochrony zabytków Lwowa.
5. Systematyczne rozszerzanie działalności Klubu o tematykę proponowaną przez członków.
6. Utrzymywanie kontaktów z Klubami w innych miastach.
7. Realizowanie postanowień statutowych i programu Zarządu Głównego TML.

Więść o istnieniu Klubu zatoczyła szerokie kręgi i wkrótce lista członków osiągnęła liczbę ponad stu osób. Oprócz mieszkańców Sanoka wstąpiły do Klubu osoby z okolicznych miejscowości i sąsiednich miast jak Bykowce, Zagórz, Czerteż, Załuż, Baligórd, Jabłonki, Brzozów, Rymanów, Krosno i Jasło.

Spotkania klubowe odbywały się przez kilka lat w Kawiarni Lwowskiej w Osiedlowym Domu Kultury „Puchatek”, od końca 1994 r. do początku 1997 r. w Domu Harcerza, a od marca 1997 r. do chwili bieżącej znów w Domu Kultury „Puchatek”, ale już nie w Kawiarni Lwowskiej, bo jej nie ma.

Na początku 1995 r. przewodniczący Klubu E. Kaliniecki złożył sprawozdanie z czteroletniej działalności Zarządu. Odbyły się też wybory uzupełniające – w miejsce J. Papisza sekretarką Klubu została wybrana Alicja Wolwicz, która również zobowiązała się do założenia i prowadzenia kroniki.

Kronika istnieje, zawiera dzieje Klubu od chwili jego powstania i prowadzona jest na bieżąco. Zdobią ją liczne zdjęcia wykonane przez J. Kwaśniewicza.

Działalność Klubu osłabła w roku 1996 na przebiegu kilku miesięcy, ale od stycznia 1997 r. rozkwitła na nowo. Przewodniczący E. Kaliniecki i wiceprzewodniczący W. Zapał poprosili o zwolnienie z funkcji z powodu nadmiaru pracy zawodowej. Funkcja przewodniczącej Klubu została powierzona Marii Siekierzyńskiej, a wiceprzewodniczącą została Ludmiła Patała, poza tym skład zarządu nie zmienił się.

Wśród naszych członków był mieszkaniec Jasła – Wojciech Kazimierz Spólnik, urodzony w roku 1900, uczestnik walk w 1918 r. jako ochotnik jasielskiej kompanii piechoty. Potem jako żołnierz 10 kompanii 5 p.p. Legionów walczył w obronie Lwowa.

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich (tak brzmi pełna nazwa Towarzystwa od sierpnia 1992 r.) nadał W. K. Spólnikowi godność Honorowego Członka oraz przyznał Złotą Odznakę.

Z zainteresowaniem słuchaliśmy wspomnień W. K. Spólnika i z żalem pożegnaliśmy, gdy odszedł na zawsze 28 lutego 1998 r.

Comiesięczne spotkania klubowe mają różnicowany charakter. Na szczególną uwagę zasługują spotkania autorskie, a wśród nich trzydniowe goszczenie Jerzego Michotka przez członków Klubu w dniach 9-11 grudnia 1991 r. Ciekawa osobowość piosenkarza i aktora, ciepło i serdeczność jego repertuaru o tematyce lwowskiej zaurczyły nie tylko członków Klubu, ale też liczne zgromadzoną publiczność na wieczorze autorskim. Można też było nabyć wspomnienia autora zatytułowane „Tylko we Lwowie”.

Rok później gościliśmy na spotkaniu klubowym autora książki pt. „Liberka” – Mieczysława Wacławskiego, lwowianina, żołnierza Drugiego Korpusu. Autor przedstawił swoje losy, a zarazem kawał historii wojennego Lwowa.

W lutym 1994 r. członek naszego Klubu – Benedykt Gajewski zaprezentował swoją pracę pt. „Beresteczko Szkice i materiały z dziejów miasteczka”. Praca zawiera tylko ślad osobistych wspomnień, natomiast autor skupił się na materiałach historycznych.

Na jednym ze spotkań w 1997 r. zaprezentował swoje wiersze poeta zwany „bardem bieszczadzkim” – Jan Szalc. Przypomniął słuchaczom znane miejsca z wypraw turystycznych i przybliżył piękno tak bliskich nam gór.

W jesieni 1997 r. przybył na nasze klubowe spotkanie prezes nowosądeckiego Oddziału – Jerzy Masiór wraz z kilkuosobowym zespołem recytatorsko-wokalnym. Zespół wykonał program, na który złożyły się również utwory autorstwa J. Masióra, lwowianina, znanego nam z kart „Semper Fidelis”, gdzie umieszcza swoje wiersze oraz wspomnienia o Lwowie, drogich sercu miejscach i ludziach wpisanych w nieprzemijającą pamięć.

W czerwcu 1999 r. odwiedziła nasz klub i uczestniczyła w spotkaniu lwowianka – Jadwiga Sibiga, która żyjąc wspomnieniami o swoim mieście, opiewa je w wielu utworach poetyckich. Snu-

ła opowieść o Lwowie, swoich przeżyciach oraz przeczytała kilka wierszy.

Zwykle spotkania klubowe poświęcone są konkretnej tematyce. W listopadzie związane są z rocznicą odzyskania niepodległości, z walkami o Lwów i pamięcią o Lwowskich Orłętach. Często listopadowe spotkania są ożywione recytatorsko wokalnymi występami harcerzy sanockiego Hufca ZHP.

Szczególnie uroczysty charakter mają spotkania opłatkowe przy świecach, z opłatkiem i życzeniami noworocznymi. O część modlitewną dba zwykle ks. prałat Adam Sudoł. Przed lwowskimi piosenkami pierwszeństwo mają wtedy kolędy.

Wśród wielu tematów spotkań były opowieści członków Klubu o dzieciństwie i młodości na Kresach Wschodnich, o wyjeździe z rodzinnych stron, o zesłaniu na Sybir i późniejszej tułaczce, a także o udziale w walkach z bandami UPA. Była też prelekcja o historii Kresów Wschodnich i ludów zamieszkujących te ziemie od początków istnienia.

Niektóre spotkania klubowe, gdy pogoda i temperatura sprzyjają, odbywają się przy ognisku w ogrodzie przewodniczącej Klubu – Marii Siekierzyńskiej lub wiceprzewodniczącej – Ludmiły Pałaty, której ogród ma szczególny charakter – jest małym skansenem z rekwizytami podsanockich wsi. Spotkania te mają swoistą atmosferę, sprzyjają opowieściom i śpiewom. Płyną wtedy piosenki lwowskie, harcerskie i biesiadne. Wśród ulubionych naszych pieśni są „Polskie Kwiaty”. Śpiew przede wszystkim lwowskich piosenek jest składową częścią naszego spotkania, a kończymy je zwykle pieśnią „Marsz, marsz Polonia”. Akompaniuje nam na pianinie B. Gajewski.

W roku 1994, w sierpniu, została zorganizowana trzydniowa wycieczka do Lwowa. Uczestnicy zwiedzili Lwów, Żółkiew, a niektórzy na własną rękę, taksówkami, swoje rodzinne strony. Największe wrażenie zrobił na wszystkich Cmentarz Lwowskich Orłąt. Poza tym wszyscy emocjonalnie przeżywali oglądanie miejsc tak bliskich polskiemu sercu.

Wycieczkowicze nocowali w kwaterach prywatnych u polskich rodzin, dzięki czemu pieniądze, zamiast do hotelu, trafiły do rodaków i zasiły ich bardzo nędzne budżety. Każdy miał też dla nich upominki.

Pomoc dla Polaków za wschodnią granicą jest organizowana od początku istnienia Klubu w Sanoku.

Pod koniec 1992 r. zarząd Klubu zebrał 1567 kg odzieży, 1 milion złotych (st.), 9\$ i 70 rubli. Odzież została dostarczona do parafii rzymskokatolickiej w Drohobycz, a pieniądze zostały użyte na pokrycie kosztów transportu, odpraw i parkingów.

Dla Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie przekazano w 1993 r. 24 paczki ze środkami czystości, 16 paczek żywnościowych, 6 paczek z odzieżą oraz 13\$ i 290 tys. zł. (st.).

Przed świętami Bożego Narodzenia w 1994 r. sanocki Klub włączył się do akcji Klubu nowsadeckiego i łącznie z klubami w Jaśle, Tarnobrzegu i Zakopanem zebrał około 25 mln zł (st.). Za tę kwotę została zakupiona żywność i dostarczona rodakom we Lwowie, Żydaczowie, Chodorowie i Rudkach Fredrowskich. Oprócz żywności obdarowani otrzymali kilkaset paczek z zimową odzieżą i obuwiem.

W 1995 r. nasz Klub nawiązał kontakt z Klubem Myśli Katolickiej we Lwowie. Na prośbę przewodniczącego został załatwiony pobyt dziecka ze Lwowa w sanatorium w Rymanowie. Podobnie rzecz się miała w następnym roku, gdy dziecko polskie ze Lwowa spędziło dwa turnusy na leczeniu w Rymanowie. Powtórzyło się to również w 1997 r.

Również w tym roku Klub Myśli Katolickiej we Lwowie otrzymał od nas żywność, odzież i pieniądze dla swoich podopiecznych.

W 1998 r. nasz Klub wysłał pomoc pieniężną w wysokości 200 zł dla lwowiaków skupionych w Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej na pielgrzymkę do Włoch.

W sierpniu 1996 r. została przeprowadzona zbiórka obuwia i spodni dla pracowników porządkujących i pilnujących Cmentarza Orłąt Lwowskich, natomiast we wrześniu została przekazana przesyłka złożona z 8 worków obuwia i odzieży do parafii rzymskokatolickiej na terenie południowej Ukrainy. Dary te zostały dostarczone za pośrednictwem wycieczki Klubu z Nowego Sącza.

Na wiosnę 1997 r. Klub nasz nawiązał kontakt z księdzem Tadeuszem Biernatem, proboszczem parafii w Dubnie na Wołyniu. Wkrótce została zorganizowana pomoc dla parafian w postaci odzieży, butów, produktów żywnościowych, sukien komunijnych dla dzieci, książek i przyborów szkolnych.

Ksiądz Biernat poinformował, że istnieje możliwość uczenia dzieci polskiego języka ojczystego, ale trzeba opłacić nauczycielkę, która nie ma środków do życia. Członkowie naszego Klubu opodatkowali się i wpłacali po dolarze miesięcznie lub równowartość w złotychkach. Pomoc ta trwała do września 1999 r., kiedy to ks. Biernat został przeniesiony do Polski i kontakt z Dubnem na razie urwał się.

Kilkakrotnie dary w postaci odzieży i żywności dla swoich parafian otrzymał od Klubu o. T. Ryba – franciszkanin z kościoła św. Antoniego we Lwowie. O. Ryba przyjeżdża samochodem i odjeżdża napełnionym darami. Ostatnio na grudniowym spotkaniu Klubu zebraliśmy dla parafian o. Ryby 55\$.

Najczęściej organizacją pomocy dla Polaków zza wschodniej granicy zajmowali się kolejni przewodniczący Klubu – Eugeniusz Kaliniecki i Maria Siekierzyńska.

Dużo inicjatywy wykazała pod tym względem Mieczysława Czopor, członkini naszego Klubu, która nawiązała kontakt z Polką mieszkającą w Chyrowie – Janiną Piróg, przewodniczącą Towar-

zystwa Kultury Polskiej i Rady Parafialnej m. Chyrowa.

Janina Piróg wiele robi dla miejscowych Polaków. Za opiekę nad niedołążną staruszką, też Polką, otrzymała dom, w którym urządziła kaplicę oraz salkę spotkań Polaków i miejsce nauczania religii dla polskich dzieci. Społeczność ta już kilkakrotnie otrzymała pomoc zorganizowaną przez M. Czopor w formie artykułów żywnościowych, książek, przyborów szkolnych, paczek mikołajkowych oraz komeżek i pelerynek dla ministrantów.

Działalnością Klubu TMLiKPW w Sanoku zainteresował się redaktor magazynu radiowego pt. „Kresy, krajobraz serdeczny, czas Apokalipsy i pojednania” – Zbigniew Wawszczak z rozgłośni regionalnej „Radio Rzeszów”.

Redaktor dotarł do niektórych członków naszego Klubu, co znalazło odbicie na falach eteru w kolejnych audycjach, kiedy to kresowiaci snuli opowiadania o stronach rodzinnych i swojej młodości. W magazynie umieszczane są również informacje o bieżącym życiu Klubów, a więc nie brak też wiadomości o sanockim Klubie i jego członkach.

Klub nasz utrzymuje kontakt zarówno z Zarządem Głównym TMLiKPW we Wrocławiu, jak i z Makroregionem Południowo-Wschodnim. Prze-

Redakcja Semper Fidelis Wrocław

Zarząd Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Tarnowie we współpracy ze Stowarzyszeniem Rodzin Katolickich zorganizował 2-tygodniowy wypoczynek letni dla polskich dzieci z Ziemi Lwowskiej.

Część z nich (30) przebywała w gościnie u mieszkańców w Łososinie Górnej, druga część (22) wypoczywała w Domu Wczasów Dziecięcych w Jodłówce Tuchowskiej, pod czułą i serdeczną opieką.

Szczególne podziękowania należą się społeczeństwu i firmom, które swoją pomocą wspomogły naszą akcję, a tym samym cel, jaki nam przyświeca – pogłębienie więzi narodowej i pomoc charytatywna Rodakom – mógł być zrealizowany. W szczególności dziękujemy indywidualnym ofiarodawcom oraz firmom i zakładom pracy: Zakładom Azotowym, Spółce z o.o. „SWIT”, Małopol-

wodnicząca lub inny członek zarządu Klubu uczestniczy w zjazdach Makroregionu.

W kwietniu 1999 r. zjazd taki odbył się w Sanoku z udziałem członka Zarządu Głównego – Kazimierza Rozmiłowskiego i delegatów Klubów z Rzeszowa i Tarnobrzegu. Z rąk Członka Zarządu Głównego Klub nasz otrzymał medal 10-lecia Zarządu Głównego TMLiKPW, natomiast przewodnicząca Klubu – Maria Siekierzyńska otrzymała medal Oddziału Lubelskiego za wspieranie działalności na rzecz Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Oba medale obok ciekawych zdjęć można zobaczyć w halu Osiedlowego Domu Kultury „Puchatek”.

Niedawno miały miejsce zmiany w zarządzie Klubu. w wyniku wyborów uzupełniających skarbnikiem zarządu został Tadeusz Strzelecki, w miejsce obciążonej innymi obowiązkami Wandy Wojtuszewskiej. Członkiem Komisji Rewizyjnej, w miejsce chorego Kazimierza Szczerby został Marian Golczyk.

Działalność Klubu TMLiKPW daje jego członkom możliwość wymiany myśli, milego spędzania czasu, spotkań z ciekawymi ludźmi, uczestniczenia w niesieniu pomocy rodakom zza wschodniej granicy, a przede wszystkim kultywowania pamięci i uczuć do Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. □

skiemu Ośrodkowi Ruchu Drogowego, Państwowej Komunikacji Samochodowej.

Gościnnie dziękujemy pracownikom służby zdrowia ZOZ w Tuchowie za troskliwą, bezinteresowną opiekę lekarską i stomatologiczną oraz za liczne dary ofiarowane dzieciom.

Szczególne dzięki należą się kadrze Domu Wczasów Dziecięcych w Jodłówce Tuchowskiej, która swoją serdecznością i gościną postawą uczyniła pobyt dzieci nie tylko miły, ale wręcz stworzyła im klimat domu.

Podziękowaliśmy również redakcjom radia Plus i Max, które w eterze włączyły się w organizację pomocy dzieciom.

Za Zarząd
Prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i
Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Tarnów
dr Barbara Krupińska

Barbara Krupińska

Dni Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. Tarnów czerwiec 2000

Tarnowski Oddział TMLiKPW we współpracy z Władzami Samorządowymi Miasta Tarnowa i Powiatu Tarnowskiego oraz z Instytucjami Kulturalnymi i Szkołami zorganizował w miesiącu czerwcu po raz siódmy uroczyste obchody „Dni Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich”. W dniu 2.06. miały one miejsce w Tarnowie włączone w Dni

Tarnowa. Uroczystego otwarcia dokonał Prezydent Miasta Tarnowa i Starosta Powiatu Tarnowskiego. Złożyły się na nie sesja popularno-historyczna pt. „Rola Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. w dziejach Narodu Polskiego” poprzedzona koncertem muzyki utworów Chopina oraz wystawa pt. „Huculszczyna wczoraj i dziś” połączona z od-



Fot. A. Kaminski

Tarnów. Otwarcie wystawy „Huculszczyna wczoraj i dziś”. 2.06.2000



czytaniem na temat Huculszczyny, a zakończona występami młodzieżowego zespołu wokalnego z regionu Nowego Sącza. W dniu 14.06. miały miejsce obchody Dni Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. w mieście Żabno w powiecie tarnowskim. Program na tę uroczystość przygotowała młodzież szkół Ziemi Tarnowskiej.

W programie znalazło się:

1 – opracowanie i omówienie przez uczniów szkoły Budowlanej w Tarnowie graficznego obrazu na temat dziedzictwa polskiej kultury na Kresach Płd.-Wsch., połączone z referatami tematycznie z tym związanymi wygłoszonymi przez nauczycieli opiekunów grupy młodzieży.

2 – finał konkursu recytacji poezji lwowskich poetów dawnych i współczesnych, w bardzo dobrym wykonaniu 16 uczestników uczniów szkół ponadpodstawowych z powiatu.

Jerzy Masior

Lwowskie muzykowanie w Nowym Sączu

W czerwcu br., w odstępach tygodniowych (6 i 15 VI) mieszkańcy N. Sącza mogli wysłuchać w reprezentacyjnej sali tutejszego ratusza 2 koncertów: Pierwszy to „PIEŚNI POLSKIE” poświęcony pamięci wybitnego polskiego barytona, z pochodzenia lwowianina – Andrzeja Hiolskiego, w wykonaniu profesorów i adeptów sztuki wokalnejszej sądeckiej szkoły muzycznej II st. im Fr. Chopina. W życiorysie wielkiego śpiewaka znalazł się Nowy Sącz wielokrotnie. Tu dotarł w ucieczce ze Lwowa w 1944 r. Był świadkiem dramatycznych dni miasta: wysadzenia w powietrze zamku Jagiellonów podczas ucieczki Niemców. Stąd też w pierwszych miesiącach 45 r. wyruszył do Krakowa, by po raz pierwszy zaśpiewać w „HALCE” i „STRASZNYM DWORZE”, a później kontynuować karierę śpiewaczą pod opieką innego wielkiego lwowskiego artysty – Adama Didura. W N. Sączu koncertował też wielokrotnie mając w programie głównie pieśni, a także uczestniczył jako juror w organizowanym tu corocznie konkursie wokalnym im. Ady Sari, starosądeckanki zresztą. Jedną z



Urszula Sołtys z IV LO śpiewa w czasie lwowskiego koncertu „Laureaci Leszna 2000” w sądeckim ratuszu (15. VI. 2000)

młodych solistek koncertu – Kinga Dobosza zetknęła się z Andrzejem Hiolskim na scenie operetki wrocławskiej w czasie pamiętnego koncertu z okazji 50-lecia ekspatriacji nas ze Lwowa. Kinga –



Zespół wokalny „Puellae Cantantes” z IV LO w N. Sączu śpiewa w czasie koncertu „Laureaci Leszna 2000”

odznaczona nb. honorową odznaką TMLiKPW w ub. roku za wieloletnie śpiewanie lwowskich piosenek i pieśni m.in. we Lwowie – uczestniczyła wtedy we wrocławskim koncercie wraz z zespołem „MY-16” z sądeckiej szkoły Orląt Lwowskich.

Drugi lwowski koncert, to prezentacja tegorocznych laureatów Festiwalu Piosenki Lwowskiej w Lesznie. W koncercie wystąpili nagrodzeni soliści i zespoły, łącznie 35 wykonawców. Było komu śpiewać, bo wiele czołowych miejsc indywidualnie (łącznie z Grand-Prix Festiwalu) jak i zespołowo („MY-16”, Puellae Cantantes” i „ISKIERKI” z Maciejowej) zajęły sądeczanki. Koncert został gorąco przyjęty przez publiczność. Prócz tradycyj-



Zespół wokalny „Iskierki” z SP w Maciejowej k. N. Sącza śpiewa na otwarciu wystawy „HUCULSZCZYNA” w Tarnowie. Na pierwszym planie solistka zespołu Sylwia Homoncik.

nych lwowskich piosenek dobrze zabrzmiały także nowe kompozycje głównie sądeckich autorów. Wiadomo bowiem, że młodzież sądecka, szczególnie z IV LO przoduje obecnie w wykonywaniu współczesnej lwowskiej muzyki. To dobrze, bo wspaniałe tradycje tamtego śpiewania pod Wysokim Zamkiem są kontynuowane. A my Lwowianie wiemy i to także, że śpiew to najatrakcyjniejsza forma przekazywania i utrwalania wśród dzieci i młodzieży pamięci o Lwowie. Szkoda, że nie we wszystkich naszych TML-owskich środowiskach się o tym pamięta.

Nowy Sącz, 21 VI 2000 r.

Piotr Franków

Gorzowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Gorzowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa powstał w 1989 roku. Inicjatorami utworzenia Towarzystwa w Gorzowie Wlkp. byli: Aleksandra Owsieńska, Kazimierz Dąbrowski i Jerzy Dorota. W pierwszym walnym zgromadzeniu, które odbyło się 27 maja 1989 roku, uczestniczyły 72 osoby. Wyłoniono wówczas Zarząd Oddziału, którym kierowali: Jerzy Dorota – prezes, Kazimierz Dąbrowski i Izabela Wiącek – wiceprezesi, Alojzy Rzyński – sekretarz. Powołano też trzy komisje programowe:

- komisję współpracy z Polakami ze Lwowa i Ziemi Lwowskiej (przewodnicząca Krystyna Winnicka),
 - komisję kulturalno-turystyczną (przewodnicząca Władysława Staryszak),
 - komisję historyczno-informacyjną (przewodniczący Piotr Franków);
- ponadto komisję rewizyjną (przewodniczący Stanisław Ochmański) i sąd koleżeński (przewodnicząca Izabela Wiącek).

Przyjęto również program działania oparty na Statucie Towarzystwa, opracowanym i zatwierdzonym przez Zarząd Główny TML we Wrocławiu.

Zmiana nazwy Towarzystwa Miłośników Lwowa na Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich nastąpiła w 1992 roku.

Po pierwszych dwóch latach działalności Gorzowskiego Oddziału, w miejsce komisji powołano kluby: Lwowski, Stanisławowski, Tarnopolski i Wołyński. Klub Lwowski (przewodniczący Kazimierz Wacyk, później Jerzy Dorota); Klub Stanisławowski (przewodniczący Aleksander Gerlach); Klub Tarnopolski i Wołyński (przewodniczący Lesław Styka, później Kazimierz Dąbrowski). Przejęły one wszystkie dotychczasowe zadania komisji.

Przed drugim walnym zgromadzeniem w 1993 roku Gorzowski Oddział TMLiKPW liczył prawie 300 osób. Na zjeździe w dniu 18 kwietnia 1993 r. dokonano podsumowania czteroletniej działalności i wybrano nowy Zarząd. Funkcję prezesa Oddziału powierzono ponownie Jerzemu Dorocie. Wiceprezesami zostali Kazimierz Dąbrowski i Piotr Franków. Funkcję sekretarza powierzono Alojzemu Rzyńskiemu (po jego śmierci w 1995 r. obowiązki sekretarza przejęła Konstancja Markiewicz). Członkowie Zarządu: Krystyna Winnicka, Władysława Staryszak, Aleksander Gerlach, Władysław Olszowy, Ro-

mana Wawrzekiewicz, Ryszard Kulczycki (zginął tragicznie w 1995 r.), Halina Stanek (skarbnik).

Komisję rewizyjną tworzyli Stanisław Ochmański i Stanisław Nuckowski; do sądu koleżeńskiego wybrano: Izabelę Wiącek, Adama Borońskiego i Zbigniewa Matusza. W czasie trwania kadencji do składu Zarządu dołączono: Tadeusza Słomińskiego, Kazimierza Cymbrykiewicza i Antoniego Białkowskiego.

Głównym statutowym celem Towarzystwa jest dążność do zespolenia wszystkich osób, którym bliskie jest dziedzictwo historyczne królewskiego, stołecznego miasta Lwowa i Małopolski Wschodniej, a także dzieje współczesne, dla utrzymania wzajemnych więzi przyjaźni z Polakami nadal tam mieszkającymi i niesienia im pomocy.

Jednym z głównych zadań Towarzystwa jest pielęgnowanie dorobku historycznego Lwowa i Kresów Wschodnich jako integralnej części kultury i tradycji Pierwszej i Drugiej Rzeczypospolitej.

W ciągu 10 lat działalności Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW zadanie to starano się szczególnie uwypuklić. Służyły temu m.in. audycje w „Radiu Gorzów” przygotowywane przez członków Towarzystwa, początkowo samodzielnie, a następnie w „Magazynie Kresowym” prowadzonym przez Jana W. Kaczmarka – historyka, dziennikarza i prezesa Fundacji Kresowej „Polonia” w Gorzowie Wlkp. W audycjach tych przedstawiano Lwów na przestrzeni wielu wieków, jako polskie miasto, zamieszkałe także przez przybyszów z innych stron świata, m.in. Żydów, Rusinów, Ormian, Włochów, Węgrów, Niemców, Austriaków, Czechów, Wołochów, a nawet Anglików i Szkotów. Prezentowano jego historię, dorobek kulturalny i naukowy, wyższe uczelnie, instytucje i towarzystwa, literaturę, teatr, zabytki, piosenki, muzykę i folklor kresowy. Przedstawiano także historię niektórych miast kresowych, m.in. Tarnopola, Stanisławowa, Sambora, Drohobycza, Borysławia, Truskawca, Stryja, Trembowli i Kołomyi.

W celu prezentacji dorobku historycznego i kulturalnego Lwowa oraz Małopolski Wschodniej organizowano także spotkania z wybitnymi Polakami z kresowym rodowodem, m.in. Adamem Krechowiczem, wybitnym lekarzem, byłym rektorem Pomorskiej Akademii Medycznej ze Szczecina, prof. Władysławem Korczem, historykiem z Zielonej Góry, Jerzym Michotkiem, piosenkarzem, aktorem i reżyserem filmowym.

Temu celowi służyły także organizowane wspólnie z Gorzowskim Oddziałem Polskiego Stronnictwa Kresowego spotkania z prof. Edwardem Prusem, historykiem z dorobkiem naukowym dotyczącym przeszłości ziem kresowych i jednocześnie przewodniczącym Rady Politycznej PSK oraz mec. Janem Skalskim, prezesem Komitetu Krajowego Polskiego Stronnictwa Kresowego.

Pielęgnacja dorobku kultury i tradycji polskich ziem kresowych uwidoczniła się również w organizowanych corocznie od 1993 roku wojewódzkich spotkaniach wykonawców piosenki kresowej pod nazwą „Kresoviana”.

Dużej pomocy w organizacji tego piosenkarskiego festiwalu udzielały Towarzystwu Lwowskiemu:

Wojewódzki i Miejski Wydział Kultury, Sportu i Turystyki, Fundacja Kresowa „Polonia”, Wojewoda Gorzowski, Prezydent Miasta Gorzowa, dyrektorzy Wydziałów Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Miejskiego, prezes Fundacji Kresowej „Polonia”, Kurator Oświaty, Dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego i inni.

W zakresie popularyzacji ziem kresowych: Wileńszczyzny, Nowogródziny, Grodzieńszczyzny, Polesia, Wołynia i Podola z Pokuciem – Gorzowski Oddział TMLiKPW wspierała Fundacja Kresowa „Polonia” w organizacji „Konkursu Kresowego”, ogłoszonego na łamach „Expressu Zachodniego”. Zainteresowanie tym konkursem było duże. Wzięło w nim udział ponad 1200 czytelników z województw: gorzowskiego, zielonogórskiego i legnickiego.

Następnym ważnym zadaniem realizowanym w Gorzowskim Oddziale TMLiKPW jest szerzenie prawdy o dziejach Lwowa i Małopolski Wschodniej. Obok wcześniej wymienionej tematyki audycji radiowych, prezentowano w „Radiu Gorzów” także zagadnienia dotyczące walki o zachowanie polskości Lwowa w latach 1918-1920. Przedstawiano rolę Kresowian w dziedzinie tworzenia kultury narodowej, nauki, a także zgodne współżycie ludzi różnych nacji i odmiennych wyznań religijnych. Podkreślano dużą rangę Lwowa jako centrum polskiego życia narodowego i politycznego w okresie zaborów.

Szerzenie prawdy historycznej o dziejach Lwowa i całych Kresów Wschodnich od Wileńszczyzny na północy, po Podole i Pokucie na południu, to także przedstawianie, przemilczanej do niedawna ze względów politycznych, eksterminacji Polaków w okresie ostatniej wojny, dokonywanej przez okupantów sowieckich, niemieckich i nacjonalistów ukraińskich.

To władze radzieckie w czasie pierwszej (1939-1941) i drugiej (1944-1945) okupacji dokonywały masowych deportacji polskiej ludności cywilnej na Sybir, do Kazachstanu i za Krąg Polarny, zmuszając ich do katorżniczej pracy w obozach i łagrach.

To z ziem kresowych wywożono żołnierzy polskich do licznych obozów jenieckich. Dużą część oficerów wymordowano w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Łączna liczba deportowanych przekroczyła 2 mln osób.

W okresie okupacji niemieckiej (1941-1944) dokonano masowych mordów ludności polskiej i żydowskiej. To w tym czasie zgładzono wielu wybitnych uczonych i intelektualistów (lipiec 1941).

Z obu okupantami współpracowali nacjonałści ukraińscy, którzy wymordowali na tych ziemiach pół miliona Polaków, głównie bezbronnych starców, kobiety i dzieci. Ich zbrodnie zostały potępione przez opinię cywilizowanego świata, a także przez pierwszego prezydenta niepodległej Ukrainy, Leonida Krawczuka.

Członkowie TMLiKPW zamieszczali również w lokalnej prasie swoje artykuły dotyczące problematyki kresowej.

Szczególnie ważną rolę w środowiskach kresowych – i nie tylko – odgrywa pismo Fundacji Kresowej „Polonia” – „Goniec Polonijny”, które dociera do

wielu ośrodków i skupisk polonijnych na Wschodzie i Zachodzie. Publikowane są tu artykuły, które upowszechniają różnorodną problematykę. Autorami niektórych publikacji są także członkowie TMLiKPW.

Szerzenie prawdy historycznej o dziejach Lwowa i Małopolski Wschodniej to także corocznie organizowane uroczyste akademie związane ze „Świętem Niepodległości” i rocznicami walk o zachowanie polskości Lwowa w 1918 roku. Z okazji 75 rocznicy tych walk odsłonięto w Gorzowie Wlkp. pomnik-obelisk z pamiątkową tablicą, upamiętniającą heroiczną walkę najmłodszych obrońców Lwowa. Należy podkreślić, że w pracach nad postawieniem pomnika Orłatom Lwowskim w Gorzowie Wlkp. przy ul. Orłat Lwowskich, Gorzowski Oddział TMLiKPW zyskał poparcie władz administracyjnych miasta i województwa, a także Wojska Polskiego, władz oświatowych, radia, telewizji „VIGOR”, szkół, Instytutu Wychowania Fizycznego, zakładów pracy oraz innych towarzystw, m.in. Związków Sybiraków, Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz Fundacji Kresowej „Polonia”.

Wiele uwagi Gorzowski Oddział TMLiKPW poświęca utrzymaniu bliskiej więzi ze Lwowem i Kresami Południowo-Wschodnimi i ich mieszkańcami. Zadanie to realizowano poprzez organizację wycieczek na Kresy i kolonii letnich dla polskich dzieci ze Lwowa, Stanisławowa i Kołomyi (1993-1995).

W pierwszych kilku latach istnienia Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW prowadzono zbórkę artykułów żywnościowych, odzieży, pieniędzy, książek i podręczników, które przekazywano Polakom we Lwowie, Stanisławowie i Kołomyi. W akcjach tych Towarzystwo było wspierane przez lokalną prasę, „Radio Gorzów” i Telewizję „Vigor”.

Na uwagę zasługuje również utrzymywanie kontaktów z Towarzystwem Kultury Polskiej we Lwowie i innymi oddziałami TMLiKPW w Polsce.

Corocznie, na początku lipca, wyjeżdżają Gorzowianie na zjazdy Kresowian do Częstochowy. Swoją podróż pod Jasną Górą akcentują występami artystycznymi – duże uznanie zdobył tam zespół wokalny z gorzowskiego MDK pod kierownictwem Zbigniewa Bociana oraz duet wokalny Kazimierz Cymbrykiewicz i Mieczysław Świątek. Również w Gorzowie gościły zespoły artystyczne z Wrocławia i Bytomia (słynna „Pacalycha”).

Gorzowscy Kresowianie za swój sukces uważają utworzenie chóru „Ta joj, ta Lwów”. Cotygodniowe próby prowadzone są w Klubie „Pogodna Jesień” pod kierunkiem prof. Zygmunta Jankowskiego. Chór ten występuje z programem artystycznym na wszystkich imprezach rocznicowych Towarzystwa. Zapraszany jest również na występy do innych miejscowości województwa gorzowskiego.

Z innych imprez i spotkań na uwagę zasługują: noworoczny opłatek, spotkania w noc świętojańską przy ognisku w Rogach, „mikołaj” dla lwowskich wnuków, bale karnawałowe w Rogach, wycieczki do Wrocławia na zwiedzanie Panoramy Racławickiej i na występy teatru „Kalambur”.

Ponadto Gorzowski Oddział TMLiKPW wiele uwagi poświęca na rozprawienie wydawnictw i prasy kresowej.

12 października 1997 roku odbyło się trzecie walne zgromadzenie. Podsumowano na tym zjeździe okres działalności Towarzystwa za lata 1993-1997. Wybrano również Zarząd na nową czteroletnią kadencję. W skład Zarządu weszli:

prezes – Jerzy Dorota,
wiceprezesa – Kazimierz Dąbrowski
i Piotr Franków,
sekreterz – Konstancja Markiewicz,
skarbnik – Halina Stanek,
członkowie – Antoni Białkowski,
Kazimierz Cymbrykiewicz,
Aleksander Gerlach, Władysław Olszowy, Tadeusz Słomiński,
Władysław Staryszak, Krystyna Winnicka,
Komisja Rewizyjna:
przewodniczący – Stanisław Ochmański,
członkowie – Stanisław Nuckowski
i Jadwiga Walocha,
Sąd Koleżeński:
przewodnicząca – Izabela Wiącek,
członkowie – Adam Boroński
i Mieczysław Świątek.

W dotychczasowej działalności Gorzowski Oddział Towarzystwa pozyskał liczne grono sympatyków. Swojego wsparcia udzielają mu władze administracyjne i samorządowe miasta z Prezydentem i Przewodniczącym Rady Miejskiej oraz województwa z Wojewodą Gorzowskim. Przy organizacji imprez artystycznych wsparcia finansowego udzielają Wydziały Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Miejskiego. Ponadto znacznej pomocy w organizacji różnych imprez o charakterze patriotycznym i kulturalnym udzielają Towarzystwu: Fundacja Kresowa „Polonia”, Wojewódzki Ośrodek Metodyczny, Wojewódzki Dom Kultury, Miejskie Centrum Kultury „Chemic”, Instytut Wychowania Fizycznego oraz inne towarzystwa i organizacje.

25 kwietnia 1999 r. Gorzowski Oddział TMLiKPW obchodził 10-lecie swego istnienia. Na uroczystym spotkaniu podkreślono dorobek Towarzystwa; podziękowano władzom samorządowym i administracyjnym, instytucjom, organizacjom i towarzystwom, przedstawicielom lokalnej prasy, radia i telewizji oraz licznych sympatykom za wspieranie naszych działań w zakresie pielęgnacji dorobku historycznego, szerzenia prawdy o dziejach Lwowa i Małopolski Wschodniej oraz udzielania pomocy charytatywnej Polakom i organizacjom polskim na Kresach Wschodnich. Działacze Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW Zarząd Główny we Wrocławiu wyróżnił złotymi odznakami i dyplomami honorowymi. Złote odznaki TMLiKPW otrzymali: Kazimierz Dąbrowski, Piotr Franków, Aleksander Gerlach, Stanisław Ochmański, Władysław Olszowy, Władysława Staryszak i Krystyna Winnicka. Dyplomami uznania wyróżniono: Antoniego Białkowskiego, Kazimierza Cymbrykiewicza, Jerzego Dorotę, Pawła Dumanowskiego, Zygmunta Jankowskiego, Konstancję Markiewicz i Mieczysława Świątkę. Z programem artystycznym wystąpiły zespoły: chór „Biały Orzeł” z Sulęcina, zespół wokalny „Apassionata” z Małyszynskiego Domu Kultury i chór „T joj, ta Lwów”.

Uroczystość zakończono złożeniem kwiatów pod pomnikiem Orłąt Lwowskich.

Od dwóch lat Gorzowski Oddział TMLiKPW prowadzi kwestę na rzecz odbudowy polskiego cmentarza Obrońców Lwowa. Pieniądze są porzekazywane na konto Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu, a stamtąd do Lwowa.

W latach następnych Gorzowski Oddział TMLiKPW będzie starał się rozwijać działalność

statutową Towarzystwa, podkreślając wielowiekową więź Kresów Wschodnich z Macierzą.

Od Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa i Redakcja „SF” stara się drukować wszystkie materiały jakie otrzymuje i uwagi autora są mało eleganckie. Tym bardziej, że pierwszy raz przesłano sprawozdanie do Wrocławia z Gorzowa, pomijając milczeniem, że prezes Z.G. TMLiKPW osobiście uczestniczył w Festiwalu Gorzowskim. (A. K.)

KRESOWE WYJAZDY

Maria Molicka

Podróż do naszej Świętej Ziemi

Pytają, po co tam jedziemy? Co powoduje, że przemierzamy kilometry w trudach i niewygodzie, żeby znaleźć się w miejscach przecież niewiele różniących się od tych, w których mieszkamy obecnie.

Dla nas jednak tamte tereny są jedyne i niepowtarzalne, pożądane bo odjęte, inne, bo tam jest kraina młodości, dzieciństwa, miejsce, gdzie gromadzą się cienie tych, co dawno odeszli i spoczęli w tamtej ziemi. Tylko tam udaje się bez wysiłku przywołać ich we wspomnieniach. W wybielonym wnętrzu kościoła, nie muszę zamykać oczu, by wyobrazić sobie ślub rodziców. Ojciec w wojskowym mundurze, mama cała w bieli, otulona zawojem z wiązanką białych róż. Dwie babcie, już wdowy, stryj, ciotki i znajomi, prawie mogą ich wymienić po nazwisku. Wszyscy nie żyją już dawno, a jednak tu są obecni.

Wystarczy przejść parę kroków od kościoła, a już z dawnego ogrodu szeroka perspektywa na dolinę Prutu, a w dali pasmo Karpat. I choć jako jedyna pamiątka pozostał fragment przyulicznej pompy, to przecież na niej właśnie spoczywały codziennie ręce babci, dziadka, ojca, jego siostr i brata. Jedziemy jak co roku od ośmiu lat. Jedni ósmy raz, inni czwarty, trzeci lub pierwszy, bo są i tacy, którzy dopiero w tym roku odważyli się zburzyć swój spokój postanawiając zmierzyć realność ze wspomnieniem.

Początkowo rzeczywistość wydaje się nieprzystająca do wspomnień, jest zaprzeczeniem, czymś zaskakującym i przykrym, ale stopniowo spod tej skorupy współczesności wydobywa się to najcenniejsze „kraj lat dzieciennych, co wiecznie zostanie święty i czysty jak pierwsze kochanie”.

W tym roku grupa jadących po raz pierwszy była stosunkowo duża i dla nas, którzy jeździmy już wielokrotnie, ich radości, rozzarowania i wzruszenia są dodatkowymi przeżyciami. W dniach od 6. 06 do 15. 06. pojechało do Śniatynia 40 osób z całej Polski, a także z Anglii i Kanady. Rozpiętość wieku od 30 do 80 lat, średnia około 60. Autobusowa społeczność dzieli się na grupy i warstwy. Najstarszych łączy dawne sąsiedztwo, często wspólna ulica czy zakątek miasta, nieco młodszych, wspólna szkoła, klasa, a nawet ławka. Są tacy, których łączy więzy pokrewieństwa, starsi wiozą młodych, urodzonych daleko, w kraju lub za granicą, ale wszystkich, bez względu na status społeczny czy majątkowy prowadzi uczucie do tego kraju, miej-

sca, do gniazda, które bez różnicy czy było chatą, domem jednorodzinnym czy dworem pozostało w pamięci jako miejsce niepowtarzalne, początek wszystkiego.

Tym razem jechaliśmy bez księdza. Zabrakło na zawsze naszego duszpasterza, ks. Tadeusza Wojciechowskiego, choć jestem pewna, że jego duch towarzyszył nam i strzegł od zła. Pewno za jego przyczyną wjeżdżając na Ukrainę nie staliśmy na granicy. Mimo że tym razem nie wyszedł w sutannie do straży granicznej i celników odprawiono nas jak dawniej, bez czekania.

Ukraina witała nas bujną zielenią, wciąż jeszcze świeżą mimo panujących upałów. Do Śniatynia spóźniлись się całe dwie godziny, ale pod kościołem oczekiwali jak zwykle bliscy i znajomi.

Hotel „Pрут” niezmiennie w remoncie, z trudem pomieścił naszą grupę, chociaż kilkanaście osób nocowało u krewnych. Zgodnie z obietnicą kierowniczką hotelu pokoje były odmalowane, ale w natryskach baterie butelek z wodą świadczyły, że wciąż brakuje jej w kranie. Ks. Jan Radoń, proboszcz kościoła w Śniatynie, Zabło-



Katedra rzymskokatolicka w Kamieńcu Podolskim.
10.06.2000 r.



„Śpijcie orłęta bojowe...”. Lwów 14.06.2000 r.

towie, Gwoźdźcu i Horodence zainaugurował nasz pobyt mszą św. za duszę śp. ks. Tadeusza Wojciechowskiego, wielkiego dobroczyńcy tutejszego kościoła i diecezji lwowskiej.

U stóp ołtarza i obrazu Pani Śniatyńskiej, Królowej Pokucia, z wielkim wzruszeniem, zarówno my, jak i parafianie ze Śniatynia, prosiliśmy o spójność Jego duszy. Połączyła nas modlitwa, a po mszy w rozmowach wracaliśmy do tego wielkiego człowieka, tak skromnego i dobrego, pełnego poświęcenia, niezłomnego czciciela M.B. Szkaplerznej. Nasz pobyt w Śniatynie trwał 6 dni, urozmaicony wycieczkami do Kamieńca Podolskiego i Chocimia oraz w Karpaty. Część uczestników pielgrzymki odwiedzała też Zabłotów, Kołomyję i Horodenkę.

Pierwszy dzień Zielonych Świąt spędziliśmy w większości u znajomych i krewnych w miasteczku. Towarzyszyła nam kresowa gościnność nieporównywalna z żadną inną. Mimo ciężkich warunków, mimo braków i niedostatku, goszczono nas i dzielono się tym, czego im nie zbywa, z wielkim sercem. Poznaliśmy nowe lub zapomniane potrawy, naczynkę z kaszy kukurydzianej, czeburaki, pastę fasolowo-czosnkową, barszcz z białych pastewnych buraków, a także znane, gołąbki, podawane tu ze śmietaną, studzieninę, różne pierożki z owocami, serem, ruskie, świetne ciasta z orzechami, smażoną różą, makiem, serem. Wieczorami w hotelu dzieliliśmy się wiadomościami, wrażeniami, a także wiktuałami, którymi zostaliśmy obdarowani do domu.

To co przywieźliśmy z Polski przyjmowano z wdzięcznością, wiedząc, że i my dajemy z serca. Oprócz odwiedzin u żywych pamiętaliśmy i o naszych bliskich na cmentarzu. Groby trwają tu, są rozbieżne dopiero, kiedy ulegną zniszczeniu. Czasem tylko zmieniają właściciela lub przyjmują nowych lokatorów. My szukamy tutaj pamięci i świadków obecności naszej lub naszych przodków. Często świadków materialnych progów świątyni, domów, budynków, drzew, brzegów rzeki, dróg. Czasem świadkiem są kamienne pozostałości podmurówki ogrodzenia, która kiedyś wyznaczała granice ogrodu, dziś jest krawężnikiem chodnika, czasem cios kamienny, który był progiem, czasem rosnące w polu drzewa owocowe, które kiedyś były sadem wokół domu.

O pamięć proszą nas też tutejsi ludzie. Nasza podopieczna 92-letnia pani Wiktoria mówi „nie zapominajcie o nas, pamiętajcie”. Kiedy wychodzimy pyta „Czy Polska kiedyś do mnie przyjdzie?” My, milcząc, unika-



Wieczór pożegnalny! 13 czerwca 2000 r. w hotelu Prut w Śniatynie

my jej wzrokiem, bo jak tej staruszce powiedzieć, że nie ma już drogi Polski do niej, ani jej do Polski.

Ci z nas, którzy przyjeżdżają tu od kilku lat, zauważają nieznaczne, ale jednak zmiany na lepsze. Ludzie miejscowi, którzy muszą żyć za 9 – 15 dolarów emerytury miesięcznie tego nie widzą. Ogarnia ich apatia i strach o przyszłość. Staramy się im pomóc, ale nasza pomoc nie jest nawet kroplą w morzu potrzeb. Są chwile, kiedy nastroje nasze się zmieniają. Pod Chocimiem przeżywamy chwałę polskiego rycerstwa. W Kamieńcu Podolskim, mieście różnych nacji, z których każda miała swój rynek, polski, ruski i ormiański, wspominamy małego rycerza, Jerzego Michała Wołodyjowskiego. I choć nie wszyscy wierzą w jego istnienie, to jednak w katedrze w kaplicy Matki Bożej Pocieszenia, odmawiamy po cichu zdrowaśkę za jego wieczny spokój. Ostatniego wieczoru urządzamy pożegnanie w hotelu. Są kanapki i ciasta przywiezione na tę okazję z Polski, jest nawet szampan od miejscowego sponsora. Śpiewamy o zielonej Ukrainie, o orłach i sokołach, o szumie Prutu, o kozaku, który ginie pod jaworem, młode panie z rodziny dawnych właścicieli ziemskich śpiewają piękną pieśń o atamanie i śpiącej Ukrainie. Niepomne na historię wzywają atamana, żeby się zbudził. Najpiękniejsza jest jednak piosenka, która mówi, że wbrew kłamstwu, na przekór nienawiści i złu, sadźmy róże, niech wzrastają jak dobro, piękno i prawda.

Rano wyjazd do Lwowa, jeszcze o szóstej msza św. i pożegnanie ze śniatyniakami, którzy mimo wczesnej pory przyszli licznie nas pożegnać. Przekazywanie listów do rodzin w Polsce, przesyłek, kwiaty i ciasta na drogę i ruszamy do Lwowa. Tym razem w programie dwa cmentarze: Janowski i Łyczakowski. Na cmentarzu Janowskim składamy kwiaty na grobie ks. Płoszańskiego, który był ukochanym katechetą szkolnym, niezapomnianym uczestnikiem zabaw w czarnego luda i gier w piłkę. Potem Łyczaków, groby wielkich Polaków, a wreszcie polskie Termopile – cmentarz Orłąt.

W roku milenijnym każdy powinien odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej, Rzymu lub przynajmniej do katedralnego kościoła.

My wybraliśmy naszą świętą ziemię, tę, na której urodzili się nasi przodkowie i zostali ochrzczeni w katolickim kościele. Tu był początek naszej wiary, poznanie jej prawd i przykazań, ta ziemia jest dla nas święta i dlatego tutaj odbyliśmy w 2000 r. naszą milenijną pielgrzymkę. □

Mieczysław Kowal

Wspomnienia i refleksje po pielgrzymce na Kresy Wschodnie

Ksiądz Piotr Smolka jest proboszczem parafii rzymskokatolickiej w Przemyślanach na Ukrainie. Od wielu lat jest zaprzyjaźniony z członkami Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich w Rzeszowie. Nic też dziwnego, że zaprosił nas na uroczyste obchodzone odpusty Św. Piotra i Pawła, w swojej parafii. Na pielgrzymkę-wycieczkę pojechaliśmy 26 czerwca br. w niedzielę, w towarzystwie wielu osób z innych terenów Polski. Z rzeszowskiego dworca PKS wyruszyły dwa autokary pielgrzymów. Po szybkim przejechaniu granicy, dzięki pomocy pracowników PKS, obraliśmy kierunek na Lwów i cmentarz Orłąt Lwowskich, tam złożyliśmy kwiaty, odmówiliśmy modlitwy za zmarłych i udaliśmy się w dalszą podróż do Przemyślan.

Przemyślan to mała miejscowość na trasie Lwów-Podhajce w odległości 50-ciu km od Lwowa. Przed wojną zamieszkiwało tu około 5300 mieszkańców, z czego 1610 to byli Polacy, 2950 Żydzi i 840 Rusini. Od zachodu zalesione wzgórza Gołobór ze szczytami Zamczysko 458 m i Mohyla 437 m, miejsca pięknych spacerów mieszkańców i turystów, w miasteczku dworzec kolejowy i kościół parafialny poddominikański, fundacji Elżbiety Potockiej z 1645 roku. Co z niego pozostało? Niewiele! Ale to co zostało pozwala księdzu Piotrowi dokonywać heroicznego wysiłku by tej świątyni przywrócić dawny blask.

Kościół, przed wojną z piękną wysoką wieżą, dziś zburzoną do połowy by nie górowała nad miastem. Wnętrze skromne i schludne, ściany białe bez ozdób. Balkon – bez balustrady, strach by ktoś nieostrożnie, przez przypadek nie spadł na kamienną posadzkę. W Polsce po prostu stan niemożliwy – tu normalny. Na organach gra kobieta, ta sama, która tutaj dzieci uczy pięknie śpiewać polskie pieśni religijne, patriotyczne i ludowe.

Po serdecznym powitaniu chlebem i solą poszliśmy na Mszę Świętą koncelebrowaną przez Arcybiskupa

diecezji lwowskiej ks. Mariana Jaworskiego, który to obchodzi właśnie 50-cio lecie swojego kapłaństwa. Oprócz księdza arcybiskupa Mszę odprawiało 10-ciu księży, między innymi ks. grekokatolicki, ks. prawosławny, tutejszy ks. dziekan, ks. Jan i inni nieznanymi mi z nazwiska, ale na pewno zaprzyjaźnieni z ks. Piotrem. Poszczególne części Mszy Św. czytane były przez księży, w języku polskim i ukraińskim oraz młodzież, piękną i płynną polszczyzną.

Homilię wygłosił ks. arcybiskup, pełną wiary, miłości i serca w wielkim duchu pojednania narodów. Ofiarowanie – w tej części mszy goście złożyli podarunki dla tutejszej parafii. Okazało się, że nasz kielich mszalny znalazł się w gronie innych dwóch, które przywieźli goście. Na zakończenie mszy procesja wokół kościoła. Wszystko odbyło się bardzo uroczystie.

Po Mszy Św. ks. Piotr zaprosił nas na krótki występ artystyczny. To 30-sto osobowa grupa młodzieży przygotowała i wykonała polskie wiersze i pieśni. Podkreślić należy, że młodzież ta pięknie i bezbłędnie posługuje się językiem polskim w kościele, choć niejednokrotnie w domu mówi językiem ukraińskim. Później kwiaty, obrazki, upominki, mały poczęstunek, któremu towarzyszyła również polska pieśń wykonywana również przez młodzież i dzieci.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że w uroczystościach tych brała udział również miejscowa ludność ukraińska, tak samo jak przed wojną gdy Polacy i Ukraińcy żyli razem, zgodnie na tych ziemiach.

To ksiądz Piotr Smolka, niski mężczyzna w bardzo skromnej i wytartej sutannie stara się zjednoczyć katolików tych ziem i odbudować świątynię. Jego heroiczny wysiłek, zaangażowanie, polska gościnność zjednały mu wielu sympatyków i przyjaciół wspierających go w tej pracy duszpasterskiej na rzecz dobra obu narodów.

Szczęść mu Boże! □

Janina Hrycekowa

Okruchy wspomnień z Przemyślan

Dziś Boże Ciało – ostatnie w tym wieku – siedzę zadumana w fotelu i krążę po ścieżkach pamięci, po których płyną odległe wspomnienia sprzed 80 lat dotyczące moich rodzinnych, kresowych stron i przypominam sobie przygotowania związane ze Świętem Bożego Ciała w Przemyślanach.

Ileż łączy mnie z tym dniem! Od kiedy pamiętam, to zawsze dzień ten był u nas wyjątkowy. W przeddzień tego święta zawsze zajeżdżał do nas furmanką sąsiad – Antoni Mądrzak i zabierał mojego Ojca, po czym jechali do przysiółka Dąbrowa, gdzie Ojciec miał kawałek brzoźowego lasu. Po drodze wstępował jeszcze po pana Szymusika (którego syn – Henryk, jest księdzem w Krakowie) i jechali razem, aby wspólnie wybrać i wyciąć kilka najpiękniejszych brzoźek. Przywozili je na

nasze podwórko, gdyż miały one w tym dniu następnym zdobyć wspinały ołtarz na naszej domowej, dużej bramie. Ponadto Ojciec robił z nich alejkę prowadzącą do ołtarza (po cztery brzożki z każdej strony). Rano, w dniu święta pobudka o czwartej! Wszyscy domownicy i sąsiedzi wynosili, a następnie pomagali układać stoły, obrazy święte, niezbędny sprzęt liturgiczny, obrusy, kilimy gliniańskie, które dostawaliśmy na tę okoliczność od siostry Ojca z Glinian, będącej współudziałowcem Kilima Polskiego w Glinianach – Katarzyny Krausowej oraz dywany na ziemi (po których przechodził ksiądz z monstrancją).

Po odprawionym nabożeństwie, zgodnie ze starym zwyczajem, wierni podchodzili do ołtarza i zrywali z poświęconych brzożek małe gałązki czy liście. Ojciec zaś

wszystkiego pilnował, aby broń Boże ktoś tych poświęconych brzożek nie podeptał. Resztki pozostałe z nich mogły być wyłącznie spalone, czego dopilnowywała obojcie i z największą pieczołowitością nasza Matka.

Któregoś dnia, jako kilkuletnia dziewczynka zapytałam Ojca – Dlaczego my jesteśmy tak wyróżnieni i u nas stawiany jest ołtarz? Ojciec odpowiedział mi na to – „moje dziecko, dawniej proboszczem u nas był ksiądz Zygmunt Bilski, powstaniec styczniowy, który

swego czasu poprosił mnie do siebie i powiedział – słuchaj Józiu – jesteś przykładnym katolikiem i obywatelem naszego miasta. Mieszkasz naprzeciw kościoła i dlatego ciebie wybieram, aby czwarty ołtarz był przy twoim domu, kiedy procesja wracać będzie już do kościoła (kościół św. Piotra i Pawła pochodził z 1665 roku i ufundowany został przez Elżbietę Potocką). Ołtarz ten był przez nas wszystkich corocznie wystawiany na Boże Ciało aż do tragicznego 1939 r. □

Danuta Tabińska-Juhasz

Z pomocą wielkanocną na ziemi lwowskiej i stanisławowskiej

Na apel Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” we Wrocławiu odpowiedziało ofiarne społeczeństwo naszego miasta, Dolnego Śląska oraz środowiska kresowe całego kraju.

Wpłynęło ogółem 12 500 zł z wpłat indywidualnych. Niestety przedsiębiorstwa i banki nie zainteresowały się naszą akcją chociaż były do nich kierowane osobne apele.

Z pomocą wyjechała (pociągami relacji Wrocław-Kijów) czteroosobowa grupa członków Fundacji na okres od 13 IV do 18 IV br. Po północy wysiedliśmy na dworcu lwowskim, który od samego początku był powodem dumy tego miasta. Oczekiwał na nas samochodem p. Dąbrowski rozwożąc do polskich rodzin na nocleg. Rano w Konsulacie Polskim przyjął nas konsul p. Dę-

boszcz z Tarnopola dla swych najbiedniejszych parafian.

Po podziale naszego 4-osobowego zespołu na 2 grupy każda dysponowała połową przywiezionych pieniędzy.

Pierwsza grupa wyruszyła samochodem w objazd po polskich wsiach. Odwiedziła Strzelczyska, Twierdę Lipniki i miasteczko Mościska. Według informacji miejscowych księży, polskie rodziny wielodzietne, starzy chorzy otrzymali pomoc od 30-50 hrywien, kwitując ich odbiór podpisem na specjalnie przygotowanych listach (wszystkie listy są do wglądu w biurze Fundacji). Spotkaliśmy się tam z wielką biedą, a wdzięczność rodaków była ogromna i częste łzy wzruszenia za pamięć o nich. Dużo jest wielodzietnych rodzin, mających nawet



Fot. T. Bodniak

W konsulacie polskim we Lwowie od lewej: Konsul Dębicki, D. Nespiak, D. Tabińska, J. Tandecki

bicki sugerując wyjazd z pomocą do pobliskich polskich wsi, gdyż tam Polacy cierpią największą biedę i rzadko pomoc z Polski do nich dociera. Przyjęli nas również serdecznie Polacy z TKPZL w swojej siedzibie w Rynku, gdzie rozmowa toczyła się wokół trudnych życiowych i organizacyjnych spraw lwowskich Polaków.

Pomoc świąteczną otrzymali: najubożsi członkowie TKPZL, członkowie Uniwersytetu Trzeciego Wieku, lekarze zorganizowani w „Towarzystwie Lekarzy Polskich we Lwowie”. Sprawują oni stałą opiekę nad obłożnie, nieuleczalnie chorymi, tworząc jakby chodzące hospicjum.

Była to grupa Polaków we Lwowie potrzebująca najbardziej tej pomocy. Pomoc otrzymał również ks. pro-



Fot. J. Tandecki

Rodzina z jedenaściorcem dzieci w Mościskach

jedenaścioro dzieci. Pomagają sobie w ten sposób, że ojciec często pracuje na budowach w Polsce.

Druga grupa (pod kierownictwem autorki niniejszego artykułu) wyruszyła do Stanisławowa. Tam kościół Chrystusa Króla „na Górze” zaskoczył nas bielą ścian i nowym pięknym ogrodzeniem. Był właśnie wypelniony po brzegi wiernymi, w większości młodzieżą, gdyż odbywały się rekolekcje prowadzone przez ks. biskupa Stanisława Padewskiego ze Lwowa.

Gościliśmy w Domu Parafialnym, w którym oprócz 30 miejsc noclegowych na poddaszu, znajdują się gabinety: stomatologiczny, lekarski z apteką oraz duża polska biblioteka, nowoczesnie urządzona i skomputeryzowana. Są też sale lekcyjne, gdzie odbywa się nauka

j. polskiego. Aktualnie korzysta z nich około 150 osób.

Parafia jest duża, ks. proboszcz Kazimierz Halimurka ma kartotekę obejmującą 440 rodzin polskich i mieszkających. Z pomieszczeń Domu Parafialnego korzysta również liczne organizacje polskie i stowarzyszenia: im. Karpińskiego, Przyjaźni, im. Mickiewicza.

Na drugi dzień ks. K. Halimurka i ks. biskup zabrali nas autem do Tłumacza, Pałahicz i Oknian. Okazało się, że dążeniem ks. bp. St. Padewskiego jest wybudowanie w każdym powiatowym miasteczku kościoła rzym.-kat. Właśnie w Tłumaczu chcieliby wybudować chociaż małą kaplicę, gdyż dawny kościół pw. Św. Anny został zburzony w latach siedemdziesiątych za władzy radzieckiej. Dzisiaj wystarczy 15 podpisów, żeby uzyskać formalne zezwolenie na budowę świątyni.

W Tłumaczu kilku starszkom wręczyliśmy po 30 hr. i byliśmy świadkami pertraktacji ks. K. Halimurki z



Józefa Moczulską przed swoją walącą się chatką w Tłumaczu

Polką Józefą Moczulską mieszkającą w walącej się chatynce przy ul. Zielonej 2. Ksiądz obiecywał jej mieszkanie w Stanisławowie i dożywotnią rentę w zamian za podarowanie placu na budowę kaplicy w Tłumaczu. Staruszka pomimo okropnych warunków bytowych i osamotnienia jeszcze się wahała.

Następnie pojechaliśmy do wsi Okniana oddalonej około kilkanaście kilometrów od Tłumacza. W środku wsi, na wzniesieniu stoi tam opuszczony drewniany kościółek pw. św. Bartłomieja, który w drugiej połowie XIX w. został przewieziony z Tłumacza i tutaj zrekonstruowany. W Tłumaczu bowiem stawiano wtedy murowany kościół z rozbiórkowej cegły po likwidowanej cukrowni, założonej w początkach XIX w. przez Dzieduszyckich. Niestety ten zabytkowy, cenny obiekt nie nadaje się do odbudowy, gdyż niekonserwowane drewno jest spruchniałe i zjedzone przez korniki. Wewnątrz kościoła zachował się gotycki ołtarz, 6 drewnianych jednolitych filarów imitujących nawy i chóry. Dach z blachy wydaje się być zupełnie dobry z dwoma wieżyczkami, na których żelazne krzyże na tle błękitu świadczą o sile przetrwania. Szkoda! Według wspomnień źródłowych budowa tego kościoła w Tłumaczu miała miejsce jeszcze w 1612 r. (*Książka Tadeusza Spissa pt. „Wykaz drewnianych kościołów i cerkwi w Galicji”, Lwów 1912 r.*) Pełni nostalgii wróciliśmy do Stanisławowa. Proboszcz parafii ks. K. Halimurka tradycyjnie urządza święcone (jak też wigilie) dla



Kościół drewniany w Oknianach przeniesiony w ubiegłym wieku z Tłumacza. Stoją D. Tabińska i ks. Halimurka

swoich najstarszych biednych i samotnych parafian zorganizowanych w kółkach różańcowych. Przywiezione pieniądze z Wrocławia zostały więc przeznaczone na paczki żywnościowe, które miały być wręczone przy święconym. Jak dowiedzieliśmy się z przysłanego sprawozdania paczki otrzymało 90 osób, również rozwieziono je po domach ludziom chorym, starym, już nie opuszczającym swoich mieszkań.

Do Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” przysłały liczne listy z podziękowaniami za okazaną pomoc świąteczną. Na miejscu przekonaliśmy się jak wielkie są tam potrzeby np. brakuje wyposażenia polskich klas w meble i pomoce szkolne. Dlatego Fundacja postanowiła zbierać fundusze przez cały rok nie tylko na święta. Rodacy potrzebują tam stałej pomocy i pamięci o Nich.

Wszystkim dotychczasowym ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania i w dalszym ciągu zapraszamy do wsparcia naszych poczyniń na rzecz Rodaków ze wschodnią granicą. Bóg zapłać Wam za serca dla nich.

Kasa Fundacji czynna od 10-15-tej codziennie oprócz świąt i sobót w siedzibie Fundacji przy ul. Ruskiej 32/33 I p. Konto bankowe PKO-BP IV O/ Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111

Lista ofiarodawców na pomoc wielkanocną dla Rodaków ze Lwowa i Stanisławowa

1. Józef Gałązka, Wrocław	20,-	66. Jan Stojanowski, Lubin	50,-
2. Irena Struchly-Solarewicz, Wrocław	50,-	67. Bronisław Ostowski, Wrocław	40,-
3. Bazyli Stoniowski, Wrocław	100,-	68. Bożena Sobolewska, Białystok	50,-
4. Emil Wojtowska, Wrocław	20,-	69. Teresa Gólda, Trzebnica	100,-
5. Zdzisław Dradowski, Wrocław	84,20	70. Zdzisław Szell, Szprotawa	164,-
6. Rudolf Szydełko, Wrocław	100,-	71. Maria Mokrzycka, Gliwice	100,-
7. Edward Lajner, Wrocław	30,-	72. Bogusław Bałasiński, Wrocław	70,-
8. Kazimiera Trypka, Wrocław	25,-	73. Maria i Jan Gesingowie, Wrocław	100,-
9. Władysław Brzózka, Wrocław	25,-	74. Stefania Repełowicz, Warszawa	30,-
10. Józef Tarka, Wrocław	50,-	75. Agata Pyłasz, Szczecin	100,-
11. Władysław Sozański, Wrocław	50,-	76. Helena Padwińska, Lubsko	30,-
12. Adam Kępa, Trzebnica	150,-	77. Katarzyna Kuśniar, Jawor	50,-
13. Władysław Kuras, Wrocław	100,-	78. Adam Zając, Rzeszów	50,-
14. Janina Gładka, Wrocław	100,-	79. Ireneusz Chojnacki, Łódź	30,-
15. Andrzej Pawłowski, Olawa	15 \$ (63,-)	80. Helena Leonhard-Migacz, Wrocław	50,-
16. Krystyna Drozdowska, Wrocław	10 \$ (41,-)	81. Staturin Wasielewski, Gostyń	100,-
17. Listwan, Wrocław	20,-	82. Kazimiera Sobocka, Wrocław	100,-
18. Irena Kozioł, Wrocław	150,-	83. Anna Świątkowska, Wrocław	50,-
19. Witold Gaca, Wrocław	100,-	84. Adam Moor, Kielce	50,-
20. Barbara Kuchat, Wrocław	30,-	85. Teresa Mandat, Wrocław	20,-
21. Józef Szewczyk, Olawa	25,-	86. Jerzy Pomersbach, Wrocław	100,-
22. Stanisław Marczak, Wrocław	50,-	87. Joanna Kończakowska-Radek, Wrocław	100,-
23. NN, Wrocław	42,-	88. Helena Wiewiórska, Wrocław	35,-
24. Kazimierz Szlachcic, Wrocław	50,-	89. Zofia Skibińska, Wrocław	100,-
25. Edward Zyguł, Wrocław	100,-	90. Kazimierz Kapuściński, Londyn	65,-
26. Mariusz Grela, Wrocław	100,-	91. Jerzy Stokiosa, Ostrowiec Świętokrzyski	40,-
27. Janina Domaszewska, Wrocław	100,-	92. Adam Szarzyński, Św. Katarzyna	100,-
28. Aniela i Wanda Stojanowskie, Wrocław	200,-	93. Dorota Lorenc, Milicz	150,-
29. Irena Stepanowa, Zabkowice	300,-	94. Jadwiga Gołębiowska, Bielsko Biala	50,-
30. Jan Paczeński, Wrocław	200,-	95. Elżbieta Świątkowska, Wrocław	100,-
31. Kazimierz Komikowski, Oleśnica	20,-	96. Małgorzata Szelejsen, Wrocław	100,-
32. Teresa Jaśkiewicz, Wrocław	21,-	97. Krystyna Białęska, Wałbrzych	50,-
33. Jadwiga Gajewska, Wrocław	100,-	98. Tadeusz Pusiarski, Szprotawa	50,-
34. Krystyna Krzykowska, Wrocław	50,-	99. Stefania Mańkowska, Nowy Sącz	30,-
35. Jadwiga Orzechowska, Wrocław	50,-	100. Stanisław Kowalik, Wrocław	30,-
36. Aniela Czyż, Wrocław	20,-	101. Stanisław Dustanowski, Kraków	100,-
37. W. A. Podoleccy, Kielce	46,-	102. Krystyna Dustanowska, Kraków	100,-
38. Jerzy Wolańczyk, Rokietnica	100,-	103. Janusz Handerek, Wrocław	20,-
39. Anna Masełko, Zabkowice	200,-	104. Władysław Kurkiewicz, Zabkowice Śl.	40,-
40. T. Z. Błażyński, Londyn	193,50	105. Kazimierz Hrynyk, Gdańsk	100,-
41. ks. dr Ryszard Małkowski, Lubin	100,-	106. Krystyna Hrychniak, Wrocław	50,-
42. Mieczysław Stepkowski, Hrubieszów	80,-	107. Olgierd Czerner, Wrocław	100,-
43. Jerzy Zawadzki, Wrocław	30,-	108. Elżbieta Klimek, Wrocław	100,-
44. Jan Łopuszański, Wrocław	100,-	109. Barbara Hoszowska-Bógdał, Rybnik	50,-
45. Aniela Siojcka, Szczecinek	200,-	110. Romuald Steinmetz, Toruń	100,-
46. Krystyna Tunkiewicz, Wrocław	50,-	111. Danuta Michalska-Fak, Wrocław	100,-
47. Roman Słaczowski, Gdańsk	100,-	112. Zdzisława Wołoszyńska, Wrocław	60,-
48. Tadeusz Czuba, Żary	220,-	113. Bronisław Więckowski, Kobyłka	50,-
49. Stanisław Milanowski, Świdnica	100,-	114. Janina Kacper, Wrocław	100,-
50. Stanisław Mikonowicz, Kłodzko	50,-	115. Irena Łukaszewicz, Bytom	100,-
51. Karol Kufłowski, Olsztyn	70,-	116. Janina Litwin, Wrocław	150,-
52. Adolf Daszkiewicz, Wrocław	100,-	117. Leszek Smoleński, Bytom	100,-
53. Janina Oleszczuk, Wrocław	50,-	Specjalne podziękowania za największe sumy, które wpłynęły od:	
54. Aleksandra Gładkowska, Wrocław	50,-	p. Władysława Hapońskiego z Lublina, a rodem z Tłumacza	
55. Jadwiga Leśniak, Wrocław	20,-	p. Wandy Dutkowskiej z Wrocławia	
56. Bogumiła Mazur, Wrocław	50,-	p. Jadwigi Birkowej z Wrocławia	
57. Urszula Orzelska, Wrocław	50,-	p. Ireny Stepanowej z Zabkowic Śl.	
58. Bolesław Winiarski, Wrocław	100,-	p. Ligii Gołębiowskiej z Wrocławia	
59. Marian Mazur, Wrocław	100,-	Uczniów Szkoły Podstawowej nr 91 im. Orłąt Lwowskich	
60. NN	21,-	przy ul. Sempołowskiej we Wrocławiu	
61. Władysława Świątalska, Wrocław	200,-	Domu Pogodnej Jesieni we Wrocławiu	
62. Bronisława Piechowicz, Oleśnica	25,-	Kominarskiej Spółdzielni Pracy „Św. Floriana” we Wrocławiu	
63. Marian Oleszkiewicz, Wrocław	100,-	TMLiKPW Oddział Stanisławów we Wrocławiu	
64. Mieczysław Miziur, Wrocław	100,-	TMLiKPW Klub „Orłąt Lwowskich” Sępólno Wrocław	
65. Romana Krzeszowska, Uciechów	50,-		

Janusz Osadziński

Ulica mojej młodości

(Przedruk z Dziennika Polskiego z 11 maja 1990 r.)

Pojechałem do Lwowa po pięćdziesięcioletniej rozłące z miejscem mego dzieciństwa i pierwszej młodości. Urodziłem się w kamienicy przy ulicy Długosza pod numerem dwunastym na drugim piętrze i mieszkalem tam bez prze-

rwy 19 lat aż do pamiętnego dnia w kwietniu 1940 roku, kiedy to bandyci z NKWD wyrzucili nas brutalnie z domu i po długiej podróży znalazłem się z matką i siostrą w dalekim Kazachstanie.

Skierowałem oczywiście pierwsze kroki w stronę ulicy Długosza i serce mi mocno zabiło gdy zatrzymałem się przed numerem 12. Stałem tam przez długą chwilę i obrazy sprzed wielu lat przesuwały mi się przed oczyma.

Kamienica nasza załamywała się pośrodku pod kątem prostym i część jej prowadziła w stronę „uliczki”, gdzie mieściły się domy pod numerami 14, 16 i 18. Był to ślepy zaułek idealny do zabaw dla dzieci. Wykorzystywaliśmy go w pełni ku utrapieniu mieszkańców przyległych domów. Tutaj odbywały się wszelkie harce i w tym miejscu omal nie straciłem lewego oka, gdy mój kolega Jurek Sucharda (syn rektora Politechniki) rzucił oszczepem tak niefortunnie, że zamiast w tarczę trafił mnie obok nasady nosa. Dzięki natychmiastowej pomocy lekarskiej oko zostało uratowane, choć ślad po tym wypadku pozostał na zawsze. Tutaj też Miśku, dozorca domu pod numerem 14 zaareztował moją piłkę futbolową, gdy wybiliśmy mu szybę w mieszkaniu i oddał ją dopiero po zapłaceniu rachunku szklarza.

Po lewej niezabudowanej stronie była długa, zaniedbana parcela, zarosnięta rzakami i drzewami, a przy końcu jej nieużywany od wielu lat kort tenisowy. Całość nazywała się w naszym potocznym mowie – „Ogród”. Kort został zamieniony na boisko piłki nożnej. „Ogród” był przegrodzony od uliczki parkanem z kilkoma wyłamanymi deskami i tamtędy można było dostać się do środka. Do ogrodu schodziła się „batiarnia” mieszkająca w suterenach domów przy ulicy Długosza, Jakuba Strzemię, Supińskiego, a nawet z dalszych ulic jak Zyblikiewicza, Pelczyńska itd.

Do „Konfraterni” ogrodowej nie przyjmowano byle kogo. Przez dłuższy czas próbowaliśmy z Jurkiem wkupić się w ich łaski, ale „podania” nasze były odrzucane. Moją największą wadą w ich oczach było należenie do harcerstwa. Gdy tylko pojawiałem się na ulicy w mundurku skautowskim, witał mnie chór: „Druhu! Ja ci pierdny w uchu!”. Po kilku miesiącach miałem tego dość, wypisałem się z harcerstwa pod pretekstem, że zbiórki zabierają mi za dużo czasu i kolidują z lekcjami fortepianu. Batiarnia uznała to za dodatnie posunięcie i obaj z Jurkiem zostaliśmy wpuszczeni do ogrodu. Trochę mnie niepokoiło to, że ile razy potem spotykałem umundurowanego harcerza miałem niepomaganą chęć zaproponowania mu tego zabiegu usznego.

Rodzice moi na pewno nie byliby zadowoleni z towarzysztwa, w którym pobierałem pierwsze nauki życia ilustrowane wycinkami z „Eroticonu” i „Wolnych żartów”. Spędzaliśmy z Jurkiem czas w gronie batiarów, wśród których było wiele ciekawych i kolorowych typów: Juja Księżyc swój pseudonim zawdzięczał bliźnie na głowie w kształcie rogalika księżycowego. Była to pozostałość po jakiejś bójkę i włosy mu w tym miejscu nie odrastały. Adaśku „Palant” był też dobrym zabijaką. Nie wiem czy nazywano go tak, bo grał bardzo dobrze w kiczki, czy dlatego, że miał duże powodzenie u płci pięknej z wiadomych powodów, choć do przystojnych nie należał. Kaję „Perfuma” nie lubił się myć często i jego nogi było „słychać” na odległość. Obrabiał potem zawód dżokeja i widziałem go na wiosnę 1939 r. na torze wyścigowym na Persenkówce. Koniom jakoś jego zapach nie przeszkadzał! Był na razie w randze „chłopaka” i miał nadzieję dochrapać się stopnia „jeźdźcy”, a w dalekiej przyszłości „dżoke-

ja”. Musiał przedtem wygrać wiele biegów. Siunku Poticha grał doskonale w futbol, umiał świetnie kiwać i przejeżdżał przez nas bez trudu przez cały kort. Zapisał się później do „Pogoni”, grał początkowo w drużynie juniorów, ale na kilka miesięcy przed wojną wcielono go do jedenastki ligowej. Poszliśmy całą paczką na mecz, aby zobaczyć Siunka w akcji. Siunku miał bardzo cienkie nogi, a szczególnie chudość ud uwidatniała się na tle szerokich nogawek w spodenkach, więc kibice krzyczeli na niego: „Ruszej się, ty suchotnik!”. Na co Siunku, grający na lewej pomocy, odpowiadał im niezmiennie, gdy był w pobliżu linii autowej: „Nos do dupy!” Mieliliśmy więc podwójną frajdę, bo patrzyliśmy na mecz i słuchaliśmy wymiany słownej Siunka z publicznością. Jednym z wartych zanotowania członków stałej załogi ogrodowej była Zośka z Jakuba Strzemię, która w naszych turniejach grała na bramce i rzucała się na piłkę niczym sławny Albański z Pogoni.

Urządzaliśmy też tam zawody zapaśnicze na zbudowanym przez nas prymitywnym ringu. W tym czasie odbywały się prawdziwe walki w ogromnym namiocie przy ulicy Pelczyńskiej, naprzeciw Cytadeli z udziałem zapaśników z całego świata. Każdy z nas miał obrać sobie nazwisko któregoś z atletów z Pelczyńskiej. Teodor Sztekker miał największe powodzenie, musieliśmy więc losować i mnie przypadł w udziale Hiszpan – Oliveira, a Jurkowi Garkowienko. Kaję został Sztekerem; podejrzewałem, że coś poszachrował z tym losowaniem, bo od początku chciał tego wyboru.

Pewnego roku zorganizowano walki wolnoamerykańskie w sali Sokoła Macierzy, naprzeciw Wieku Nowego. Bardzo chcieliśmy to zobaczyć, ale ktoś nam powiedział, że ze względu na wielką brutalność tej imprezy uczniowie gimnazjalni nie są wpuszczani na salę. Moi koledzy postanowili jednak spróbować z nadzieją, że uda im się przecisnąć przez kontrolę. Nie chciałem doznać zawodu, więc pożyczyłem od ojca płaszcz, kapelusz i łaskę i tak wyekwipowany poszedłem razem z kolegami na ulicę Sokoła. Ku mojemu zdziwieniu moi przyjaciele zapłacili przy kasie za bilety z 50-procentową zniżką uczniowską, a mnie zacenili pełną stawkę, mimo że zapewniałem ich, że też jestem uczniem. Nie uwierzyli mi, bo nie miałem przy sobie szkolnej legitymacji. Koledzy pękali ze śmiechu słuchając moich wyjaśnień popartych gestykulacją ręki, na której była zawieszona łaska. Przez cały ten czas nie zdejmowałem nieszczęsnego kapelusza.

Mimo tego napływu batiarni, zresztą nieszkodliwych chłopaków, ulica Długosza miała bardzo dobrą opinię i zamieszkała była przez wiele znanych osobistości – naukowców, prawników, lekarzy, wyższych wojskowych, duchownych itd. Naszymi sąsiadami byli: prof. E. Romer, światowej sławy geograf, prof. W. Bruchnalski, polonista, historyk literatury, prof. W. Abraham, historyk prawa kościelnego, prof. E. Sucharda, chemik, rektor politechniki, prof. E. Porębowicz, historyk literatury, Prof. Łempicki, polonista, historyk literatury (przeprowadził się później do pobliskiego Domu Profesorów przy ul. Supińskiego 11). Widziałem też często profesorów idących do tego Domu; szczególnie utkwił mi w pamięci prof. Juliusz Kleiner, ubrany w biały letni garnitur, z laseczką w ręku i w słomianym kapeluszu, spod którego wychodziły z tyłu kręcone loczki. Ulica miała swoją specyficzną atmosferę, ludzie byli pogodni, na ogół znali się nawzajem i zatrzymywali się na przyjazną pogawędkę. Nie wyobrażałem sobie, że

mógłbym w Polsce mieszkać nie we Lwowie, a we Lwowie nie na Długosza.

Ulica dzisiaj nazywa się Łomonosowa, numery domów pozostały te same. We wnęce kamienicy nr 27, na rogu Długosza i Jakuba Strzemię była figura Matki Boskiej. Gdy przechodziłem koło tego rogu, zawsze zdejmowałem czapkę. Figura też zniknęła, została tylko podstawa. Szarzy przechodnie snują się po ulicy, nie słychać naszego pięknego lwowskiego bałaku, nie ma batiarów, duch Jurka

Janina Oparowska

Na zew z Ziemi Rodzinnej

Każdy powrót do Ziemi Rodzinnej – na Kresy – jest to dla nas ogromnym przeżyciem i wywołuje ogromne wzruszenie, wspomnienia, radość i łzy.

Tego doświadczyli ci, którzy brali udział w 9-tej pielgrzymce do Nawarii koło Lwowa, która odbyła się w dniach 23-29 czerwca 2000 r.

W tej pielgrzymce wzięli udział dawni mieszkańcy Ziemi Lwowskiej – a konkretnie, mieszkańcy takich miejscowości jak Nawaria, Hodowica, Sokolniki, Maliczkowice, Glinna, Pustomyty – leżących niedaleko Lwowa. Wśród uczestników tej pielgrzymki w większości byli to ludzie starsi, którzy po raz pierwszy po 50 latach odwiedzili swoje rodzinne strony. Pielgrzymka ta odbyła się pod przewodnictwem duszpasterzy – ks. kanonika Franciszka Rozwoda oraz ks. prałata Walentego Szalegi z Jawora.

Trzeba zaznaczyć, że tego rodzaju pielgrzymki do Nawarii od samego początku odbywają się pod kierownictwem tych czcigodnych kapłanów.

W dniu wyjazdu z Wrocławia – 23 czerwca – o godz. 18.00 uczestnicy pielgrzymki wzięli udział we Mszy św. sprawowanej przez w/w księży, która została odprawiona w kościele św. Idziego – obok katedry wrocławskiej. Po Mszy św. wszyscy zajęli miejsca w autokarze. Z pieśnią „Pod Twą Obronę” pielgrzymka wyruszyła z Wrocławia w kierunku Opola, następnie przez Katowice, Kraków, Rzeszów, Przemysł – do Lwowa.

Do Lwowa przybyliśmy w sobotę 24 czerwca około godz. 10.00. W tym dniu zwiedziliśmy dworzec kolejowy, Lwowską Katedrę Łacińską, greko-katolicką cerkiew św. Jura oraz kościół św. Elżbiety. Około godz. 14.00 przybyliśmy do Nawarii. Przed kościołem w Nawarii czekali już na nas wraz ze swoim proboszczem O. Tomaszem Rybą nasi dawni znajomi i bliscy. Kiedy weszliśmy na dziedziniec przed kościołem, powitał nas dźwięk nowego dzwonu, który już od Bożego Narodzenia jest zawieszony na przykościelnej dzwonnicy.

Była to chwila bardzo wzruszająca, na którą długo oczekiwaliśmy. Wszyscy zatrzymali się i z rozczerwieniem wpatrywali się w ten dzwon i wsłuchiwali się w jego dźwięczny ton.

A potem została odprawiona w naszym dawnym nawaryjskim kościele koncelebrowana Msza św., której przewodniczył ks. kan. Franciszek Rozwód w asyście proboszcza parafii nawaryjskiej – O. Tomasza Ryby i ks. prałata Walentego Szalegi. W czasie tej Eucharystii sprawowanej w tej tak bardzo dla nas drogiej świątyni – dziękowaliśmy Bogu i Matce Najświętszej za szczęśliwie przebytą drogę do rodzinnych stron.

Jak zwykle – po tej długiej podróży wszyscy udali się na wypoczynek do swoich bliskich i znajomych, którzy tu żyją na stałe.

zastrzelonego przez ukraińskiego policjanta w 1944 r. unosi się nad uliczką, dzieci tam nie bawią się, stoją tylko zaparkowane samochody. Nie ma też „Ogrodu”, na korcie wybudowano jakiś dom. Drzewa wszędzie rozrosły się ogromnie, nic dziwnego, przez 50 lat miały czas to zrobić.

W ciągu kilku dni sfotografowałem około 150 miejsc w środmieściu i w znanych mi rejonach. Po powrocie do Anglii wciąż oglądam te zdjęcia i wydaje mi się, że jestem w naszym kochanym Grodzie, takim jakim go zostawiłem przed pół wiekiem. □

W niedzielę – 25 czerwca – odbyliśmy wycieczkę autokarem po najbliższej okolicy. Odwiedziliśmy Sokolniki, Hodowicę, Basiówkę, Obroszyn, Pustomyty, Glinę, Szerzec i Siemianówkę.

W Sokolnikach pomodliliśmy się w dawnym kościele Matki Bożej Różańcowej – dziś cerkiew greko-katolicka.

Ludzie pochodzący z Sokolnik starali się rozpoznać swoje domy, w których kiedyś mieszkali. Oczywiście, nie było to łatwe, gdyż wieś Sokolniki została bardzo rozbudowana. Wielką radością dla nich był moment, gdy poszukiwany dom czy miejsce, w którym kiedyś się znajdował został rozpoznany i odnaleziony.

We wszystkich miejscowościach, które odwiedziliśmy, zaszły duże zmiany. W wielu przypadkach na lepsze, co nas bardzo cieszyło. Prawie w każdej miejscowości zostały wybudowane nowe piękne domy. Stare domy jakby przycupnęły ku ziemi i ukryły się wśród wiekowych krzewów i drzew.

Po powrocie z tej wycieczki po okolicy o godz. 15.00 kościół w Nawarii wypełnił się wiernymi, którzy przybyli na uroczystą Mszę św. Po Mszy św. odbyła się procesja wokół kościoła z okazji oktawy Bożego Ciała. Śpiewy, modlitwy przy czterech ołtarzach – stwarzały prawdziwie podniosłą atmosferę. Mimo woli przypominały się uroczyste procesje tu odbywane przed wielu laty – a te wspomnienia wywoływały łzy wzruszenia i żalu...

Po nabożeństwie nie śpieszono do domów. Stali w małych grupkach – ci, co przyjechali z Polski i ci, co tu zawsze mieszkają i rozmawiali, niekiedy ocierali łzy – ale wszyscy byli mimo to uradowani i szczęśliwi.

Dwa następne dni spędziliśmy na zwiedzaniu Lwowa pod przewodnictwem p. Teresy Pakosz – dziennikarki Radia Lwów.

Odwiedziliśmy wiele ciekawych zabytkowych kamienic, świątyń, parków. Rynek i Ratusz we Lwowie, a przy nim dwa lwy stały się tłem do indywidualnej i wspólnej pamiątkowej fotografii, podobnie było przy pomniku Adama Mickiewicza. Spacerowaliśmy po Parku Stryjskim. Odwiedziliśmy obiekty dawnych tzw. „Targów Wschodnich” oraz gmach, w którym mieściła się kiedyś „Panorama Raclawicka”.

Na Cmentarzu Łyczakowskim dzięki p. Teresie Pakosz poznaliśmy historię wielu zabytkowych już grobowców o muzealnej architekturze. Przy grobach Marii Konopnickiej i Władysława Belzy złożyliśmy kwiaty i zapaliliśmy znicze.

Cmentarz Orłąt – który odwiedziliśmy – budzi zawsze niezwykle uczucia. Tu w ciszy i w zadumie pomodliliśmy się za dusze tych, którzy „umarli – abyśmy my wolni żyli”.

Prace przy odbudowie tego historycznego cmentarza stwarzają nadzieję, że odzyska on swój dawny, należyty wygląd.

Punktem kulminacyjnym zwiedzania Lwowa było wyjście na Wysoki Zamek i oglądanie z jego wysokości przepięknej panoramy Lwowa.

Nawarię i Lwów pożegnaliśmy w dniu 28 czerwca.

O godz. 9.30 w kościele nawaryjskim została odprawiona pożegnalna Msza św. przez naszych duszpasterzy z udziałem O. Tomasza – proboszcza parafii nawaryjskiej. Uczestniczyliśmy w niej my pielgrzymi – oraz miejscowi Polacy i Ukraińcy. Po tej Mszy św. udaliśmy się do cerkwi greko-katolickiej zgodnie z przyjętą od kilku lat tradycją. Tu odbyło się spotkanie z duszpasterzem tej świątyni – nas pielgrzymów i miejscowych Polaków i Ukraińców. Wspólna modlitwa – pieśni po polsku i po ukraińsku – to na pewno znaczący wkład w budowanie jedności chrześcijan – właśnie tu na tej ziemi, gdzie wiara była prześladowana.

Po pożegnaniu w cerkwi zwiedziliśmy cmentarz wojсковy z czasów I wojny światowej, którego resztki znajdu-

ją się przy szosie prowadzącej z Nawarii do Pustomyt. Miejscem ostatniego naszego pobytu w Nawarii był dawny cmentarz parafialny. Zgromadzeni przy grobie dawnego proboszcza parafii nawaryjskiej z czasów międzywojennych – śp. ks. Gabriela Trzebieckiego – pomodliliśmy się za spokój jego duszy oraz za dusze tych, którzy na tym cmentarzu spoczywają.

Mieszkańcy Nawarii i okolic odprowadzili nas do autokaru. Pożegnali nas słowami:

– nie zapominajcie o nas, przyjeżdżajcie – będziemy na was czekać...

Znowu kolejny raz przyszło nam pożegnać ziemię rodzinną – znowu przeżyliśmy smutek i żal rozstania z tym wszystkim, co kiedyś było tak bliskie i drogie. □

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo!

Jestem z grupą dzieci (10 osób) z Borysławia (Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej) na wypoczynku w Oświęcimiu. Zaprosiła nas na wypoczynek była borysławianka – pani Barbara Luks, która jest Prezesem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów w Bielsku-Białej, a także kierowniczką hotelu „Kamieniec”. Pani Barbara pomaga nie tylko Polakom w Borysławiu. Bardzo dobre wyżywienie, serdeczność i zrozumienie pojednało się z wiedzą o Kraju: zwiedziliśmy Wadowice, Kalwarię Zebrzydowską, Kraków, Wieliczkę, Pętlę Beskidzką (w tym kaskadę ujęcia rzeki Soly), Szczyrk, miejsce, skąd bierz początek królowa polskich rzek – Wisła w Beskidzie Śląskim, zamek w Pszczynie, Oświęcim – miasto, obóz w Oświęcimiu Brzezince. Na 10 dni wypoczynku, to naprawdę dużo. Razem z oo. Salezjanami śpiewaliśmy na Mszy św. w niedzielę, a także mieliśmy wspólne spotkanie przy ognisku. Śpiewaliśmy przy tym polskie i ukraińskie pieśni. Poznaliśmy dobrych i serdecznych ludzi z KIK-u w Oświęcimiu i nie tylko. Nie dopisała czasem pogoda, ale w tym przypadku był basen. Jestem prezesem Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej od 1992 r. z dnia jego założenia, kieruję polską sobotnią szkołą przy Towarzystwie, uczę dzieci języka polskiego, literatury, muzyki, kultury (folklor, tradycje). Byłam na koloniach w dzieciństwie, bo jest to jakby wynagrodzenie za pracę, którą wykonuję i za którą mi nigdy nikt nie płacił. Nigdy nie otrzymaliśmy żadnej dotacji na działalność od państwa ukraińskiego. Dlatego tak bardzo cenię każdą pomoc otrzymaną z Polski. Naprawdę dobrze wypoczęłam z dziećmi teraz. Pragnę w imieniu całej naszej grupy złożyć serdeczne podziękowanie, a starym polskim zwyczajem „Bóg zapłać” na ręce kochanej Borysławianki, wspaniałej organizatorki, Szanownej Pani Barbary Luks, pana Zbigniewa Jarosza za możliwość przeżycia tak pięknych wakacji w „Kamieńcu”. Dziękujemy działaczom z KIK-u w Oświęcimiu na czele z panem Antonim Sankiem i księdzu – proboszczowi Jacko-



29.07.2000 r. Wadowice. Grupa dzieci z Borysławia. Pierwsza z lewej strony Pani B. Luks, z prawej – towarzyszący ksiądz od wspólnoty oo. Salezjan z Oświęcimia

wi Niedźwieckiemu z parafii św. M. Kolbe oraz księdzu – proboszczowi Wspólnoty Salezjańskiej Jerzemu Skiertowi, jak również parafianom, za pomoc finansową pokrycia kosztów podróży, radnym i członkom zarządu miasta Krosna i panu Kazimierzowi Machowi. Dzięki opatrności Bożej i działalności ludzi dobrej woli, którzy pamiętają o Polakach na Ukrainie, mieliśmy w naszej Ojczyźnie dach, chleb i szeroko otwarte serca wspaniałych ludzi. Niech nasz Zbawiciel błogosławi Wam w życiu codziennym, a Matka Boża Nieustającej Pomocy – patronka kościoła w Borysławiu – otacza łaską i pokojem. Prosimy dobrego Boga, żebyście zawsze mieli czym dzielić się z potrzebującymi, a Święty Duch spoczywał na Was w pielgrzymce po naszej Matce Ziemi.

Z wyrazem głębokiego szacunku i wdzięczności, najlepszymi życzeniami kłania się

Halina Klancko i grupa dzieci z Borysławia
5. 08. 2000 Oświęcim

Jerzy Julian Szewczyński „Nasze Kopyczyńce”

Jako były mieszkaniec ziemi dziadów i pradiadów, ziemi dzieciństwa i młodości, jestem w pełni usatysfakcjonowany ukazaniem się w periodyku „Semper Fidelis” arty-

kiem twórcą prądu frankizmu, który we wrześniu 1759 roku wraz z 5.000 jego zwolennikami przyjęli uroczyste chrzest we Lwowie. Drugim Eliezer twórcą chasydysmu, który przybrał imię Baalszetur. Po frankizmie nie zostało śladu, chasydyzm przetrwał i do dziś ma sporo zwolenników w Izraelu i Ameryce.

Ukazanie się artykułu p. Krystyny Zielińskiej poruszyło mnie osobiście jako obywatela tego miasta, prezesa zarządu Towarzystwa Miłośników Lwowa w Elblągu, gdyż wiele w nim jest nieścisłości, niezgodności z prawdą. Pozwalam sobie rozpocząć od samej Pani Krystyny Zielińskiej.

W 1943 lub z końcem 1942 r. pojawiała się rodzina, Pani Zofia z synem, Pani Krystyna Dąbrowa wraz z rzekomo ich bratem Tadeuszem Wierzbolowiczem.

Nikogo to zbytnio, nie interesowało skąd i po co przybyli. Pani Zofia bardzo stateczna i zrównoważona pracowała w Arbeitsamcie, władała bowiem biegle językiem niemieckim. Pomagała niejednej osobie w uniknięciu wyjazdu na roboty przymusowe do Niemiec. Nie przypominam sobie dokładnie lecz o ile pamięć moja mnie nie zawodzi Pani Krystyna zajmowała się dzieckiem i gospodarstwem domowym. W ostatniej fazie pobytu w Kopyczyńcach mieszkały w domu naprzeciw bramy stadionu sportowego w którym mieszkał kapral a nie sierżant p. Marchewka. Spotykaliśmy się u nich dość często, tym bardziej, że nasz stary kolega, nie pamiętam pełnego imienia, Dziunek Wojciechowski, mieszkał obok nas w domu p. Kominowskich, podkochiwał się w Pani Zofii. Osobiście dwukrotnie z Tadeuszem Wierzbolowiczem byłem w Warszawie, co załatwiał Tadeusz nie interesowało mnie, gdyż będąc w „AK” musiałem być na wiele rzeczy uczulony. Bez większych sensacji doczekaliśmy się wkroczenia Armii Radzieckiej, witanej z pewną ukrytą euforią przez Panię, Pan Tadeusz zachowywał się bacznie. Mobilizacja, powołanie do Wojska Polskiego wymarsz w pierwszej połowie kwietnia 1944 r. z Kopyczyńca z flagą narodową, po pięciu latach odśpiewano przez wszystkich ze łzami w oczach hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Na stacji kolejowej Podwołoczyska zostaliśmy załadowani do wagonów towarowych z pryzkami i przez Kijów, Charków dojechaliśmy do punktu rozdzielczego w Summach.

Tadeusz Wierzbolowicz, Wacek Kominowski, Edward Hrymnak, Zygmunt Samborski i ja skierowani zostaliśmy do szkół lotniczych, pozostali koledzy do różnych rodzajów broni. Wszyscy ukończyli szkoły lotnicze wyłączając Tadeusza Wierzbolowicza, który został cofnięty do kraju. Jak się skończyła jego kariera wojskowa i pod jakim nazwiskiem nie wiem.

Po przyjeździe do kraju spotkałem przypadkowo w Warszawie Tadeusza Wierzbolowicza, który bardzo radośnie mnie przywitał i zaproponował odwiedzenie Pani Zofii. Było trochę serdeczności lecz nastrój być może psuł mąż Pani Zofii pan major W.P. z krzyżem walecznych na piersi. Z rozmowy wyniosłem, że był on oficerem informacji lub bezpieczeństwa. Oficer liniowy w takim stopniu nie mógł otrzymać w owym czasie dwu lub trzypokojowego mieszkania w Warszawie przy ul. Królewskiej. Dalszych kontaktów nie utrzymywałem, gdyż w lutym 1946 roku zostałem aresztowany przez UB we Wrocławiu pod zarzutem przynależności do grupy „Szarego”, działającej na

terenach poznańskich. Przewieziony do Katowic, gdzie zostałem zwolniony. Do pułku nie wróciłem, gdyż w czasie mego pobytu w więzieniu zostałem zaocznie skazany na 5 lat i zdegradowany do stopnia szeregowca. Stopień oficerski został mi przywrócony 11.11.1999 r.

Z Panią Krystyną spotkałem się przelotnie w latach 1953-55 pracując w Olsztynie, na dworcu zamieniliśmy parę słów i ona odjechała do Warszawy. Na przełomie lat 80 i 90 będąc w Warszawie u śp. Wiesława Ryszawego, który w okresie okupacji też był u pań, opowiedział o spotkaniu z p. Krystyną, podał mi prawdziwe nazwisko p. Zielińska. Zadzwoń i spotkało mnie wielkie rozczarowanie, gdyż p. Krystyna oświadczyła, że nie nosiła nigdy nazwiska Dąbrowa i nie ma nic wspólnego z tamtą osobą, nadto nazwiska mego w ogóle sobie nie przypomina.

Trudno, pamięć niektórych zawodzi. Nie interesowałem się dalszym losom pani Zofii i Tadeusza, gdyż nie wniesie nic nowego do dziejów mego miasta. Na jednym ze spotkań inspektoratu AK Czortków, które odbywają się rokrocznie w każdą pierwszą niedzielę września w kościele św. Jacka w Warszawie, jeden z kolegów po przeczytaniu mojej książki „Nasze Kopyczyńce” oświadczył, że p. Jerzy Urban również ukrywał się w Tarnopolskim, zaś obie Panie są z nim spokrewnione i są pochodzenia żydowskiego. W moim przekonaniu stanowisko P. Krystyny mówi samo za siebie. Czy w tym przypadku, po tylu przeżyciach, przeżyciach uciekanie od prawdy ma jakikolwiek cel. Każdy z nas w obronie swojego życia lub swoich najbliższych używał by wszystkiego co jest możliwe aby największy skarb życie uratować. Tak też czynili i oni. Jednakże te rozważania pozostawiam szczególnie Pani Krystynie.

Południowo-wschodnie kresy zwane Podolem pokrywała gęsta sieć starych miast i miasteczek o bogatych tradycjach narodowych. Do nich należy zaliczyć Kopyczyńce. Miasteczko to przed rozbiorem RP należało do powiatu trembowelskiego, było gniazdem Tołpaczów i Kopeczyńskich z Bestwina, którzy się także pisali Kopyczyńscy albo Kopycieńscy herbu Kopacz. Posiadali zamek warowny. Wytrzymał on kilkakrotnie oblężenia przez Turków i Tatarów.

Kościół tutejszy obrządku łacińskiego ufundowali Jakub na Kopyczyńcach i jego matka Ottka w 1443 roku.

W czasie najazdów tureckich i tatarskich w latach 1618-1625 kościół został całkowicie zniszczony. Obronił się wówczas jedynie zamek, który później uległ zniszczeniu w czasie kolejnych najazdów. Obecny kościół, otoczony parkanem z 1805 roku w stylu cesarstwa, nie pozbawiony jest cech baroku, kończącego stylowość kościołów podolskich. Kościół posiadał księgi metrykalne z 1784 roku, a fragmentarycznie od 1705 r. oraz piękną dzwonnice empirową, kompletnie zniszczoną przez władze komunistyczne.

W 1615 r. Kopyczyńce były własnością Eustachego (Ostafiewa) Kopyczyńskiego. Barbara Kopyczyńska poślubiła Andrzeja Kalinowskiego i wniosła ten majątek w dom Kalinowskich, pochowani zostali w kościele pod głównym ołtarzem we wsi Sidorów. Posiadała ona niegdyś zamek warowny. Kościół ten był czynny do 1945 roku, obecnie jest zdewastowany jak wiele innych.

Majątek w XIX w. przeszedł we władanie rodziny Barworskich. Posiadali oni Kaplicę-mauzoleum przy trakcie czortkowskim. Została ona rozebrana, a szczątki

zmarłych rozrzucone po polu przez komunistów w 1940 roku.

Miasto Kopyczyńce do 1939 r. liczyło ok. 15 tys. mieszkańców narodowości polskiej, ukraińskiej i żydowskiej, mniej więcej po 1/3 poszczególnych nacji. Usytuowane było na szlaku kolejowym i drogowym Lwów-Tarnopol-Zaleszczyki, oddalone 25 km od rzeki granicznej Zbrucz w Husiatynie. Składało się z małych dzielnic: Kalinowszczyzna, Baworowszczyzna, Kotówka, Kutec, Chomianówka, Betki, Kordaczówka, Góra. Otoczone było prawie ze wszystkich stron pięknymi lasami Baworowskich.

Powiat kopyczyński o powierzchni 873 km² zamieszkiwało do 1939 r. ok. 145 000 mieszkańców w 50 miastach, gminach i gromadach.

W Kopyczyńcach stacjonował 13 Baon KOP wchodzący w skład brygady KOP Czortków, a nie jak twierdzi p. Krystyna pułk, między baonem a pułkiem jest bardzo duża różnica. Dowódcą był ppłk Eugeniusz Sokółski rozstrzelany w Starobielsku.

Właścicielem apteki do wkroczenia Armii Czerwonej w 1939 był Pan Bronisław Prokosz, 17.04.1940 r. wywieziony z obozu w Starobielsku, ślad wszelki zaginął.

Zarządzający apteką zarówno w okresie okupacji sowieckiej jak i niemieckiej zmieniali się, ich nazwisk nie pamiętam. Nie może być mowy o aptekarzu Kazimierzu Prokoszu, gdyż takiego nie było.

Jedną z głównych ulic formalnie noszącą nazwę Karaśńskiego zwano potocznie Jabłonowską, stąd też Pani Krystynie narodził się hrabia Jabłonowski. Właścicielem Jabłonowa był hr. Dziedzuszki.

Sprawa lekarza z kasy chorych Stanisława Kalarza była bardzo głośną pod koniec lat czterdziestych. Nieznana mi w tej chwili pracownica tejże Kasy oskarżyła lekarza Kalarza zamieszkałego w Sztumie o współpracę z Niemcami. Dzięki postawie społeczności pochodzącej z tamtych stron, a przede wszystkim p. Wacława Nowaczka znanego i cenionego pedagoga, Buczka, Runowicza, mego ojca Franciszka i szwagra lekarza wojskowego Franka i wielu innych zdołaliśmy obronić go przed utratą prawa wykonywania zawodu, a może nawet życia.

Willi nasza posiadała 9 izb, które w okresie okupacji niemieckich były wynajmowane na parterze 5 rodzinie adwokata ukraińskiego Kapustyńskiego, 1 duży pokój, w którym przed wojną tatuś miał kancelarię komorniczą wynajęty Panu Maksymilianowi Drekslerowi prowadzącemu radiowęzeł przy Urzędzie Pocztowym, którego kierownikiem był znany ze swych narodowo socjalistycznych Niemiec Treutner. Wszyscy mieszkali spokojnie, podejrzane

było tylko zachowanie p. Drekslera, który przy każdym wejściu i wyjściu z pokoju zamykał drzwi.

Pod koniec 1943 roku stwierdziłem, że przechowuje on osobę, która nigdy nie opuszczała pokoju, była żydówką. Zgłosiłem Ojcu, ten mi odpowiedział: po co wtrącasz się w nie swoje sprawy. Po zakończeniu wojny przybyło jedno mieszane małżeństwo więcej. Państwo Drekslerowie mieszkali i żyli szczęśliwie w Słupsku.

Trudno mi polemizować z autorką o dziejach po kwietniu 1944 roku, gdyż jak wspominałem byłem już w wojsku.

Po czterdziestu sześciu latach odwiedziłem Kopyczyńce. Zobaczyłem zniszczony kościół, w którym mieściły się magazyny i tłocznie soków owocowych.

Przysięgłem, że kościół odbuduję i napiszę historię tego miasta z lat 1939-1944. Dzięki ofiarności społeczeństwa z różnych stron kraju, a nawet świata, organizacji i komitetów charytatywnych na terenie byłego powiatu kopyczyńskiego czynne są kościoły w Kopyczyńcach, Jabłonowie, Kociubińcach, Probużnej oraz kaplica na cmentarzu w Chorostkowie.

Po dzień dzisiejszy odwiedziłem to miasto 5 razy i nigdy nie spotkałem się z nieprzyjaznym lub wrogim stanowiskiem społeczności ukraińskiej lub władz miejskich czy też wojewódzkich. Z tymi ostatnimi miałem przyjemność spotkania w sierpniu 1999 r. w ramach pobytu w Tarnopolu jako oficjalnej delegacji miasta Elbląga. Mam wrażenie, że ten ostatni mój pobyt przynosić będzie różne pozytywne korzyści.

Drugie przyrzeczenie też spełniłem, opracowałem przy bardzo dużym udziale śp. Józefa Ruńki i innych, książkę pod tytułem „Nasze Kopyczyńce”.

Trudno mi określić czy spełniła ona rolę jaką oczekiwała społeczność tego zakątka tak pięknego i ułomowanego Podola. Kolportowana była w Anglii, Niemczech, USA i Kanadzie. W tej ostatniej za moją zgodą bezpłatnie była publikowana odcinkami miesięcznika „Polonia”.

Kończąc polemikę z autorką artykułu stwierdzam, że artykuł napisany jest dużym zasobem wiedzy i praktyki reporterskiej, czyta się z wielką swobodą i przyjemnie, gdyby wszystko polegało tylko na prawdzie.

Książka moja i wyrażone w niej poglądy dążą do jednego celu, wzajemnego przebaczenia za popełnione czyny, bowiem umarłych nikt nie wskrzesi, nie wróci do istnienia, zaś nam żywym pozostaje pojednanie i patrzenie w przyszłość bez obciążeń przeszłości. Pan Jezus umierając przebaczył swoim oprawcom, uczynmy i to my, gdyż pojednanie przede wszystkim narodu polskiego i ukraińskiego daje możliwości wejścia do Europy tym krajom oraz zapewnienia stabilności w tej tak dużej części Europy. □

Marian Bietkowski

Zjazd Koleżeński Instytutu Sztuk Plastycznych (Lwów) Wrocław 2000 r.



W dniach 28 i 29 czerwca 2000 odbył się we Wrocławiu pierwszy od czasu ekspatriacji ze Lwowa zjazd byłych wychowanków Lwowskiego Instytutu Sztuk Plastycznych. Taką nazwę, po przeorganizowaniu w roku 1938 przez panią

Wandę Telakowską z Ministerstwa Kultury i Sztuki, otrzymał dawny "Wydział Sztuk Zdobniczych i Rzemiosła Artystycznego" przy Szkole Technicznej we Lwowie przy ulicy Snopkowskiej.

Organizatorzy zjazdu: koleżanka Janina Litwińska-Walas oraz profesor Tadeusz Łodziana po zebraniu adresów kolegów rozproszonych nie tylko po Polsce,

wysłali komunikat inicjujący spotkanie. Zaproponowali jako miejsce zjazdu do wyboru: Lwów, Kraków i Wrocław. Po zebraniu odpowiedzi wynikło, że większość zaakceptowała Wrocław, w którym organizatorzy uzyskali w Państwowej Bursie Szkół Artystycznych, bardzo dobre warunki zarówno mieszkaniowe, jak też doskonałe położenie przy linii komunikacji miejskiej oraz niskiej cenie. Należy pamiętać, że niestety większość kolegów to emeryci.



Rozpoczął się zjazd: klimat spotkania: gorący, spontaniczny, serdeczny, wynikający zarówno z emocji związanych ze spotkaniem po latach, jak też swobodnego, wręcz gawędziarskiego sposobu prowadzenia przez kolegę Tadeusza Łodziana. Uczestniczyli byli wzruszenia listami przysłanymi przez tych z kolegów, którzy nie mogli przyjechać, czy to z powodu złego stanu zdrowia, czy też odległego miejsca zamieszkania.



Program przygotowany przez organizatorów wypełnił czas spotkania tak szczerze, że wiele opowiadań wzajemnych trzeba było odłożyć do następnego zjazdu.

O szczegółach Zjazdu oraz jak go widział Tadeusz Łodziana – jako Organizator – proszę przeczytać w opracowanym przezeń sprawozdaniu.

Kończąc sądzę, że naszym wspólnym zadaniem, obecnie, po spotkaniu, powinno być opracowanie, lub próba takiego opracowania, które ujęłoby historię naszej uczelni – jej założenia programowe, spis kadry, jak najobszerniejszą listę wychowanków oraz ewentualnie – niektóre biografie.

Prosimy więc kolegów ze wszystkich lat, aby w miarę swoich sił, chęci oraz posiadanych pamiątek, zechcieli w tej pracy uczestniczyć.



Dla umożliwienia kontaktów bezpośrednich łączymy listę adresową uczestników zjazdu.

W kwietniu odbyłem podróż do Wrocławia, gdzie razem z kol. J. Litwińską odwiedziliśmy kol. Ewę Radomską, która polecała nam miejsce i lokal. Odrzuciliśmy propozycję ze względu na znaczną odległość od śródmieścia Wrocławia (Psie Pole). Wybraliśmy Bursę Szkół Artystycznych, która miała właściwe warunki dla naszych potrzeb. Towarzyszyła nam kol. Joanna Domaszewska z Wrocławia.

Zjazd

Pierwsze niepowodzenie: zamiast 35 osób razem z wrocławianami na zjeździe stawili się 27 osób. Zawiodła najliczniejsza, szesnastoosobowa grupa krakowskich lwowiaków, zareprezentowana zaledwie przez 4 osoby. Kilka osób nie przybyło z powodu choroby z innych części kraju. Zawiedli ci, na których obecność najbardziej liczyłem. Z gości zagranicznych zjechała ze Lwowa kol. Czesława Hnatów; nie przyjechał z Izraela kol. Jakub Epstein, przysłał natomiast życzenia i pozdrowienia dla uczestników. Podobnie uczynił to kol. Stanisław Trusz z Nowej Huty, który zachorował. Życzenia i bukiet kwiatów nadesłał kol. prof. Józef Chierowski z Wrocławia, którego choroba wyeliminowała z udziału w zjeździe. W międzyczasie zmarła kol. Helena Wilk z Trzebnicy i na tydzień przed zjazdem kol. Leszek Bielecki z Wrocławia.

Sytuacja, jaką zastałem na sali, zmusiła mnie do improwizacji. Przedstawiłem zebranym tematy związane z Instytutem i inne problemy, którymi winien zająć się zjazd. Napięte emocje uczestników, którzy spotkali się po raz pierwszy po 55 latach, po opuszczeniu uczelni i przymusowym wysiedleniu z rodzinnych domów i ukochanego Lwowa, dały znać o sobie. Spontaniczna, żywiołowa atmosfera udzieliła się wszystkim. Wzajemna ciekawość i niecierpliwość zgromadzonych zdecydowała moje stanowisko – postanowiłem – nie trzeba przyszkadzać. Albumy z fotografiami i luźne zdjęcia przewiezione przez uczestników podniosły temperaturę zjazdu. Konfrontacja przeszłości z rzeczywistością wywoływała konsternację, często słyszało się zdanie: „co też ten czas z nas zrobił!”

Warunki lokalowe bursy ułatwiały nam wzajemne kontakty, stwarzając kameralność dla spotkań tete a tete. Do tematów poruszanych na wstępie zjazdu nie było sposobu wrócić. W moim przekonaniu zjazd powinien tymi zagadnieniami się zająć.

Udało się uzupełnić nazwiskami listę studiujących kolegów przed 1939 rokiem, jak i w czasie okupacji. Niestety, lista nie została mi zwrócona.

Zaplanowana wycieczka 15 osób na zwiedzenie Panoramy Racławickiej w drugim, ostatnim dniu zjazdu, była udanym pomysłem. Nie udało się nakłonić kol. Czesławy Hnatów, gorącej patriotki Lwowa, do opowiedzenia o swoich dramatycznych przeżyciach „na nieludzkiej ziemi”.

Pożegnalna kolacja, częściowo składkowa, przebiegała w podobnej atmosferze, co w pierwszym dniu zjazdu. Niestety, już w mniejszym osobowym składzie. Żegnając uczestników, życzyłem aby, być może, następny zjazd organizowali nieco młodszy koledzy.

Nie do mnie należy ocena zjazdu pod względem formalnym i merytorycznym. Uważam, że nie spełnił on moich oczekiwań. Nie udało się powołać zespołów do opracowania lub przedyskutowania tematów, które zasignalizowałem. Pozostawiono mnie z bogatą dokumentacją fotograficzną bez opisów i komentarzy. Nie bardzo widzę możliwości, by móc uporać się z problemem, chcąc zebrany a nie opracowany materiał „ocalić od zapomnienia”!

Przy okazji sporządzania sprawozdania chciałbym tą drogą podziękować: kol. Janinie Litwińskiej za podtrzymywanie mnie na duchu, kol. Ewie Radomskiej, która przy pomocy telefonu starała się odnaleźć we Wrocławiu adresy kolegów, kol. Joannie Domaszewskiej, która postarała się o wypożyczenie epidiaskopu i z kolei przeprosić, że nie skorzystaliśmy z niego, gdyż zabrakło czasu, kol. Tosi Klimowicz, która pomogła mi w ostatniej fazie zjazdu – dla Was moje „cajraczki”.

„TA DAJ WAM BOŻY ZDROWI!”

Ps.

Z Warszawy wysłałem dla dyrekcji bursy podziękowanie od uczestników zjazdu. Nie znalazłem w okolicy bursy kwiaciarni, stąd podziękowanie z Warszawy. Przy okazji następnego pobytu we Wrocławiu poprawię się i doręczę kwiaty.

Tadeusz Łodziana

LISTA BYŁYCH WYCHOWANKÓW P.I.S.P. – Lwów Wrocław

1. Lidia Stepek-Muszyńska, 51-617 W-w, ul. Witelona 17 (071) 3485920
2. Ewa Jęczalik, 51-617 W-w, ul. Grottgera 6
3. Ewa Żurad-Radomska, 51-364 W-w, ul. Litewska 20/5 (071) 3456411
4. Joanna Domaszewska, 54-109 W-w, ul. Hodowlana 58
5. Stanisław Knysz, 53-209 W-w, ul. Męcickiego 15 (071) 3632080

Gniechówice, 18 marca 2000

Pan

Dr Andrzej Kaminski

Redaktor Naczelny „Semper Fidelis”

Niedawno zmarł Andrzej Hiolski – jeden z ponadprzeciętnych Lwowiaków. Zakładając, że na Jego temat jakieś wspomnienia w „Semper Fidelis” ukażą się, chciałbym dorzucić mały epizod.

W 1937 roku w sierpniu, tacy 15-17 letni chłopcy jak ja i Andrzej Hiolski, po trzech tygodniach pobytu na kolonii wakacyjnej zorganizowanej

6. Michał Dendiak, W-w
7. Leszek Bielecki, W-w
8. Anna Sucharda-Sobczyk, 50-372 W-w, ul. Smoluchowskiego 52/5
9. Józef Chierowski, 53-120 W-w, ul. Jarzębinowa 24/26 (071) 3371918
10. Krzesława Maliszewska-Mazurkiewicz, 50-101 W-w, Rynek 18/11 (071) 3433842
11. Jadwiga Skomorowska, W-w
12. Lucja Skomorowska-Willimowska, W-w, Wojszyce (071) 694034 Kraków
13. Aurelia Gąsowska-Furdzik, 30-693 K-w, ul. Zimna 10 kom. 0502080364
14. Janusz Joniak, 31-157 K-w, ASP Pl. Matejki
15. Stanisław Sokalski, 33-111 K-w, ul. Piłsudskiego 36 A
16. Zofia Mackiewicz, 30-091 K-w, ul. Bronowicka 69/61
17. Danuta Dańczak, 30-033 K-w, ul. Sienkiewicza 2
18. Leszek Zajęczkowski, K-w
19. Agnieszka Myczkowska, 30-009 K-w, ul. Friedleina 28c/7 (012) 6336874
20. Stanisław Trusz, 31-911 K-w, ul. Na Skarpie 47/9 (012) 6440527
21. Anna Klemensiewicz-Skoczylas, 39-123 K-w, ul. Krzywy Zaulek 6/24 (012) 6370918
22. Teresa Świeży-Klimecka, 30-201 K-w, ul. Emaus 15/19 (012) 4270786
- Gliwice**
23. Nelly Rościszewska-Geppert, 44-100 G-ce, ul. Styczyńskiego 13/3
24. Janina Litwińska-Walas, 44-100 G-ce, ul. Styczyńskiego 14/2 (032) 2314154
25. Barbara Kozłowska-Rosiek, 44-100 G-ce, ul. Kościuszki 21/5 (032) 2315083
26. Teresa Schetzel-Hulimka, 44-100 G-ce, ul. Puszkina 14/1 (032) 2310394
27. Marian Bietkowski, 44-100 G-ce, ul. Skłodowskiej 10/10 (032) 2312526
28. Michał Terlecki, 44-100 G-ce, ul. Tamogórska 26/2 (032) 2314263
- Opole**
29. Adam Zbiegieni, 45-015 Opole, ul. Ozimska 18/3 (077) 4542814
30. Zdzisław Kuhl, 45-034 Opole, ul. Nysy Łuż. 17/9 (077) 4564829
31. Antoni Ganczarski, 45-078 Opole, ul. Koszykowa 18/7 (077) 4743300
- Sopot**
32. Irena Hryniewiecka-Smolana, 81-706 Sopot, ul. Obońców Westerplatte 28 5512791
33. Hanka Jaruzelska-Suchodolska, 81-706 Sopot, ul. Winieckiego 3
34. Beata Słuszkiewicz, Sopot

35. Franciszek Duszeńko, 80-833 Gdańsk, ul. Mariacka 40/41
36. Eugeniusz Freidenberg, N. Targ
37. Alina Waltoś, Łódź
38. Ludwina Mueller-Mann, 90-492 Łódź, ul. Kościuszki 106/116/64 (042) 368551
39. Anna Grabska, 05-070 Sulejów, ul. Jedności 3 (022) 7831038
40. Antonina Klimowicz-Hass, 05-822 Milanówek, ul. Dębowa 8/54
41. Czesława Hnatów-Cydzik, Lwów, ul. Krymska 73c
42. Jadwiga Geberowa 34-500 Zakopane, ul. S. Goszczyńskiego 5
43. Jakub Epstein, Israel Bat-Jam Ramat-Josef Milfa-Sinaj 33/13 P.O.B. 575
44. Hila Wilkówna-Kaźmirowicz, 55-100 Trzebnica
45. Tadeusz Łodziana, 00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 31/33 (022) 7242358

przez Lwowskie Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych i Średnich w Siankach, wracaliśmy pociągiem do Lwowa.

W pociągu zebrałem na odwrocie widokówki podpisy uczestników. Kserokopię tej kartki załączam. Są tam podpisy Andrzeja Hiolskiego, Stanisława Krzaklewskiego, Szolgin, Bolesława Brosia i szeregu innych znanych osób.

Jeżeli Pan redaktor uzna to za celowe, proponuję reprodukcję tej kartki z podpisami w „Semper Fidelis” z prośbą do czytelników ażeby ci, którzy rozpoznają swój podpis, zechcieli na-

wiązać kontakt z Redakcją (a jeżeli Redakcja to zaakceptuje, to i ze mną) i podzielić się swymi wspomnieniami z tych lat.

Mam też drugą sprawę: odpowiadając, jako czytelnik na zapytanie Pana Redaktora (S.F. nr 6/1999), sądzę, że jeżeli tylko względy finansowe

na to pozwolą, pismo powinno pozostać dwumiesięcznikiem. Dla takich czytelników jak ja, oczekiwanie przez trzy miesiące na kwartalnik jest trochę za długie.

Serdecznie pozdrawiam

dr inż. Feliks Cały



Sierpień 1937. Podpisy uczestników kolonii wakacyjnej w Siankach zebrane na pocztówce w pociągu w drodze powrotnej do Lwowa.

WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Katyński tryptyk

Dopiero po 60 latach polscy oficerowie, rozstrzelani na rozkaz Stalina, zostali pochowani w Charkowie i Katyniu zgodnie z najwyższym ceremoniałem Wojska Polskiego i kościelnym – katolickim, prawosławnym, grecko-katolickim i religią mojżeszową. 17 czerwca otwarto oficjalnie w Charkowie Polsko-Ukraiński Zespół Pamięci Ofiar Reżimu Stalinowskiego, z udziałem premierów – Ukrainy, Wiktora Juszczenko i Polski – Jerzego Buzka, przedstawicieli Sejmu i Senatu, Wojska Polskiego, duchowieństwa różnych obywateli i wyznań oraz rodzin pomordowanych. W 20-osobowej grupie Dolnośląskiej Rodziny Katyńskiej, która uczestniczyła w uroczystościach w Charkowie byli m.in. wnuczka generała Franciszka Sikorskiego, dowódcy obrony Lwowa w 1939 r. (brat gen. Władysława Sikorskiego) oraz prof. Adam Zalewski z Wro-



Wicepremier Rosji Wiktor Christienko i premier Jerzy Buzek podczas uroczystości żałobnych na Polskim Cmentarzu Wojennym w Katyniu

clawia, którego ojciec został zamordowany w Charkowie.

28 lipca w Katyniu otwarto Polski Cmentarz Wojenny i Cmentarz Radzieckich Ofiar NKWD. Na grobach rozstrzelanych oficerów WP II Rzeczypospolitej modlili się duchowni katoliccy, wśród nich prymas Polski Józef Glemp i biskup polowy WP Sławoj Głódź, protestancki, muzułmański i rabin. Z rodzinami pomordowanych, przy ich grobach spotkali się wicepremier Rosji, Wiktor Christienko, premier Jerzy Buzek, b. prezydent na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, marszałkowie Sejmu i Senatu – Maciej Płażyński i Alicja Grześkowiak. – My, Rosjanie, dobrze rozumiemy uczucia Polaków związane z Katyniem. Jak też motyw, którymi kierowali się prezydenci Rosji i Polski z 1992 r., kiedy wspólnie potępiili zbrodnicze totalitaryzmy, które przyniosły tyle cierpień narodom naszych krajów – powiedział po mszy żałobnej wicepremier Rosji W. Christienko. – Nazwy Katyń i Miednoje – dodał powinny utracić negatywny sens, by stać się symbolem wspólnego żalu i pojednania.

Uroczyste otwarcie i poświęcenie polskiego cmentarza wojkowego w Miednoje odbędzie się 2 września br. – poinformował sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik. Będzie miało oprawę i ceremoniał wojskowy taką, jak otwarcie cmentarzy polskich w Charkowie i Katyniu.

Miednoje zamyka tryptyk katyński. W tych trzech miejscach pamięci narodowej spoczywają szczątki ok. 15 tys. polskich oficerów rozstrzelanych przez NKWD w 1940 roku. Nie wiadomo jeszcze, gdzie znajdują się pozostałe 7,3 tys. ofiar, które zostały zamordowane na mocy tej samej decyzji, co w Katyniu.

Senat USA jednomyślnie uchwalił rezolucję o uczczeniu pamięci polskich oficerów i cywilów zamordowanych w Katyniu i innych miejscach masowych mordów stalinowskich dokonanych masowo na Polakach w kwietniu i maju 1940 roku. – Kongres wzywa wszystkich, aby pamiętali i czcili ofiary tego mordu i inne ofiary komunizmu, aby takie zbrodnie nigdy się nie powtórzyły – czytamy m.in. w uchwale Senatu USA.

W Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych, znanych z odlewów wielu monumentów, odbyła się uroczystość pożegnania pomnika „Katyń 1940”, który niebawem opuści Polskę i stanie w Baltimore w USA.

Pielgrzymka Narodu Polskiego

Prezydent, premier, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz ponad 30 tys. Polaków, a wśród nich wielu kresowiaków, także z wschodniej granicy uczestniczyło w Narodowej Pielgrzymce Wielkiego Jubileuszu 2000 r. do Rzymu.

Najważniejszym wydarzeniem tej pielgrzymki była msza św. na placu św. Piotra z udziałem Jana Pawła II oraz audiencja papieska tylko dla Polaków. Samolotem prezydenta RP przyleciała do Rzymu grupa Polaków aż z Sankt Petersburga.

Obecnie na Światowym Zlocie Młodzieży z okazji Jubileuszu 2000 r. przebywa w Rzymie ok. 40 tys. młodych Polaków i Polek – z kraju i zza granicy. Są po młodych Włochach i Francuzach największą narodowościową grupą młodzieży przybyłą ze wszystkich stron świata na ten historyczny zlot.

Powrócą pomniki i tablica – a lwy?

W Warszawie odbył się ostatnio polsko-ukraińskie rozmowy na temat odbudowy Cmentarza Orłąt Lwowskich. Stronę polską reprezentował Andrzej Przewoźnik, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a ukraińską Petro Sardarczuk, wiceminister spraw zagranicznych. Ustalono, że zniszczone katakumby zostaną odbudowane, na cmentarz powrócą pomniki Lotników Amerykańskich i Piechurów Francuskich oraz tablica z napisem uzgodnionym w 1998 r.: „Nieznany żołnierzom polskim, poległym w walce o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej w 1918-1920 r.”.

Zostały do rozstrzygnięcia jeszcze pewne kwestie, na przykład sprawa figur lwów, które stały kiedyś u wejścia na Cmentarz Orłąt Lwowskich. Chcemy żeby powróciły na cmentarz, ale strona ukraińska tego nie chce. nierozstrzygnięta jest też nadal kwestia przeniesienia zachodniej bramy z Cmentarza Łyczakowskiego na Cmentarz Orłąt – powiedział dziennikarzom po rozmowach Andrzej Przewoźnik.

Podczas warszawskiego spotkania dyskutowano także na temat ukraińskiego cmentarza wojkowego w Pikulicach pod Przemyślem. Przemyśkie władze zezwoliły 4 lipca br. na jego rozbudowę. Uzgodniono, że napisy na tablicach upamiętniających pochowanych tam Ukraińców będą wyłącznie w języku ukraińskim.

Na tym cmentarzu pochowano ostatnio szczątki 47 członków UPA, ekshumowanych z mogił pod Birczą i Liszną (Podkarpacie). Większość z nich zginęła 7 stycznia 1946 r., podczas nieudanego ataku na stacjonujące w Birczy wojsko polskie, pozostali zostali rozstrzelani w 1947 r. z mocy wyroku sądu wojkowego. Po wieloletnich staraniach Związku Ukraińców w Polsce ich szczątki ekshumowano z terenów prywatnych posesji. Bliscy zabiegali, aby zostały pochowane na dawnym grecko-katolickim cmentarzu w Starej Birczy, ale lokalne władze nie zgodziły się. Ekshumowane prochy bojowników UPA przechowywano do obecnego pochówku w rzeszowskim Zakładzie Medycyny Sądowej.

Z ostatniej chwili: Niewiele dni upłynęło od zakończenia w Warszawie na szczęblu rządowym polsko-ukraińskich rozmów w sprawie dokończenia odbudowy Cmentarza Orłąt Lwowskich – przerywane incydentami i prowokacjami ukraińskich nacjonalistów – a już we Lwowie rozległy się oburzone głosy kwestionujące te ustalenia (nb. uzgodnione już dwa lata temu i podpisane przez władze samorządowe Lwowa i Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa). Dyrektor Cmentarza Łyczakowskiego, znany nam dobrze p. Hawryszkiewicz powiedział, a widzieliśmy i słyszeliśmy to w TV: – Nie będzie nam minister, nawet spraw zagranicznych, w Kijowie kazać, co mamy, a czego nie mamy robić we Lwowie. Jeśli odbudowywany Cmentarz Orłąt (czyt. Polacy) nie usuną antyukraińskich napisów na kolumnadzie i płycie Nieznanego Żołnierza – to sami usuniemy...

Można się było tego spodziewać po p. Hawryszkiewiczu, ale sądziliśmy tym razem, że ustalenia z wiceministrem spraw zagranicznych Ukrainy są ważniejsze niż widzimisię „dyrektora” cmentarza we Lwowie... Ciekawe, co o tym sądzą w Kijowie?

Zbrodnia i pamięć

4 lipca 1941 roku o świcie we Lwowie hitlerowcy rozstrzelali na Wzgórzach Wuleckich grupę polskich uczonych-profesorów lwowskich uczelni wraz z członkami ich rodzin. Stanowili kwiat polskiej inteligencji na b. Kresach II RP. Co roku w rocznicę tej zbrodni lwowiacy zamieszkali we Wrocławiu spotykają się przy Pomniku Pomordowanych Profesorów Lwowskich wzniesionym przez społeczeństwo Wrocławia w hołdzie ich pamięci.



Fot. M. R.

Także i w tym roku przed monumentem martyrologii polskich uczonych stanęła warta honorowa WP, poczty sztandarowe organizacji kresowych i kombatanckich Armii Krajowej obszaru lwowskiego. Przedstawiciel Zarządu Głównego TMLiKPW Emil Teśluk przypomniał okoliczności zbrodni sprzed 59 laty. Wyraził też życzenie wrocławskiego środowiska kresowego, aby władze niepodległej Ukrainy udzieliły zezwolenia na wzniesienie na miejscu kaźni lwowskich profesorów pomnika podobnego, jak tu nad Odrą. W imieniu pracowników naukowych wrocławskich wyższych uczelni przemawiał prorektor Politechniki Wrocławskiej, prof. Ludomir Janowski.

Następnie prezesi Zarządu Głównego i Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW – A. Kaminski i K. Karbownik oraz wrocławskich klubów TMLiKPW „Leopolis” i „Orłąt Lwowskich” oraz organizacji kombatanckich złożyli u stóp pomnika wiązanki kwiatów i zapalili znicze. Hołd pamięci pomordowanym profesorom lwowskim oddali także rektor Wyższej Szkoły Oficerskiej im. T. Kościuszki, gen. dyw. Ryszard Lackner, rektor Ak. Medycznej prof. Leszek Paradowski, prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, Szczepan Siekierka, wrocławscy radni i lwowiacy osiedli nad Odrą, a wśród nich 83-letnia druhna Wanda Tomaszewska.

11 lipca we wrocławskim kościele NMP na Piasku odbyła się rocznicowa msza św. w intencji ofiar pomordowanych przez ukraińskich nacjonalistów spod znaku UPA. Przejmujące kazanie wygłosił ks. dr Zygmunt Warmański. 11 lipca 1943 r. na Wołyniu zamordowano kilkanaście tysięcy Polaków. Palono całe wsie, kościoły, nie oszczędzając nawet dzieci, które tej niedzieli przystępowały do sakramentu Pierwszej Komunii. Tego dnia na Wołyniu zginęło z rąk banderowców 150 polskich księży.

Po nabożeństwie delegacje organizacji kresowych i kombatanckich, z pocztami sztandarowymi na czele,

liczni wrocławianie udali się przed wzniesiony w ub. roku Pomnik Pomordowanych przez Ukraińskich Nacjonalistów. Złożono kwiaty, zapalono znicze.

W duchu tylko prawdy

Z kronikarskiego obowiązku odnotowujemy o V Światowym Zgromadzeniu Kresowian, które odbyło się w lipcu w Przemyślu. Uczestniczyli w nim przedstawiciele organizacji kresowych z kraju, Europy, Kanady, USA i Australii oraz kresowianie, którzy nigdy nie opuścili dawnych ziem wschodnich Polski, głównie z Ukrainy. W organizacji zgromadzenia nie pomogły i nie uczestniczyły władze zarówno miejscowe jak i wyższego szczebla. Odwołane także zostało uczestnictwo kompanii honorowej WP w uroczystościach w Birczy i pod Pomnikiem Orłąt Przemyskich.

Nie było ekscesów antyukraińskich, choć w środowisku kresowym powtarzane jest przeświadczenie, że pojednanie z narodem ukraińskim powinno się odbyć w „duchu prawdy i tylko prawdy”. Padły głosy, by do dyskusji o wspólnej tragicznej historii zasiedli przy jednym stole przedstawiciele Kresowian oraz Kongresu Nacjonalistów Ukraińskich.

W przyjętych uchwałach Kresowianie wezwali polski parlament do podjęcia rezolucji, że zbrodnie nacjonalistów ukraińskich i litewskich dokonane na ludności polskiej w latach 1939-1947 są ludobójstwem, – Nie ziejemy nienawiścią do narodu i państwa ukraińskiego. Musimy zacząć współpracować, ale wszyscy muszą zrozumieć, że na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej w latach 1939-1947 dokonano eksterminacji narodu polskiego – powiedział Szczepan Siekierka, prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów.

Wezwano rząd także do renegocjacji umów między państwowych zawartych z rządem Litwy, Białorusi i Ukrainy w 1944 r., dotyczących rekompensat za utraczone mienie przez osoby wysiedlone.

Senat rozszerza ustawę repatriacyjną

Przyjęta 20 lipca przez Sejm ustawa repatriacyjna objęła jedynie Polaków z byłych republik azjatyckich ZSRR. Senat zdecydował, że poza Polakami z tych republik możliwości repatriacji będą mieli także nasi rodacy z państw powstałych po rozpadzie ZSRR, z dawnej Czechosłowacji i Rumunii. Senat zdecydował też, że w ciągu 60 dni od momentu ogłoszenia ustawy rząd powoła pełnomocnika ds. repatriacji, który będzie odpowiadał za realizację ustawy, przygotowywał i zorganizuje sprawną i szybką repatriację.

Senatorowie postanowili, że rodakom, którzy przyjadą do Polski z b. republik azjatyckich ZSRR, państwo będzie musiało zwrócić koszty poniesione na remont lub adaptację przyznanych mieszkań. Pozostali repatrianci będą mogli otrzymać z budżetu częściową pomoc, jeśli okaże się, że są w trudnej sytuacji. Chcą też, aby gmina otrzymała od państwa zwrot pieniędzy, jakie wydał na zapewnienie mieszkania repatriantowi.

Honorowy obywatel Wrocławia

Legendarny kurier i emisariusz z czasów II wojny światowej, długoletni dyrektor polskiej sekcji Radia Wolna Europa, polityk, publicysta, Jan Nowak Jezio-



Jan Nowak-Jeziorański odbiera z rąk przewodniczącego Rady Miejskiej, Jarosława Obremskiego, dyplom Honorowego Obywatela Wrocławia

rański otrzymał w dniach obchodów Millenium Wrocławia tytuł Honorowego Obywatela tego miasta.

– Jestem szczęśliwy i dumny, że zostałem jednym z obywateli Wrocławia. Pierwszy raz zawitałem do tego grodu nad Odrą w 1989 roku i już wtedy spotkałem się z bardzo silnym lokalnym patriotyzmem – mówił dziennikarzom Jan Nowak Jeziorański. – I dziś jestem oczarowany tym, że w ciągu niedługiego okresu Wrocław wychował sobie ludzi z tak silnym poczuciem więzi z miastem i regionem. Metamorfoza, jaka dokonała się we Wrocławiu w ciągu tych ostatnich lat, jest dla kogoś z zewnątrz czymś oszałamiającym. Z roku na rok coraz więcej kawiarenek, odnowionych kamienic, katedra odzyskała helmy, a nocna iluminacja Rynku to prawdziwe arcydzieło!

Rada Miejska przyznała także nagrodę miasta Wrocławia Sylwestrowi Chęcińskiemu, reżyserowi filmu „Sami swoi”, popularnego nie tylko w środowisku kresowym, a Wojciechowi hr. Dzieduszyckiemu – Honorowy Medal m. Wrocławia. Tytuł Honorowego Obywatela miasta nasz Tunio otrzymał już wcześniej.

Wszystkim serdecznie gratulujemy tych zaszczytnych wyróżnień.

Platerówki odzyskały cześć

Samodzielny Batalion Kobiety im. Emilii Plater powstał w Siedlcach nad Oką w 1943 r. wraz z tworzącą się wówczas I i II Armia Wojska Polskiego. Platerówki, bo tak je nazywano, były żołnierzami piechoty, uzbrojone, pełniły służbę wartowniczą, ochraniały transporty z zaopatrzeniem, konwojowały jeńców. 70 z nich poległo w czasie działań wojennych, a 100 wykazało się bezprzykładowym męstwem, co zostało uhonorowane wysokimi odznaczeniami bojowymi.

Szlak wojenny platerówek zakończył się w Warszawie. Część z nich tam pozostała, ale większość osiedliła się – w ramach osadnictwa wojskowego – na ziemiach odzyskanych by móc sprowadzić ze Wschodu swoich najbliższych, założyć rodzinę. Miejscowość, gdzie rozpoczęły cywilne życie, nazwały Platerówką. Broniły tej nazwy, kiedy władze administracyjne chciały ją zamienić na inną. Dziś w Platerówce żyją jeszcze tylko 33 „platerki” i kilkanaście w głębi kraju. Najmłodsza ma 75 lat. I oto u kresu swego niełatwego życia

dowiedziały się z książki Henryka Piecucha pt. „Tajna historia Polski. Od Bieruta do Ochaba”, mającej ambicje demaskatorskie, że ich batalion powstał w celu „... świadczenia usług seksualnych na froncie.” Był „przefrontowym burdelem, a jego żołnierki ofiarami stalinowskich represji seksualnych. Niektóre tak się przyzwyczaiły, że poddawały się im jeszcze po wojnie.”

Mocno napisane. I podle. Sterane życiem platerówki załamały się. Poczuty się życiowo przegrane. Ale nie wszystkie. Do głębi oburzone ich batalionowe koleżanki zamieszkałe w Warszawie wystąpiły z oskarżeniem przeciw autorowi oszczerczej książki. Sprawa wlokła się w stołecznym sądzie. Wreszcie 27 lipca br. sąd uznał, że: nie ma dowodów, że platerówki świadczyły usługi seksualne na froncie, a ich batalion powstał w tym celu. Uznał Henryka Piecucha winnym przestępstwa znieważenia czci platerówek i skazał go na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata, grzywnę i nawiązkę.

Platerówkom przywrócono cześć. Ale „demaskatorska” książka „poszła w świat”, ludzie ją czytają...

VI Dni Lwowa nad Odrą

Tegoroczne, już szóste z kolei, Dni Lwowa we Wrocławiu (18-19 czerwca) miały inną, niż dotychczas oprawę. Odbływały się bowiem w ramach obchodów 1000-lecia Archidiecezji Wrocławskiej i Millenium piastowskiego grodu nad Odrą. Z okazji tych wielkich jubileuszy Wrocław, odświętnie przystrojony, gościł znakomite osobistości – Prymasa Polski i zagranicznych purpuratów, Prezydenta, Marszałków Sejmu i Senatu oraz premiera RP. Delegacje zagraniczne miast partnerskich i zaprzyjaźnionych, m.in. po raz pierwszy ze Lwowa. Znanych artystów, ludzi nauki, pisarzy, jak np. Norman Davies, który podjął się napisania historii Wrocławia od jego zarania, aż do czasów nam współczesnych (mamy nadzieję, że nie zabraknie w niej o wkładzie lwowiaków i kresowiaków w podniesieniu z ruin i zasiedleniu miasta).

Odbływało się dziesiątki imprez, zorganizowano liczne ekspozycje jubileuszowe. Niektóre z nich mają akcenty kresowe: np. wystawa „Kościoły na Kresach dawnej Rzeczypospolitej” we wrocławskim Muzeum Archidiecezjalnym, jest ich wiele na wielkiej wystawie „Wrocław 2000 Moje Miasto” i rzucają wprost się w oczy. Już przy wejściu wita wchodzących ogromna fotografia panoramy Lwowa, placu św. Ducha, frontony lwowskich kościołów, a nad nią napis: Lwów – miasto, z którego przybędzie nad Odrę „Ossolineum”, Panorama Racławicka, profesorowie... W głębi wystawy są powiększone wycinki z prasy wrocławskiej o przyjeździe, 21 lipca 1946 r., specjalnego pociągu z częścią zbiorów lwowskiego „Ossolineum” oraz Panoramą Racławicką, zdjęcia lwowskich naukowców, którzy tu, zaraz po zakończeniu wojny, tworzyli polskie, wyższe uczelnie: Uniwersytet, Politechnikę, Akademię Medyczną i Weterynaryjną i inne, stawiali się ich rektorami, dziekanami, profesorami zwyczajnymi... To wszystko nadało inny, szerszy wymiar tegorocznym Dniom Lwowa we Wrocławiu, ich rangę w obchodach milenijnych. W VI Dniach Lwowa świętowaliśmy Millenium Wrocławia w poczuciu wielkiego wkładu lwowiaków i kresowian w odbudowę i rozwój tego miasta. Że jesteśmy



wciąż liczącą się i szanowaną większością w wrocławskiej społeczności, a nasze coroczne Dni Lwowa – jedyne Dni we wrocławskim kalendarium – są tego symbolem. Staramy się, żeby były tym samym dla naszych następców.

Preludium do tegorocznych Dni Lwowa nad Odrą – organizowanych przez Oddział Wrocławski TMLiKPW oraz Fundację Kresową „Semper Fidelis”, był tradycyjnie już także VI-ty, Młodzieżowy Rajd Szlakiem Zabytków Lwowa we Wrocławiu, zakończony Finałem Wiedzy o Lwowie. W tym roku szlakiem zabytków wędrowało już 20 drużyn, dokumentując swoją trasę wcześniej przygotowaną wiedzą, a w finałowym Konkursie Wiedzy o Lwowie startowało 57 dziewcząt i chłopców w wieku szkolnym. To cieszy. Przebieg obu tych imprez, ich poziom, wyniki zwycięzców opisała już Danuta Nespiak w poprzednim numerze „SF”. Podpisuję się pod jej krytycznymi uwagami pod adresem wrocławskich mass mediów, które nie zauważają imprez (nie chcą?) o tematyce kresowej, mających walor wychowawczo-patriotyczny. Podzielam także jej refleksje na ten temat. Mam propozycję do organizatorów tych rajdów i konkursów wiedzy o Lwowie: zaproszenie do udziału w nich młodzież szkolną z innych miast. Ułatwicie im start, dzieląc się bogatym doświadczeniem. Niech spróbują, Marzy mi się, żeby wrocławski Młodzieżowy Rajd Szlakiem Zabytków Lwowa we Wrocławiu stał się kiedyś ogólnopolskim. Doprawdy wart tego, żeby go wypromować. Wówczas nie martwiłbym się, kto nas zastąpi...

Inauguracja VI Dni Lwowa we Wrocławiu, nad którymi patronat honorowy objął minister kultury i dziedzictwa narodowego Kazimierz Michał Ujazdowski, odbyła się w sobotę 18 czerwca podczas otwarcia w Dolnośląskiej Bibliotece Pedagogicznej wystawy pt. „Imię moje tak przeszło jako błyskawica...”, poświęconej Juliuszowi Słowackiemu. Składało się na nią kilkadziesiąt kolorowych fotografii miejsc na Kresach, gdzie żył i tworzył nasz wielki romantyczny Wieszcz, wykonanych przez członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Wileńskiej w Poznaniu podczas wycieczek za wschodnią granicę. Bibliotekarki DBP uzupełniły fotogramy pracami poety, które w tych miejscach powstały. Dzięki temu pomysłowi wystawa stała się niezwykle interesująca i dyrektor biblioteki, p. Danuta Skibińska zbierała zasłużone gratulacje. Zaproszonych gości, wrocławskich lwowiaków powitał serdecznie prezes Zarządu Głównego TMLiKPW Andrzej Kaminski, a prezes Oddz. Wro-



clawskiego TMLiKPW Krystyna Karbownik i dyrektor Fundacji „Semper Fidelis” Danuta Tabińska-Juhasz poinformowały o imprezach towarzyszących VI Dniom Lwowa nad Odrą. Oficjalnego otwarcia wystawy, w imieniu nieobecnego (pilny wyjazd) ministra K. M. Ujazdowskiego dokonał dyrektor Zakładu Narodowego „Ossolineum” dr Adolf Juzwenko, zapoznając zebranych z twórczością i ważniejszymi fragmentami życiorysu Juliusza Słowackiego. Danuta Nespiak przeczytała kilka wzruszających listów poety do matki. Żałujemy, że w tej kameralnej inauguracji VI Dni Lwowa nie mógł uczestniczyć polski chór Towarzystwa Kultury Polskiej im. J. Słowackiego w Krzemieńcu, który na zaproszenie PCK w Lwówku przyjechał na Dolny Śląsk.

Tego dnia wieczorem, zamiast koncertu galowego, odbył się koncert charytatywny „Wrocław dla Lwowa” i nie w śródmieściu, lecz w osiedlowym Centrum Kultury Zamek w Wrocław-Leśnicy. Organizatorami i gospodarzami byli miejscowi działacze TMLiKPW – Zosia Puchała i jej „Ferajna”. Nie zawiodły ich „lwowskie gwiazdy estrady”: Wojciech hr. Dzieduszycki, czyli Tunio i Hania Damm, którzy zaśpiewali oddzielnie i razem arie operowe i piosenki do słów lwowskiego poety Hemara, bawili wdziękiem i elokwencją. Wrocławski bard kresowy Andrzej Bartyński recytował jak zawsze sugestywnie swoje wiersze o Lwowie, pełne tęsknoty za miastem jego młodości. Akompaniowali im Bożena Wrzosek i Jerzy Jankowski. Potem wystąpili laureaci jeleniogórskich Spotkań z Piosenką Lwowską i Kresową – solistka Danuta Brzezicka i pełen młodzieżowej werwy zespół „Paka Buziaka”. Wspaniale zaśpiewali w bałaku popularne lwowskie szlagiery. Podobali się też laureaci z Leszna – Daria Matecka i Marek Dworniczak. Ze śpiewem i tańcem wystąpili najmłodsi wykonawcy – „Orliki” z Prywatnej Szkoły „Alis” we Wrocławiu. No i, oczywiście, Zosia Puchałowa ze swoją „Ferajną” przebraną za lwowskie Dziunie i łyczakowskich batiarów. Koncert zakończył występ kilkudziesięcioosobowego chóru leśnickich seniorów i seniorów „Dumka”, którzy bardzo pięknie zaśpiewali pełne smutku i nostalgii pieśni kresowe i patriotyczne. Publiczność gorącymi brawami podziękowała wykonawcom za uroczy wieczór. Wychodzący mogli jeszcze obejrzeć w kuluarach „Zamku” wystawę zdjęciową o tematyce kresowej – plon wypraw na Wschód miejscowych fotografików.

Dochód z tego koncertu charytatywnego – ponad 1000 złotych – niezwłocznie przekazano do Lwowa najbardziej potrzebującym pomocy rodakom.



Recital Hanny Damm

W niedzielę, 19 czerwca, w kawiarni Dworu Polskiego odbyła się aukcja dzieł sztuki: obrazów olejnych, grafiki, ceramiki oraz ze szkła i metalu ofiarowanych Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” przez kilkudziesięciu wrocławskich artystów – plastyków, ceramików i rzeźbiarzy, dla zdobycia funduszy na cele charytatywne. Nabywców znalazła tylko część prac. Pozostałe, po uzupełnieniu kolekcji, będą ponownie wystawione na aukcji, a uzyskane złotówki przekazane znajdującym się w trudnej sytuacji życiowej starym i schorowanym rodakom we Lwowie i Stanisławowie. W ich imieniu organizatorzy aukcji – Fundacja Kresowa „SF” dziękuje wrocławskim artystom plastynom za dar serca. Nadal go przyjmie w każdej formie.

Ostatnim punktem programu VI Dni Lwowa we Wrocławiu była FREDROWIADA – impreza z okazji 207 rocznicy urodzin Aleksandra hr. Fredry przy Jego pomniku stojącym na wrocławskim Rynku. Mistrzem ceremonii był znany aktor, miłośnik lwowskiego komediopisarza, Stanisław Wolski. „Przekazywał” spiżowemu jubilatowi siedzącemu na postumencie życzenia składane przez wrocławskich lwowiaków, wielki tort urodzinowy ofiarowany przez Tadeusza Szczyrbaka od Chrześcijańskiej Demokracji III RP, pilnował też sprawiedliwego podziału go na porcje, którymi – w imieniu Jubilata – obdarowywał składających Mu życzenia. Przejętemu swoją rolę Stasiowi asystowali aktorzy z Kompanii Fredrowskiej i kabaret „Ferajna”. Zabawa była przednia, a chętnych na kawałek tortu orzechowo-makowego tyłu, że nawet i dziesięć takich by niewy-



Fot. Mariusz Czulczyński

Hrabia Fredro na 207 urodziny dostał od Tadeusza Szczyrbaka makowo-orzechowy tort. W tle Stanisław Wolski.

starczyło! Pan Aleksander patrzył na to z góry z pobłażaniem i ironicznie się uśmiechał... A może mi się tylko tak zdawało.

Kolorowo ubrana „Ferajna” jeszcze długo grała i śpiewała lwowskie szlagiery na Rynku, odwiedzała ogródki kawiarniane. W jednym z nich, przy „Karczmie Lwowskiej”, spotkała prezydenta Wrocławia Bogdana Zdrojewskiego, który tu „u swoich” (także ma kresowe korzenie po rodzicach) odpoczywał po milenijnych imprezach. Zaśpiewali mu i zagrali najładniejsze nasze szlagiery. Prawdziwy koncert odstawili! Zachwycony prezydent ofiarował w podziękę każdemu członkowi kabaretu „Ferajna” książkę „Przysmaki kuchni lwowskiej” z osobistą dedykacją. – To największa nagroda, jaką dotychczas otrzymałam, że tę moją chebre lwowską nauczyłam śpiewać... – zwierzyła mi się wzruszona Zosia Puchałowa. I wraz ze swoją lwowską ferajną udała się w progi „Karczmy Lwowskiej”, by – na zaproszenie jej właściciela, p. Flisa, z okazji Dni Lwowa – degustować przysmaki lwowskie jego kuchni...

I ja tam byłem, kışkę podsmażamą jądłem i piwem „Lwowskim” zapijałem.

To był finał VI Dni Lwowa nad Odrą.

Na obchody milenijne przybyła do Wrocławia, po raz pierwszy, oficjalna kilkunastoosobowa delegacja Rady Miasta Lwowa, której przewodniczył wiceprezydent Lwowa Wasyl Bilous. Władze miasta Wrocławia, znając stanowisko Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW o po-

trzebie nawiązania współpracy między naszym miastem a Lwowem (z wcześniejszych pisemnych wystąpień) zorganizowały spotkanie w tej sprawie. Odbyło się 24 czerwca br., a uczestniczyli w nim członkowie delegacji Rady Miasta Lwowa: wiceprezydent Lwowa Wasyl Bilous, sekretarz tego urzędu Aleksiej Semjanzyn, kurator oświaty we Lwowie Stepan Lyndas oraz radni – Oleg Matwijiszyn, Michajło Zadożnyj i Mykoła Hembrar, a ze strony władz miejskich Wrocławia: przewodniczący Komisji Współpracy z Zagranicą Bogusław Litwiniec i członek tej Komisji Zbigniew Magdziarz. Związek Ukraińców w Polsce reprezentowali: przewodniczący Zarządu Oddziału we Wrocławiu Igor Salamon oraz kilku członków zarządu. Oddział Wrocławski TMLiKPW – prezes zarządu Krystyna Karbownik i członek zarządu Zbigniew Berling. W spotkaniu uczestniczyło dodatkowo dwóch księży ukraińskich.

Rozmowom przewodniczył Igor Salamon. Witając przedstawicieli TMLiKPW wyraził radość z ich obecności i nadzieję na lepszą współpracę w przyszłości. Przedstawiciele władz Lwowa zadeklarowali poparcie dla wszelkich inicjatyw w tym zakresie. Szczególnie duże uznanie wzbudziły projekty współpracy kulturalnej i młodzieżowej. Akcentowano potrzebę bezpośrednich kontaktów między poszczególnymi instytucjami, które pragną nawiązać współpracę. Porozumienia o rodzaju, zakresie i formach współdziałania powinny zawierać bezpośrednio między sobą, np. teatry, zespoły artystyczne, szkoły, organizacje społeczne, firmy turystyczne itp. Kurator oświaty we Lwowie, p. Stepan Lyndasa mówił o potrzebie wychowywania młodego pokolenia w duchu przyjaźni i braterstwa dwóch słowiańskich narodów sąsiadujących ze sobą.

Dla stworzenia lepszej płaszczyzny współpracy organizacji pozarządowych między Lwowem i Wrocławiem, padła propozycja ze strony Związku Ukraińców we Wrocławiu, żeby we Lwowie powstało np. Towarzystwo Miłośników Wrocławia. Ta organizacja mogłaby na miejscu upowszechniać opinię o potrzebie współpracy z Wrocławiem, tworzyć grupy nacisku na lokalne władze w celu ułatwienia kontaktów, a także bezpośrednio współpracować z TMW.

Na spotkaniu panowała miła atmosfera, rozmowy toczyły się przeważnie w języku ukraińskim, bo część gości nie знаła naszego języka. Niektóre wypowiedzi były po polsku. W trakcie obrad W. Bilous, B. Litwiniec i Z. Magdziarz musieli opuścić zebranych i udać do Ratusza na wcześniej zaplanowane spotkanie.

Na zakończenie oficjalnej części spotkania padły zapewnienia o konieczności współpracy nie tylko między Wrocławiem i Lwowem, lecz także między Związkiem Ukraińców w Polsce a Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Goście ze Lwowa zapraszali do odwiedzin w ich mieście (i naszym mieście o czym chyba zapomnieli!!!).

Wakacje w Polsce

Tradycyjnie, w okresie wakacji, oddziały TMLiKPW w całym kraju goszczą dzieci i młodzież polską i z małżeństw mieszanych zza wschodniej granicy. Umoż-

liwiają im dobry wypoczynek, wyżywienie, zwiedzanie ojczyzny i miłe rozrywki. Starają się im także pomóc w lepszym opanowaniu języka polskiego, poprzez naukę oraz kontakty towarzyskie z polskimi rówieśnikami. Na odjezdnym obdarowują przyborami szkolnymi, sportowymi, książkami no i oczywiście słodyczami. Wyjeżdżają z żalem...

Dziewiętnastoletni dzieci w wieku 10-ciu lat z Sasjadowic k/Sambora przebywały ostatnio dwa tygodnie na wakacjach w ośrodku rekolekcyjnym w Sulistrowicach, nieopodal Wrocławia. Opiekowały się nimi panie Jadwiga Krzyżowicz i Maria Mikulasz, które przyjechały z dziećmi oraz Janina Tomala z Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW, organizatora letniego wypoczynku naszych małych rodaków pochodzących z biednych rodzin. Dodatkowo zatrudniono nauczycielkę do prowadzenia z nimi wybranych zajęć – z języka polskiego, historii, geografii i uczyły się także polskich piosenek artystycznych. Szczególnie ważne były dla nich ćwiczenia z polskiego, bo dopiero w tym roku udało się ich rodzicom zorganizować im na miejscu dodatkowo naukę ojczyźnego języka – ale tylko raz w tygodniu oraz po jednej lekcji historii i dla starszych geografii. Na więcej ich bowiem nie stać.

Organizatorzy zadbałi, żeby dzieciom zapewnić dobre i obfite wyżywienie wzbogacone słodyczami i sokami od sponsorów. Nie brakowało im także atrakcji. Wędrowali po Masywie Ślęży i Górach Stołowych, zwiedzili Błędne Skąły, Strzeliniec, Wambierzyce, uzdrowiska w Kotlinie Kłodzkiej. Poznali również Wrocław, obejrzeli Panoramę Racławicką, byli w ZOO. Wielką frajdą była dla nich przejażdżka tramwajem „Jaś i Małgosia”. Serdeczną opieką otoczył kolonię, nie szczędząc czasu i środków, proboszcz miejscowej parafii, ks. kanonik Ryszard Staszak oraz parafianie.

Za dodatkowe środki finansowe kupiono uczestnikom kolonii obuwie (adidasy), koszulki sportowe, czapeczki, kilka piłek, zestawy do badmintonu i tenisa stołowego. Wyposażono w zeszyty, książki, długopisy i w rzeczy osobiste pochodzące z darów. Dzieci wyjeżdżały obładowane i bardzo szczęśliwe. Wszystkie chciałyby przyjechać tu w przyszłym roku. Może się uda, a więc – do zobaczenia!



Fot. Sławomir Wiśniewski

Uczestnicy kolonii w Sulistrowicach podczas zajęć z języka polskiego

Niełatwo być ze Lwowa

(piosenka)

Los grał nami tak jak w karty,
wiatr rozgonił nas jak liście,
mroz nas mroził nie na żarty,
a deszcz moczył nas rzęsiście.
Myśmy przecież też tam byli,
a dziś dokąd drogi nasze?
Myśmy coś tam zostawili:
nasze „wierzę”, „ojczenasze”.
Ref. Bo niełatwo być ze Lwowa
gdzieś nad Odrą, gdzieś nad Wisłą,
bo kazali nam pochować,
to co było nade wszystko.
Bo kazali nam na zawsze
wieki, lata, coż to znaczy?
Losy świata są łaskawsze,
jeśli umiesz też wybaczać.
Łez któreśmy już wylali
nikt nie zliczy – to nieważne,
myśmy stamtąd pochowali
nasze myśli wciąż odważne.
I to myśmy próbowali,
gdy pogoda – wzrok w tę stronę...
Myśmy stamtąd coś zabrali,
tam nie wszystko już stracone.

15 I 1999



Zofia Żółkiewicz

Lwów – Persenkówka – moje dzieciństwo i młodość

Miejscem mojego dzieciństwa było przedmieście Lwowa, zwane Persenkówką przedzielone na dwie części stacją kolejową.

Mój dom rodzinny mieścił się po tej stronie Persenkówki bliżej miasta. Naprzeciw pięknej dzielnicy willowej pod nazwą Nowy Lwów. Również w pobliżu bardzo przyjemna długa ulica zwana Własną Strzechą, gdzie naprzeciw siebie, po jednej i drugiej stronie ulicy stały jednakowe, piętrowe domy, takie prywatne własne strzechy, stąd nazwa tej ulicy. Każdy dom stał pośrodku otaczającego go ogrodu. Po jednej stronie Własnej Strzechy też długa ulica, z wysokimi kilkupiętrowymi kamienicami, nazwana ulicą Nad Jarem, bo położona była nad nawet dosyć stromym jarem. Mój dom od tych ulic był także przedzielony pagórkami, dolinami, bo ta część Lwowa, jak i zresztą inne przedmieścia, a także i Lwów – oprócz samego centrum miasta, jest terenem wzniesień, dolin i jarów, co właśnie stanowi jego wielce malownicze położenie.

Do centrum miasta mogłam iść trzema drogami. Albo przez uroczy park Żelazna Woda, który jest także górą parkową, lub przez śliczną Zofiówkę, gdzie niesymetrycznie postawiane domy, wśród sadów i ogrodów znajdowały się w takiej kotlinie otoczonej wzniesieniami. Albo, co najczęściej robiłam, przez Własną Strzechę do tramwaju nr 10 (którego przedkońcowy przystanek mieścił się tuż obok Lwowskiej Rozgłośni Radiowej, no i oczywiście naprzeciw Placu Powystawowego, czyli Targów Wschodnich).

Którąkolwiek z tych dróg szłam czy jechałam tramwajem, za kilkanaście minut mogłam być w centrum miasta Lwowa.

Dla mnie moja Persenkówka była piękna o każdej porze roku. Na wiosnę, kiedy zakwitła bielą sadów, bzami i jaśminami, a na moczarach źródłanych w dolinach i jarach była niebieską od niezapominajek i żółtą od kaczerców. Wzniesienia były pokryte też krzakami i zaroślami, pod którymi zawsze nabierałam mnóstwo poziomek.

I w lecie i w jesieni, kiedy drzewa sadów uginały się pod owocami, a grządki i zagony ogródków czerwieniły się od truskawek i malin. I taką różnorodnością kwiatów pachniało wszędzie.

I zima była dla mnie piękna na Persenkówce. Tam właśnie dzięki tym dolinom i wzniesieniom, nauczyłam się jeździć na nartach już od wczesnych lat dzieciństwa.

Persenkówka była otoczona takimi wspaniałymi obiektami, jak z jednej strony tor wyścigów konnych, w tamtych czasach bodajże jedyny wtedy w Polsce. A w sąsiedztwie, bardzo niedalekim, Krajowe Targi, znane jako Targi Wschodnie. I w dniach, kiedy te obiekty były czynne, miejsca te wprost „kipiały” życiem. I wówczas – w zależności od wiatru – muzyka dochodziła z wszystkich stron, orkiestra dęta z wyścigów konnych, a z Targów Wschodnich upojne melodie (śpiew Fogga do dzisiaj dźwięczy mi w uszach, właśnie stamtąd). Naprzeciw naszego domu, trochę w dali, za polami zbóż i dolinami, mieliśmy elektrownię i tam w takiej kotlinie odbywa-

ły się w każdą niedzielę festyny. Jak dodam do tego jeszcze częste przyjazdy „lunaparku”, przy końcu własnej Strzechy, to ilość rozrywek będzie pełna. Ja chyba miałam się urodzić chłopcem, bo wszędzie musiałam być, wszędzie mnie było pełno, jak często mówiła moja Mamusia: „Ciebie, gdzie nie posieje, tam ty wyrośniesz”; ale ja czułam się wszędzie jak u siebie w domu, bo też zwłaszcza Persenkówka była jak gdyby moim wielkim domem. Dzięki licznej wówczas rodzinie, co drugi, trzeci dom, to była jakaś ciocia, jakiś krewny, ktoś bliski. A tam za „sztрекą” była moja kochana Babcia z jej wielkim stuletnim sadem. Po tamtej też stronie torów kolejowych na Persenkówce, tuż przy torach wyścigowych, ciągnął się duży, piękny las, gdzie chodziłam z moimi ciociami na grzyby i zawsze na wiosnę na czeremchę, mój najbardziej ulubiony wiosenny krzew, w który ten las był pełny.

Moje bardzo szczęśliwe „sielko-anielskie” dzieciństwo nie miało trwać zbyt długo.

Pamiętam dzień, kiedy mój Tatuś przyszedł z miasta i coś zaczął mówić na temat wojny, o przewidywaniach jej rychłego wybuchu, coś na ten temat. Jeszcze wtedy nie bardzo rozumiałam o co to chodzi. Ale pojęłam, że może się stać coś, co zagraża naszemu domowi, mojej beztrosce. Pamiętam, że czmychnęłam wtedy do sąsiedniego mieszkania, upadłam na kolana i żarliwie, ze łzami w oczach, modliłam się, aby nie było tej wojny, abyśmy nie musieli uciekać z naszego domu.

No cóż, stało się inaczej, wojna wybuchła!

I jak wiadomo, naprzód okupacja bolszewicka, potem niemiecka, potem znowu przyszli „towarzysze”.

Niektórzy mieszkańcy Persenkówki i niestety nasi najbliżsi sąsiedzi, Rusini, stali się Ukraińcami. Przed wojną byli normalnymi sąsiadami, rozmawiali wyłącznie po polsku. Jak przyszli sowieccy, stali się patriotami ukraińskimi, a w czasie okupacji niemieckiej, w każdej chwili gotowi na usługi Niemców. W obydwu okresach wrogo nastawieni wobec Polaków, zwłaszcza tych, którzy posiadali więcej czegoś niż oni.

Moja Persenkówka już nie była taka radosna i wesoła. Święta nie obchodzono już tak hucznie. Wyścigi konne przestały istnieć. Targi wschodnie umilkły, pawilony zamienili bolszewicy na magazyny.

I tylko przyroda była piękna jak dawniej, o każdej porze roku.

Ja wkraczałam w wiek podlotka. I wiele zdarzeń, które wówczas miały miejsce, traktowałam po prostu jak przygody. Cóż, przywilej wieku. Teraz dopiero, z perspektywy czasu zdaję sobie sprawę, jakie to były bardzo niebezpieczne czasy, dni i chwile.

Parę razy uciekaliśmy z innymi sąsiadami Polakami przed Ukraińcami i nocowaliśmy w klasztorze przy kościele ojców karmelitów bosych na Persenkówce.

Na stacji kolejowej Persenkówki dosyć często zatrzymywały się transporty rannych żołnierzy sowieckich, powracających z frontu. Żołnierze ci zapraszani byli przez Ukraińców do domów, goszczeni i upijani, a potem rozochoceni i nabuntowani napadali na najbliższe polskie domy.

Nie ominęło to także i naszego domu. Dwa razy mieliśmy taką ich „wizytę”. Było to w zimie. W domu była tylko moja Matka ze mną i staruszką dziadkiem naszym, bo Ojciec mój akurat był w wojsku. I szczęście, że przed pójściem do wojska zrobił Tatuś okiennice w oknach na parterze domu. Tłukli i rąbali pijani żołdacy w te okiennice, które jakoś wytrzymały. To było tak pierwszy raz. A drugim razem udało się im wtargnąć do domu, drzwi były otwarte. Nie wiem dlaczego

pognali na pierwsze piętro domu, a my byliśmy na parterze. Tam zrobili istne spustoszenie. Swoje wyczyny znaczyli krwawo na wszystkich sprzętach, na schodach i potem na śniegu, bo rozwijały się im bandaże, które ciągnęli za sobą, a z ran ciekła krew.

I nie wiadomo jakby się to skończyło dla nas, bo ból potęgował w nich jeszcze większą nienawiść, gdyby nie interwencja żołnierzy mających swoje kwatery w ziemiankach na przyległych do naszego majątku polach.

Mieliśmy bowiem i takie sąsiedztwo, które czyniło niesamowite szkody. Niszczyli wszystko co popadło. Z naszego parterowego domu tak zwanej oficyny, zrobili sobie kuchnię polową. Wyrąbывали młode jeszcze wówczas drzewa owocowe, bo potrzebne im było drzewo na opał. Zniszczyli nam piękny żywopłot, skracając sobie drogę z ziemianki przez sad do swojej kuchni. I nic nie można im było powiedzieć, bo przecież oni nas „wyswobodzili”. Żołnierki przychodziły co raz do nas pożyczając jakieś naczynie, to garnek, to talerz, to znowu nóż czy łyżkę i oczywiście już tego nie zwracały, a my baliśmy się im odmówić tej „pożyczki”. I tak to wszystko trwało.

Okupacja niemiecka na Persenkówce nie dawała się tak bardzo odczuć, oni działali bardziej perfidnie, toteż nie wiedzieliśmy, jak bardzo byli dla Polaków niebezpieczni.

Z tego też powodu parę razy byłam bliska narażenia może i wielu osób na niebezpieczeństwo.

W tym czasie chodziłam oficjalnie do szkoły zawodowej gospodarczej, bodajże przy ulicy Piekarskiej we Lwowie, a nieoficjalnie na tajne komplety 1-szej gimnazjalnej ogólnokształcącej. Lekcje odbywały się w mieszkaniach prywatnych, za każdym razem gdzie indziej. Było nas sześć osób, ja i pięciu kolegów. Wędrowaliśmy tak nieomalże po całym centrum Lwowa. Nasza pani profesor mieszkała przy ulicy Dunin-Borkowskich, tj. boczna Listopada. Tam także parę razy mieliśmy lekcje.

Tramwaj nr 10 był bardzo często przepełniony, tym bardziej, że mało miejsca mieli Polacy, bo przecież pół tramwaju prawie w każdym to „nur fur Deutsche”. A ja na lekcje nie mogłam się spóźnić. Często więc wsiadałam do „nur fur Deutsche”, z zeszytami z tajnych kompletów pod pachą. Nie znałam jeszcze języka niemieckiego, nauczyłam się tylko mówić „przepraszam” i „dziękuję” i to właściwie mi wystarczało. Na zaczepki nie odpowiadałam, czym niestety często wzbudzałam podejrzenie u Niemców. Ale co mogli pomyśleć o mnie Polacy w tej „polskiej” części tramwaju? Widzieli mnie raz tu raz tam? Nigdy mi to nie przychodziło na myśl, ani nic innego, tak byłam nieświadoma skutków tego i trochę chyba „zadziorna”.

W czasie nalotów korzystaliśmy często – wraz z innymi wieloma ludźmi, Ukraińcami też – z długiego tunelu, kanału, mieszczącego się pod grubą warstwą, kilkunastometrową warstwą ziemi, na powierzchni której biegła szosa z Nowego Lwowa w kierunku Własnej Strzechy. Tunel, pośrodku którego płynęła woda, a właściwie ścieki z elektrowni, był w czasie okupacji niemieckiej również przedzielony na pół, połowa to „nur fur Deutsche”. Tam kryli się w czasie nalotów i Niemcy, którzy zamieszkiwali w kamienicach Nad Jarem.

Parę razy spaliśmy w tym tunelu-kanału, na materacach i pierzynach uprzednio zaniesionych do tego celu. Przeprężający ściek ludzie osłonili deskami, co wcale nie chroniło nas od bliskości szczurów, przepływających pod nami, których piski towarzyszyły nam od czasu do czasu.

Droga do tunelu wiodła nas zawsze przez kawał stromej drogi, przez pagórki w dół musieliśmy przebiec pod otlamka-

mi szrapneli w czasie nalotów. Wstyd mi się teraz do tego przyznać, ale ileż mi to sprawiało uciechy, jak się baby ukraińskie przewracały i katowały jak beczki – pełne strachu – do tego kanału. Nie było we mnie nienawiści, to uczucie było mi obce, ale tylko jakieś uprzedzenie do Rusinów, niechęć i bez troska lat.

Ale mieliśmy także szczęście natrafić na dobrą Ukrainkę i jej zawdzięczaliśmy życie. Było to w czasie okupacji niemieckiej. W domu naszym u jednej z lokatorek ukrywała się Żydówka, rzekomo – co obilo się o moje uszy – właścicielka jednej restauracji lwowskiej, której częstymi bywalcami byli przed wojną ci nasi lokatorzy. Trwało to nawet dosyć długo, aż pewnego dnia – widocznie an skutek nieostrożności tej osoby – zauważył ją Ukraińiec, mąż naszej drugiej lokatorki i postanowił o tym donieść na gestapo. Rodzice moi dowiedzieli się o tym od jego żony, także Ukrainki, która przerażona, przyszła moim rodzicom o tym oznajmić, że jej mąż zobaczył u nas Żydówkę i pójdzie na gestapo. Prosiła tylko ażeby nie zdradzić jej przed mężem, że nas o tym powiadomiła, ponieważ on ją zabije.

Wyobrażam sobie teraz, jak bardzo moi rodzice musieli być tym przerażeni, bo wiadomo, czym to groziło. Być może, że nieprzyznali się nawet do tego. W każdym razie byli bardzo wdzięczni tej Ukraince. A osobę pochodzenia żydowskiego nasza lokatorka gdzieś w nocy przetransportowała w inne, bardziej – być może – bezpieczne miejsce. Na jaka długo, nic nam już potem nie było wiadomo.

I tak miały dni, miesiące i lata pod jedną i drugą okupacją. Okres dla ludzi dorosłych pełen napięcia nerwowego, okres strachu i lęku.

Pewnego dnia w czasie okupacji bolszewickiej przeszła przez Persenkówkę, a raczej przejechała, wielka tragedia ludzka, której ja byłam naocznym świadkiem. Przez stację kolejową na Persenkówce przejeżdżały i zatrzymywały się wagony z transportem wywożonych ludzi – chyba na Sybir – do Rosji. Wagony bydlęce z małymi zakratowanymi okienkami na górze wagonów. A z tych okienek wyglądało kłębowisko głów i twarzy wyciągniętych rąk. I wagony – a było ich kilkanaście – jakby ruszały się od jęków czy szlochu i od czasu do czasu prośb, wołań o wodę i chleb.

Naokoło wagonów rosyjscy żołdacy chodzili z długimi pikami przed sobą, jak rozjuszony bestie. Było niemożliwe, absolutnie niemożliwe chociażby rzucenie kawałka chleba tym nieszczęśliwym ludziom.

Ja stałam wraz z innymi dziećmi – wprawdzie w znacznej odległości od tych wagonów – ale wszystko widziałam i słyszałam i byłam przerażona tym widokiem i nie mogłam tego pojąć, ni zrozumieć, co to wszystko znaczy, co to są za ludzie i dokąd oni jadą. Wagony stały na stacji krótko i odjechały. A mnie utrwalił się ten widok w pamięci i w oczach na całe życie!

A i dla nas już wkrótce miał się los zmienić, miał przestać być łaskawym. Dla mnie i dla moich rodziców, dla całej naszej rodziny licznej, a i dla Persenkówki też.

Ukraińcy coraz bardziej byli nienawistni i pewni siebie, prawie czuli się już panami polskiej ziemi na wschodzie. Coraz częściej słyszało się o morderstwach na Polakach w niedalekich od Persenkówki wioskach.

Naszemu sąsiadom Rusinom i Ukraińcom bardzo przeszkadzało nasze istnienie. Żyli w wielkiej przyjaźni i komitowie z rosyjskim wojskiem stacjonującym w ziemiankach na naszym polu. I bardzo często dawali nam do zrozumienia swoją niechęć wobec nas. W bardzo różny sposób.

Toteż i my nie byliśmy pewni jutra. Kiedy więc mój ojciec powrócił z wojska do domu, a został zwolniony z powodu choroby, natychmiast zaczął czynić starania w sprawie naszego wyjazdu ze Lwowa. Do naszego domu wprowadziliśmy młode małżeństwo, które akurat nie miało mieszkania, więc z radością przyjęli tę propozycję. Małżeństwo to było mieszane polsko-ukraińskie, co wcale ich nie uchroniło przed tym, że za dwa miesiące po naszym wyjeździe zostali wywiezieni na Sybir, a dom został zajęty przez sowieckiego oficera.

Byliśmy pierwsi, którzy wyjechali z Persenkówki. I tylko nadzieja rychłego powrotu trzymała moich rodziców przy zdrowych zmysłach.

Była to ucieczka przed tym, co mogło nas spotkać.

Było przedwiośnie 1945 roku. Zimno, padał deszcz ze śniegiem. Rodzina i sąsiedzi Polacy przyszli się z nami pożegnać. I wszyscy mówili: do zobaczenia wkrótce! Do widzenia, najdalej w jesieni, tutaj z powrotem!

Ale wszyscy płakaliśmy.

A razem z nami płakała deszczem moja Persenkówka.

Wkrótce wszyscy Polacy z Persenkówki zaczęli wyjeżdżać w różne kierunki Polski.

I tak zaczęła się nasza gehenna.

I na tym powinnam skończyć swoje wspomnienia z Persenkówki. Ale pragnę jeszcze opowiedzieć – w bardzo dużym skrócie – co było dalej, bo to jest także przykład wschodnich losów Polaków.

Jechaliśmy ze Lwowa transportem krytych samochodów ciężarowych. Była to bardzo długa kolumna samochodów. W każdym po kilkanaście osób wraz z bagażem tylko pierwszej potrzeby, to jest żywność i jakaś odzież, koce. Przy takiej ciasnocie niewiele można było zabrać ze sobą, a zresztą nie było wolno! Już przy ładowaniu nas do tych samochodów sowieci wyrzucali co się im nie spodobało, a raczej co się im spodobało. Kierowcami byli oczywiście sowieci. Wszyscy pijani mniej lub więcej, toteż podróż była koszmarna, zwłaszcza w noc, w którą wiał deszcz. Podróż trwała parę dni, z długimi przerwami w różnych miejscach, wygodnych dla kierowców.

Wymęczeni do ostateczności znaleźliśmy się w Krakowie. Tutaj odstawiono nas do baraków przy ulicy Prądnickiej czy Długiej, już nie pamiętam dobrze. Cały szereg baraków zapełniony był ludźmi ze Wschodu z różnych miast i ze Lwowa i z Wilna. Baraki posiadały ogromne wspólne sale i małe pomieszczenia. Nas – to jest trzy rodziny: ja z moimi rodzicami, ciocia z wujkiem i dwojgiem dzieci i znajome nam małżeństwo z dzieckiem, razem 10 osób – spotkało to „szczęście”, że umieszczono nas w jednym małym mieszkanku, a więc oddzielnym od wielkich, wspólnych i bardzo zatłoczonych sal.

I tak parę miesięcy żyliśmy jak Cyganie. Jak była pogoda, to przed barakiem paliliśmy ognisko i usilowaliśmy coś ugotować. Ktoś zorganizował „garkuchnię”, więc chodziliśmy z garnuszkami i staliśmy w długich ogonkach po zupę.

Na domiar złego wszystkie baraki były strasznie zapluskowane, tak że w nocy musieliśmy spać przy zapalonych światłach, bo gdy na moment gasiliśmy światło, to roilo się wprost od pluskiew.

Tak wegetowaliśmy parę miesięcy. Był to okres zastanawiania się, dokąd jechać dalej? Gdzie się osiedlić? Wreszcie postanowiliśmy pojechać na Śląsk do Katowic, bo po co jechać dalej i tak przecież wkrótce wracamy do Lwowa.

Przyjechaliśmy w parę rodzin do Katowic. I tu znowu skierowano nas do baraków przy ulicy Jordana. I znowu w

jednym mieszkanku kilka rodzin i znowu ta sama historia z pluskami przez kilka długich miesięcy!

W tym czasie ja ciężko zachorowałam i kilka tygodni przeleżałam w szpitalu przy ulicy Francuskiej. A stamtąd już wróciłam nie do baraku, lecz do ciężko, bardzo ciężko, z wielkimi trudnościami zdobytego przez mojego ojca – mieszkania poniemieckiego, na czwartym piętrze na poddaszu, z widokiem na dachy i kominy, przy ulicy Kochanowskiego nr 11 w Katowicach.

I tam mieszkaliśmy 20 lat!!! Tam moi rodzice posiweli, a mnie minęły najpiękniejsze lata młodości.

Wciąż jeszcze przez wiele lat mieliśmy nadzieję powrotu do naszego domu, do Lwowa, aż w końcu tę nadzieję utraciliśmy.

A teraz już nie istnieje moja dawna Persenkówka. Domy zostały zburzone, sady i ogrody zniszczone, wszystko zrównano z ziemią. Większość terenu zajęta została rzekomo przez zakład autobusów. Nasz kościół ojców karmelitów bosych zamieniono na garaże.

Nie ma już także naszej licznej niegdyś rodziny. Parę osób zginęło śmiercią tragiczną: jedna umarła w wagonie

Apel Nowe piosenki lwowskie

Oddział TMLiKPW w Nowym Sączu zamierza doprowadzić do wydania zbioru współczesnych pieśni i piosenek lwowskich powstałych po wojnie w kraju i zagranicą. Prosimy więc o nadsyłanie tekstów i zapisów nutowych na adres:

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Śp. Ryszard
Borcz
(1929-2000)

Ta śmierć zaskoczyła wszystkich. Jeszcze kilkanaście dni wcześniej wesoło rozmawialiśmy na comiesięcznym spotkaniu członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Tarnobrzegu. Był współzałożycielem i długoletnim wiceprezesem Oddziału, a także członkiem Komisji Rewizyjnej Zarządu Głównego we Wrocławiu. Za swoją działalność został wyróżniony Złotą Odznaką „Zasłużony dla TML”.

Urodził się w Samborze, który był jego „małą Ojczyzną” i za którym tęsknił do ostatniej chwili życia. Los wypędził rodzinę w świat. Jednym z przystanków był Przeworsk, skąd w 1955 roku wyruszył do stolicy siarki, Tarnobrzega, w którym spędził resztę swoich dni. Społeczeństwu tego miasta oddał całego siebie. Działal we wszystkich liczących się organizacjach i stowarzyszeniach. Był honorowym dawcą krwi, wyróżnionym „kryształowym sercem” za oddanie ponad 60 litrów tego bezcennego leku. Prezesował miejscowemu Stowarzyszeniu Diabetyków. Szczególnym uміłowaniem darzył pracę z młodzieżą, w tym przede wszystkim w

bydłecym w czasie ewakuacji, dwie zostały zamordowane przez sowieckich żołdaków, jedna postradała zmysły. Pozostałym członkom rodziny również życie poza Lwowem potoczyło się bardzo smutno.

Obecnie starsze pokolenie już prawie wymarło. Z pokoleniem młodszym nie mamy kontaktu.

Po 20-tu latach! Ja i moi rodzice wyprowadziliśmy się do Ochojca, gdzie mieszkamy obecnie. Ale to już inna historia i także wcale nie wesoła.

*I kiedy teraz po wielu latach,
W czasach tak smutnych nieskończenie,
Wracam myślami do tamtych lat i miejsc mego dzieciństwa,
Ale do tych lat szczęśliwych, radosnych, bez trosk,
To trudno mi uwierzyć w ich kiedykolwiek istnienie.
Może to sen był tylko, sen jaki złoty?
Cokolwiek to było, sen czy jawa,
Łzy płyną z oczu, to łzy tęsknoty.
Za tym co było, co nie jest i nigdy już nie będzie,
Bo tak chce przeznaczenie.
I tylko mi jedno zostało: WSPOMNIENIE*

Jerzy Masior, ul. Paderewskiego 52/85. Zapis nutowy winien być czytelny (możliwie wydruk komputerowy), może to być tylko linia wokalna. Bardzo wskazany zapis funkcji i podkład tekstu pod nuty.

Wiemy, że w ciągu lat powstało dużo utworów lwowskich i kresowych. Pragniemy je wydobyć z rozproszenia i utwalić w wartym wydaniu, co m.in. ułatwi udział młodzieży w organizowanych festiwalach. Oczekujemy na przesyłki do listopada br.

harcerstwie. Był harcmistrzem. Organizator obozów, sportu i turystyki. W Olechowcu stworzył Tarnobrzeską Harcerską Stację. Bywał tam z młodzieżą. Był także prezesem Parafialnego Klubu Sportowego „Wspólnota”. Z końcem czerwca pojechał ze sportowcami „Wspólnoty” do Warszawy, na parafiadę. Tam w środę 28 czerwca dopadła Go śmierć, nagle i niespodziewana.

W dniu 1 lipca, w manifestacyjnym pogrzebie pożegnał Go cały Tarnobrzeg.

Odszedł Człowiek niezwykle, o niebywalej aktywności. Był wszędzie, gdzie działo się coś pożytecznego i zawsze odcisnął swoje pozytywne piętno. W Jego osobie skupiły się wszystkie charakterystyczne cechy „kresowiaka”: poczucie humoru, serdeczność, uczynność, pełna ciepła wrażliwość i ta gotowość niesienia pomocy każdemu potrzebującemu.

Trudno uwierzyć, że już Go nie ma.

Errata do nr. 2 (55)/2000

45 str. 6 w od dołu, lewa szpalta: jest: Gródecka 135 ma być: Gródecka 35

Errata do nr. 3 (56)/2000

Jest Ma być
2 str. wew. okładki 20 w. od dołu Husytynia Husiatynia
3 str. wew. okładki 10 w. od dołu Maluourne Melbourne
19 str. 5 w od dołu, lewa szpalta: jest: Wydziale Karnym ma być: Wydziale Cywilnym

Lista ofiarodawców w m-cu VI-VII 2000 r. (w zł)

1. W. A. Podolecy, Kielce.....	30.-	8. Maria Pawulska-Rasiej, USA.....	25.-
Pomoc dla Rodaków we Lwowie	40.-	9. Janina Hrycek, Katowice	30.-
2. Stanisław Mossoczy, Bielsko-Biała, Cm Orl. Lw. 60.-		10. Józef Wojciechowski, Legnica	20.-
3. Helena Niwińska, Kraków	50.-	11. Bożena Sobolewska, Białystok, Cm. Orl. Lw. 50.-	
4. Janina Blum, Wrocław	40.-	12. Waldemar Dawidowicz, Wrocław,	
5. Dorota Lorenc, Milicz	100.-	Pomoc dla Rodaków ze Wsch.....	100.-
6. Józefa Nowicka, Koźuchów	10.-	13. Władysław Hapoński, Lublin	50.-
7. Zbigniew Szczerba, Jelenia Góra	20.-	14. Jerzy Fic, Sosnowiec	200.-
Cm. Orl. Lw.	20.-		

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Od Wydawcy

Po okresie wakacyjnym przyjemnie będzie Szanownym Czytelnikom dowiedzieć się z łam naszego czasopisma „Semper Fidelis” o licznych uroczystościach kresowych, które odbywały się w Oddziałach TMLiKPW w całym kraju. Były to festiwale piosenek lwowskich i kresowych w: Lesznie, Gorzowie, Jeleniej Górze, Węglińcu. Uroczyste obchody Dni Lwowa w takich miastach jak Wrocław, Tarnów, Warszawa, Poznań oraz obchody rocznic 10-cio lecia niektórych Oddziałów. Były też organizowane wycieczki na Kresy zawsze połączone z pomocą charytatywną dla biednych tam żyjących polskich rodzin. Wiele też Oddziałów zdobyło się na goszczenie u siebie polskich dzieci zza wschodniej granicy. Na razie wiemy, że były to Oddziały z Wrocławia, Gniezna, Poznania, Bydgoszczy, Katowic, Tarnowa, Nowego Sącza. Z dotychczasowych działań naszego Towarzystwa najbardziej cieszy coraz bardziej rozwijająca się współpraca z młodzieżą i nawiązywanie kontaktów z Rodakami z byłych Kresów.

Zarząd Fundacji Kresowej „SF” informuje, że pomimo usilnych starań w tym roku nie przyznano nam żadnych dotacji na działalność wydawniczą. W związku z bardzo przykrą sytuacją finansową Fundacji zwracamy się do wszystkich oddziałów i Klubów TMLiKPW o możliwie szybkie regulowanie należności za wysyłaną prasę i książki, a szczególnie apelujemy do tych Oddziałów, których zaległości sięgają ubiegłego roku. Opornym dłużnikom zostanie wstrzymana wysyłka „Semper Fidelis” i „Gazety Lwowskiej”. Będziemy również niezmiernie wdzięczni tym wszystkim, którzy zechcą nawet małymi datkami wesprzeć nasz fundusz wydawniczy.

Informujemy też, że Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” będąc współorganizatorem VI Dni Lwowa we Wrocławiu, oprócz wystawy o Słowackim, zorganizowała również aukcję dzieł sztuki, z której całkowity dochód 2800 zł przeznaczyła na wyposażenie polskich klas w Stanisławowie. Gdyby ktoś chciał wesprzeć fundusz przeznaczony na pomoce szkolne dla polskich dzieci w Stanisławowie to może dokonać wpłaty na konto bankowe lub do kasy w naszej siedzibie.

Również udzieliliśmy naszego konta bankowego i przyłączamy się do apelu Chrześcijańskiej Demokracji III Rzeczypospolitej Polskiej Regionu Dolnośląskiego celem zgromadzenia środków finansowych dla rodzin marynarzy, którzy zginęli na pokładzie zatopionego okrętu podwodnego „Kursk”

Wszelkie wpłaty przyjmujemy na konto bankowe PKO-BP O/Wrocław 10205255-10012-270-1-111 lub do kasy czynnej od 10-15 każdego dnia oprócz sobót i świąt – 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33 I p., tel. 071-3448893. Do wpłat prosimy stosować dopisek: „KURSK”, „Stanisławów”, „Fundusz wydawniczy SF”.

Listę ofiarodawców zamieścimy w następnym numerze „SF”.

Oczekujemy na odzew dobrych serc i z góry dziękujemy.

Dyrektor
Fundacji Kresowej „SF”
Danuta Tabińska-Juhasz